TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 9 – 15 września 2026 | nr 37 (4027)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Kolejki do lekarza – państwo nas zwodzi

Stec: Piesiewicz i drużyna załatwiaczy

Sikorski i o. Giertych na czas niepokoju

Rosiak: ćwierć wieku po 11 września

Chomątowska: transformacje polskiej mody

PO CO NAM DZIŚ „LALKA”

RYSZARD KOZIOŁEK PRZED EKRANIZACJAMI | STR. 10-15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

REKLAMA

Efekt botox-like

czyli wygładzenie w nowoczesnej pielęgnacji

Nowa polska marka KLOO powstała z myślą o tych, którym zależy na osiąganiu widocznych rezultatów i zdrowego wyglądu skóry bez skomplikowanych, wieloetapowych rutyn pielęgnacyjnych. O skuteczności kosmetyków KLOO świadczą nie tylko recenzje zadowolonych konsumentek, ale też pozytywne opinie ekspertek. Jedną z nich pytamy o to, jak zredukować zmarszczki w sposób nieinwazyjny.

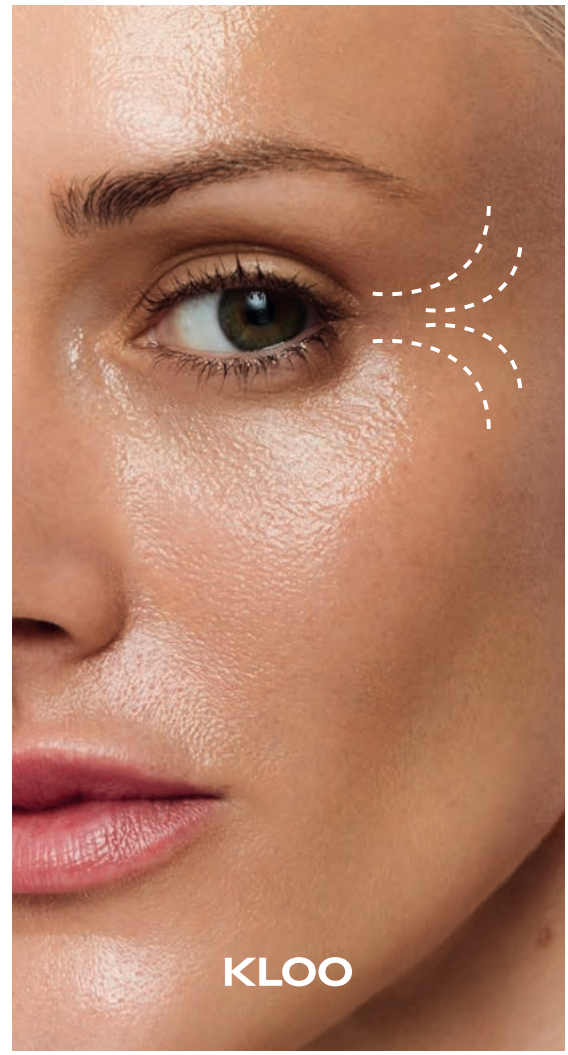

Jak osiągnąć optyczny efekt botox-like i w czym tkwi jego tajemnica?

Aleksandra Knaflewska: Kluczową rolę odgrywają tu właściwie skomponowane składniki aktywne oraz regularność stosowania odpowiednio dobranej pielęgnacji. Ważne, by dbać o rozluźnienie napiętych mięśni i wspierać regenerację skóry. W procesie redukcji zmarszczek świetnie sprawdza się argirelina. To peptyd biomimetyczny, który wpływa na sygnały związane ze skurczem mięśni mimicznych, co może sprzyjać optycznemu wygładzeniu skóry. Warto wspomnieć o roli antyoksydantów, które wspierają naturalne mechanizmy obronne skóry, pomagając jej szybciej się regenerować i zachować zdrowszy, bardziej jednolity wygląd.

Jaki wpływ ma witamina C na ujednolicenie i wygładzenie skóry?

Aleksandra Knaflewska: Witamina C w 10% stężeniu to silny antyoksydant, który przede wszystkim rozjaśnia skórę i pomaga wyrównać jej koloryt. Redukując przebarwienia oraz oznaki zmęczenia, zapewnia skórze zdrowszy, bardziej promienny wygląd, a przy tym zmniejsza widoczność zmarszczek. Dzięki temu powierzchnia skóry jest bardziej wygładzona. Dla najlepszych efektów należy wybierać kosmetyki ze stabilną formą witaminy C oraz składnikami nawilżającymi, takimi jak kwas hialuronowy, ponieważ one również są podstawą skutecznej pielęgnacji anti-aging.



Nasza ekspertka

Aleksandra Knaflewska
kosmetolożka specjalizująca się w profilaktyce antystarzeniowej, założycielka dziennego spa Na Temat Piękna



Healthy Glow to krem na dzień, który podbił serca fanów natychmiastowym efektem rozpromienienia skóry. Zawiera głęboko nawilżający i wygładzający kwas hialuronowy, a także 10% witaminy C, która dzięki swojej stabilnej formie, działa dłużej, wyrównując koloryt i chroniąc skórę przed stresem antyoksydacyjnym.



Serum Anti-ox widocznie zmniejsza drobne zmarszczki oraz daje optyczny efekt botox-like dzięki redukującej napięcie argirelinie. Zawiera też dwa silne antyoksydanty: kwas ferulowy i glutation.

Dostępne w drogeriach Rossmann, aplikacji Rossmann PL i na www.rossmann.pl

Dostępne w ofercie
ROSSMANN
Moja Drogeria

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Pyrrusowy sukces
AGATA KAŹMIERSKA

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Kolejka widmo
SZYMON DĄBROWSKI: *System informacji o terminach u lekarzy oszukuje*

19 Prorocy świętego rozwoju
MARCIN KĘDZIERSKI *o kosztach scenariuszy przyszłości Polski*

22 Głowa rodziny
RAFAŁ STEC: *Szef PKOl – typ działacza bezcennego*

27 Tygodnik Czytelników

■ ■ PSYCHE

28 Wstydź się mądrze
MICHAŁ TOMCZUK: *Dopiero gdy dopuszczamy do siebie wstyd, pojmujemy, kim jesteśmy*

■ ■ ŚWIAT

32 W odśrodkowym wirze
DARIUSZ ROSIAK: *Jak 25 lat temu atak na WTC zmienił USA i świat*

36 Epidemia bez końca
MARGIT KOSSOBUDZKA-LIPIŃSKA: *Obraliśmy złą metodę walki z ebolą*

38 Polska pomoc na Zachodnim Brzegu
JAN POCHEĆ: *Nasz autor towarzyszył medykom docierającym do beduińskich wsi*

40 Spóźniona cena zimnej wojny
PIOTR TOPÓR: *Wyspy Marshalla czekają na zadośćuczynienie po testach atomowych*

■ ■ WIARA

44 Papież nie ma telefonu do Pana Boga
ROZMOWA Z RADOSŁAWEM SIKORSKIM I O. WOJCIECHEM GIERTYCHEM OP: *Czym jest polskość, czy wierzący mogą wątpić i czy Leon XIV uratuje świat*

48 Jak to było z Fundacją
ARTUR SPORNIAK: *Bp Ryś i mecenas, który obraził skrzywdzonych w Kościele*

50 Ksiądz od techno
KS. DOMINIK DUBIEL SJ: *Kim jest Padre Guilherme*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10
Najważniejsze pytanie „Lalki"
RYSZARD KOZIOŁEK

Ciekaw jestem, co nowego znaleźli w powieści Prusa twórcy jej nadchodzących ekranizacji. W niecierpliwym oczekiwaniu sam zająłem się tą kwestią.

13
Dlaczego aż dwie ekranizacje
WOJCIECH ŚMIEJA



■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o gorących kartoflach*

26 OLGA DRENDA *o jeżozwierzu i abstrakcji*

52 ZUZANNA RADZIK *na pożegnanie Glorii Steinem, ikony feminizmu*

58 ELIZA KĄCKA *o słuchaniu*

76 PAWEŁ BRAVO *o ciastkach dla konserwatystów*

82 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o pomyśle na Unię*

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ HISTORIA

54 Krakowiaki i trójkąty
ZOFIA JURCZAK: *Przybyszewski w młodopolskim Krakowie*

■ ■ NAUKA

60 Filozofia bez kompleksów
JĘDRZEJ GRODNIEWICZ: *Po co nam dziś refleksja filozoficzna*

■ ■ KULTURA

64 Poznajmy się lepiej



ALICJA KOZAK

ROZMOWA Z MARCELEM BALIŃSKIM, ZAŁOŻYCIELEM WSPÓŁGŁOSÓW : *Nasz największy sukces? Niepełnosprawność schodzi na drugi plan...*

68 Notatki z gwiezdnego szlaku
MICHAŁ WALKIEWICZ: *„Star Trek" kończy 60 lat*

70 Rarytasy w miasteczku
JAKUB PUCHALSKI: *Festiwal w Husum przypomina, o co chodzi w spotkaniu ze sztuką*

72 W pełnym słońcu
ANITA PIOTROWSKA *o filmie François Ozona „Obcy" wg Camusa*

73 Głos Doktora
LEKTOR *o „Listach niewysłanych" Marka Edelmana*

■ ■ ZMYSŁY

78 Przez pryzmat emocji



EDWARD WENDT / CMWŁ

BEATA CHOMĄTOWSKA *o transformacji polskiej mody*

KS. ADAM

Boniecki: *Kościół to nie państwo*


GRAŻYNA MAKARA

Dział Wiara otwiera w tym numerze rozmowa dwóch wybitnych osobowości. Po jednej stronie polityk i dyplomata, minister spraw zagranicznych i wicepremier, wcześniej m.in. świetny reportażysta. Po drugiej ważny w swoim zakonie dominikanin, od 2005 r. teolog Domu Papieskiego, czuwający nad doktrynalną stroną pism kolejnych papieży. Niedawno wydali wspólnie rozmowę rzekę, a na naszych łamach mówią o... można powiedzieć w skrócie, że mówią o Polsce, o wierze i w ogóle o życiu.

Z rozmowami w prasie jest tak, że rzadko są wyczerpujące; raczej sygnalizują ważne wątki, niż je w pełni wyczerpują. Tutaj również uczestnicy dialogu skaczą po tematach, niekiedy idą w dygresje albo kwitują jakąś kwestię lekkim tonem. Czasami można podziwiać subtelną złośliwość ojca Wojciecha – np. wtedy, gdy w kilku słowach potrafi pokazać, cośmy zrobili z polskością, zawężając ją do korzenia etnicznego. Sikorski też jest nie gorszy (ta wzmianka o Licheniu...). Ale tak naprawdę rozmowa jest poważna, pełna wzajemnego szacunku i szacunku dla omawianych spraw. Przyznam, że czytałem z prawdziwą przyjemnością.

Z wymiany zdań tych dwóch mądrych ludzi jasno widać, że inna jest rola państwa, inna rola Kościoła. Co warto podkreślić, bo u nas bardzo długo Kościół (a ściślej: biskupi i księża)


GRAŻYNA MAKARA

MICHAŁ

Okoński: *Zamieszkać w Auszwicu*

Pamiętacie wizytę pewnego znakomitego reportera w sklepie Wokulskiego? Rzecki wspomina, że ów spocony jegomość chodził po pokojach „nadęty jak indyk" i wciąż pisał, a kiedy nareszcie się odezwał, pytanie brzmiało: „Czy w tych czasach nie było u panów jakiego wypadku?... Małego pożaru, kradzieży, nadużycia zaufania, awantury?".

Jak widać, czekając na nowe ekranizacje, czytam znów „Lalkę". I od razu mówię: wiem, że w naszej największej powieści są kwestie istotniejsze niż kondycja dziennikarstwa („Nie ma u Prusa ważniejszego pytania niż to, co znaczy być człowiekiem. Zwłaszcza wobec nowej wiedzy, jakiej dostarczają nauki przyrodnicze i społeczne w XIX w." – pisze w otwierającym ten numer eseju **RYSZARD KOZIOŁEK**, łącząc ówczesny klimat z dzisiejszą rewolucją AI). A jednak bezlitośnie odsłaniająca medialne mechanizmy fraza, że „najlepszą reklamą dla sklepu byłoby, gdyby się tak kto w nim powiesił", jakoś nie pozwala mi o sobie zapomnieć w tygodniu, który upłynął m.in. pod znakiem doniesień Portalu Zero o mieszkaniu dyrektora Muzeum Auschwitz, wynajmowanym mu przez tę placówkę rzekomo za skandalicznie niski czynsz.

Żeby było jasne: obiektywny nie jestem, bo moje ścieżki przecinały się ze ścieżkami Piotra Cywińskiego kilkakrotnie, zarówno prywatnie,

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 25
SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

zajmowali się tym, co z natury rzeczy nie należy do zakresu trosk Kościoła, tylko państwa właśnie. Takie były warunki, takie potrzeby (za komunizmu). W wolnym kraju u wielu pozostał dawny nawyk, choć role się zmieniły. Zmiany w kierunku normalności wymagają czasu, ale przychodzą.

Jedną z nich jest stosunek do sakramentów – a zwłaszcza do sakramentu małżeństwa. Ci, którzy nie wierzą, już go nie zawierają. Nie widzę tu dramatu. Wiem zresztą, że wiele sakramentalnych małżeństw bywa pomyłką, a niesakramentalne okazują się dobre i trwałe. Na szczęście zanika zjadliwe traktowanie tych „bez ślubu kościelnego" i chyba – nawet jeśli wciąż powoli – kształtuje się świadomość, czym jest chrześcijańskie małżeństwo. Należałoby o tym napisać znacznie szerzej – tu wspominam tylko o zjawisku, jako ilustracji zachodzących przemian.

„Etos, który wyprowadzamy z wiary chrześcijańskiej, jest o wiele głębszy niż to minimum, które państwo potrafi wyegzekwować"... Myślę, że to zdanie (i jego dalsze omówienie) ojca Wojciecha jest kluczowe dla chrześcijaństwa w naszym życiu – indywidualnym i społecznym. Niech posłuży za puentę tego tekstu – i zachętę do dalszej lektury. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

jak publicznie. Rozmawiałem z nim dla „TP" przy okazji 80. rocznicy wyzwolenia obozu (cytat z tego wywiadu pada zresztą w artykule Portalu Zero). Nie sprawdzałem wprawdzie, czy ma prawo jazdy, jakim jest pracodawcą i jak szybko odpowiada na pytania podlegające mu biuro prasowe – interesowała mnie raczej kwestia, co trzeba mieć w głowie, żeby w takim miejscu spędzić 20 lat życia. I zapewne dlatego w materiale Portalu Zero zwróciło moją uwagę zdanie „obecnie w Oświęcimiu mieszkanie o powierzchni ok. 30 mkw. można wynająć za 1,5–2 tys. zł", mające podkreślić skandaliczność informacji z nagłówka, krzyczącego o 134 zł miesięcznie, płaconych przez dyrektora.

Rzecz w tym, że owych 30 metrów, na których pomieszkuje Cywiński, rzetelny dziennikarz raczej nie zestawi z przeciętnym oświęcimskim mieszkaniem. Mówimy o lokum w byłym budynku administracji SS, położonym na terenie Auschwitz I między drutami a szubienicą, na której w kwietniu 1947 r. powieszono Rudolfa Hössa. Elementarnej empatii Czytelników zostawiam odpowiedź na pytanie, za ile byliby skłonni wprowadzić się do takiego lokum – skądinąd wynajmowanego dyrektorowi wedle tych samych stawek, które obowiązywały we wszystkich muzealnych pokojach (użyję tego słowa ze stosownym wahaniem) gościnnych.

Doprawdy, warto czytać „Lalkę", a wraz z nią „Tygodnik" – nie tylko po to, by uodpornić się na medialne manipulacje. Tekst **MICHAŁA TOMCZUKA** o wstydzie polecam zupełnie bez kontekstu. ©℗

Michał Okoński, zastępca redaktora naczelnego „TP", autor książek o futbolu

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

ŁUKASZ GRAJEWSKI z Berlina
Wrześniowy maraton wyborczy w byłej NRD to główne wydarzenie polityczne w Niemczech w 2026 r. Jak zmieni ten kraj? Nasz autor kreśli „Niemców portret własny".

MARIUSZ KAPROŃ z Boliwii
O tym, jak katolicy z globalnego Południa ewangelizują misjonarzy, czego najlepszym przykładem jest Leon XIV. O papieżu z Peru i odwróconej geografii misji.

TOMASZ STAWISZYŃSKI
Gdzie są granice wolności słowa i z czego lepiej się nie śmiać? Czy kultura osobista jeszcze nas obowiązuje? Jak mówić/pisać/pokazywać, żeby nie dać się skancelować?



GRAF. KAROLINA GOLIS / ARCH. TS / MONTAŻ „TP"

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

31 SIERPNIA DO 6 WRZEŚNIA 2026

AFD WYGRAŁA WYBORY w niemieckim landzie Saksonia-Anhalt. Skrajnie prawicowa partia – wykluczana dotąd przez pozostałe ugrupowania z rozmów o współrządzeniu – uzyskała 44 proc. głosów, ponieważ jednak nie zdobyła absolutnej większości, nie wiadomo, czy zdoła przejąć władzę w landzie. ■■■ **AMERYKAŃSCY WYSŁANNICY** Jared Kushner i Steven Witkoff rozmawiali w Moskwie z Władimirem Putinem i w Kijowie z Wołodymyrem Zełenskim, ale wygląda na to, że ich propozycje zakończenia wojny są dla Ukrainy nie do przyjęcia. ■■■ **NA SZCZYCIE G20** sekretarz skarbu USA Scott Bessent zapowiedział, że Waszyngton nie złagodzi sankcji wobec Moskwy, jeśli Kreml nie zakończy wojny z Ukrainą. ■■■ **MOSKWA** odpowiada za sierpniowy incydent z dronem i ładunkiem wybuchowym na lotnisku w Lipsku – stwierdził rząd Niemiec i zamknął konsulat Rosji w Bonn, a także ośrodek kulturalny w Berlinie. ■■■ **KANADA** wprowadza cła odwetowe wobec USA na towary wartości 27,6 mld dolarów. W końcu sierpnia Waszyngton nałożył cła na towary kanadyjskie na taką samą kwotę. ■■■ **ZAKAZ NOSZENIA CHUST** przez dziewczynki poniżej 14. roku życia wszedł w życie w austriackich szkołach. Rząd w Wiedniu argumentuje, że chusty są znakiem „opresji", przeciwnicy zakazu uważają, że przepisy są sprzeczne z konstytucją. ■■■ **AFERA ZONDACRYPTO** uderza w PiS: premier Tusk odczytał w Sejmie fragment zeznań głównego świadka, z których wynika, iż były minister Zbigniew Ziobro zapowiadał, że „jak wróci do władzy w rządzie, (...) to ukręci łeb wszystkim tym sprawom". ■■■ **SEJM** nie odrzucił trzeciego weta prezydenta Nawrockiego w sprawie ustawy o rynku kryptoaktywów. ■■■ **MACIEJ BEREK** został wybrany przez Sejm na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Wątpliwe, czy prezydent zaprzysięgnie kogoś, kto do niedawna był ministrem w rządzie Donalda Tuska; wybór osoby zaangażowanej w sprawowanie władzy do apolitycznej instytucji oprotestowało także kilku parlamentarzystów koalicji rządowej. ■■■ **DO PRZEDTERMINOWYCH** wyborów na prezydenta Krakowa zamierza stanąć 12 osób, m.in. prowadzący w sondażach Łukasz Gibała, Michał Drewnicki (PiS) i Monika Piątkowska (KO/PSL). ■■■ **EKSMISJĘ** jednej z mieszkanek poznańskiego Osiedla Maltańskiego blokowało kilkadziesiąt aktywistów, usuniętych siłą przez policję. Archidiecezja poznańska tłumaczy, że teren, na którym znajduje się nieruchomość, został sprzedany deweloperowi z powodu konieczności przywrócenia jej do właściwego stanu. ■■■ **ZAKOŃCZYŁO SIĘ** Narodowe Czytanie „Dziadów" Adama Mickiewicza. W przyszłym roku narodową lekturą będzie „Lord Jim" Josepha Conrada. ■■■ **ZMARŁ WITOLD PŁÓCIENNIK** (56 lat), operator filmowy. ■■■ **ROBERT KORZENIOWSKI,** czterokrotny mistrz olimpijski, zamierza ubiegać się o stanowisko prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Dotychczasowy szef PKOl Radosław Piesiewicz został na trzy miesiące aresztowany. ■■■ **MUZEUM GWIEZDNYCH WOJEN** zostanie otwarte 22 września w Los Angeles – poinformował twórca słynnej sagi George Lucas.

©℗



SEBASTIAN WILLNOW / DPA / PAP

POWYŻEJ: Policja przeszukuje teren lotniska w Lipsku w poszukiwaniu ładunków wybuchowych. W tle samoloty transportowe należących do rosyjskich linii Volga-Dnepr, które stoją tu od lutego 2022 r., zatrzymane na mocy unijnych sankcji. 7 sierpnia 2026 r.

PYRRUSOWY SUKCES

Gdyby ktoś pisał podręcznik wojny hybrydowej, powinien uwzględnić ostatnie wydarzenia z Niemiec. Pytanie tylko, czy jako przykład do naśladowania, czy przestrogę – jak można przejechać się na czymś, co początkowo zdawało się sukcesem.

AGATA KAŹMIERSKA

Był wtorek 1 września rano, gdy przy podstacji koło elektrowni Jänschwalde w Brandenburgii odkryto rakiety domowej roboty, przygotowane do zniszczenia linii wysokiego napięcia. Kilka godzin później ktoś doprowadził do awarii (krótkiego spięcia) na podstacji w Bergheim-Rheidt; to land Nadrenia Północna-Westfalia, 550 km dalej.

Następnie, nocą z wtorku na środę, w eksplozji granatu koło dworca w Augsburgu lekko ranne zostały dwie osoby. Kolejnej nocy w Monachium z jadącego auta rzucono ładunki zapalające na teren firm



Na celowniku Rosji

W SIERPNIU w Europie doszło do serii ataków wymierzonych w firmy zbrojeniowe i infrastrukturę związaną ze wsparciem Ukrainy.

4 SIERPNIA, Niemcy: na lotnisku w Lipsku odkryto drony z ładunkami wybuchowymi.

10 SIERPNIA, Bułgaria: pożar magazynu firmy zbrojeniowej EMCO w Trjawnie. Śledczy badają powiązania z Rosją. Wykluczono przypadkowe zaprószenie ognia.

13 SIERPNIA, Włochy: pożar w fabryce amunicji firmy KNDS Ammo Italy pod Rzymem. Prokuratura bada możliwość ingerencji z zewnątrz.

15 SIERPNIA, Estonia: pożar w fabryce Milrem Robotics w Tallinie, dostarczającej drony Ukrainie. Zatrzymano dwóch podejrzanych; śledczy biorą pod uwagę rosyjski sabotaż.

25 SIERPNIA, Słowacja: udaremniono podpalenie ukraińskiej firmy produkującej drony. Zatrzymano trzech podejrzanych, zabezpieczono dużą ilość mieszanki zapalającej.

30 SIERPNIA, Polska: pożar w firmie produkującej komponenty do śmigłowców w Lublinie i podpalenie zakładów WB Group w Skarżysku. Premier Tusk mówi o możliwej „kontynuacji eskalacyjnych działań Rosji".

zbrojeniowych (zatrzymano podejrzane o ten atak dwie osoby z paszportami bułgarskimi). Kilkanaście godzin później spacerowicze znaleźli w Dormagen-Gohr (koło Kolonii) kolejne rakiety, które miały uszkodzić tamtejszą podstację.

Cała ta seria zaczęła się 1 września, czyli tego dnia, gdy rząd w Berlinie oficjalnie oskarżył Moskwę o to, że miesiąc wcześniej próbowała dokonać zamachu na lotnisku w Lipsku. W pobliżu ukraińskich samolotów transportowych znaleziono trzy drony z ładunkami wybuchowymi; szczęśliwie nie eksplodowały.

KILKA DNI CHAOSU | Rosja wydawała się oczywistym podejrzanym, także gdy idzie o tę zeszłotygodniową serię, ale w czwartek 3 września wieczorem doszło do nieoczekiwanego zwrotu akcji. Media ujawniły, że 48-letni Niemiec, Daniel V., wysłał dwa odręczne listy, w których przyznał się, że skonstruował rakiety do niszczenia linii energetycznych i porozwoził je po kraju. Napisał, że działał sam, i że motywował go sprzeciw wobec energetyki opartej na paliwach kopalnych. Jego matka potwierdziła, że to charakter pisma syna. Przyznała też, że ma on naturę buntownika i już wcześniej wdawał się w konflikty z osobami, które jego zdaniem szkodziły środowisku.

Historia samotnego ekoterrorysty nie brzmi w Niemczech egzotycznie. W styczniu jedna z frakcji lewicowo-ekstremistycznej organizacji Vulkangruppe podpaliła kable energetyczne w Berlinie, pozbawiając prądu 100 tys. ludzi (był to najdłuższy *blackout* w powojennej historii miasta).

Na tle relacjonowanej w mediach obławy na Daniela V. przyblakły ataki w Augsburgu i Monachium. Przed weekendem zaś uwaga opinii publicznej przesunęła się na Saksonię-Anhalt, gdzie odbywały się pierwsze z trzech wrześniowych wyborów landowych, w których zapowiadano zwycięstwo AfD.

STAN ZAGROŻENIA | Właśnie taki chaos jest idealny do prowadzenia działań hybrydowych. Rosyjskie operacje, miejscowy ekstremizm, niewyjaśnione incydenty i polityczne kłótnie zlewają się, tworząc poczucie zagrożenia i wrażenie, że państwo nie wie, kto i dlaczego je atakuje. To zaś idealne paliwo dla kolejnych rosyjskich operacji.

Autorzy raportu Institute for Strategic Dialogue twierdzą, że skala rosyjskiej kampanii dezinformacyjnej w Niemczech jest dziś porównywalna z aktywnością obserwowaną w 2025 r. podczas wyborów do Bundestagu. Jej celem jest polaryzowanie, podważanie zaufania do władz i przekonywanie wyborców, że państwo jest niezdolne do ochrony obywateli. Kampania niemal demonstracyjnie omija AfD, która postuluje zniesienie sankcji wobec Rosji.

Berlin sam trochę pomaga tej narracji. W odpowiedzi na drony w Lipsku, rząd Merza ogłosił 1 września, że zamknie rosyjski konsulat w Bonn i Rosyjski Dom (tj. ośrodek kultury) w Berlinie, zaostrzy politykę wjazdową i będzie działać na rzecz kolejnych sankcji UE. Jak na próbę fizycznego zamachu na terenie Niemiec, to zestaw z szuflady „dyplomacja", a nie „odstraszanie". Jeśli Kreml chciał sprawdzić, jak daleko może się posunąć, można odnieść wrażenie, że Berlin odpowiedział tak, by nie narysować tej granicy zbyt grubą kreską.

CO ZABOLI KREML | Jednak Rosjanie nie powinni chłodzić szampana. W 2024 r., gdy operacja z przesyłkami zapalającymi, przypisywana GRU, omal nie doprowadziła do katastrofy samolotu DHL, ówczesny rząd Scholza tygodniami nie mówił publicznie o rosyjskim tropie i nie ogłosił retorsji.

Tym razem wskazanie na Rosję i odpowiedź rządu zajęły niespełna miesiąc. To pokazuje, że w Berlinie cierpliwość się kończy. Nie wygląda też na to, by Merz poprzestał na zamknięciu konsulatu. Niemcy, które są dziś największym dostawcą pomocy wojskowej dla Ukrainy, rozważają pogłębienie współpracy wywiadowczej z Kijowem, w tym przekazywanie danych do atakowania celów w Rosji (w tym momencie robią to Waszyngton, Londyn i Paryż).

Kreml zaboleć może też przyjęty w sierpniu projekt reformy niemieckich służb. Jeśli ustawa przejdzie, wywiad BND będzie mógł nie tylko obserwować wroga, ale też aktywnie psuć mu szyki: hakować systemy i sabotować produkcję np. w fabrykach dronów. To największe rozszerzenie uprawnień służb w historii powojennych Niemiec.

DRONY NAD NIEMCAMI | Moskwa nie od dziś sprawdza, jak bardzo może naciągać linę. Obecnie napina ją coraz mocniej: według poufnej oceny niemieckiego Federalnego Urzędu Kryminalnego, ujawnionej przez media, od początku 2026 r. w Niemczech odnotowano co najmniej 165 przypadków sabotażu i 747 incydentów z dronami, które latały nad infrastrukturą krytyczną, obiektami wojskowymi i zbrojeniowymi.

Minione dni pokazują, że w Berlinie ktoś wreszcie zauważył, że ta lina ma dwa końce. ©



AfD przejmie władzę

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Alternatywa dla Niemiec zdobyła blisko 44 proc. głosów w wyborach landowych w Saksonii-Anhalt. Wprawdzie do większości parlamentarnej i utworzenia rządu w Magdeburgu, stolicy landu, potrzebuje jeszcze kilku posłów, ale tych dostarczy zapewne druga partia populistyczna i antyestablismentowa, tyle że skrajnie lewicowa: Sojusz Sahry Wagenknecht, który przekroczył próg 5 procent.

Sukces AfD to wydarzenie bez precedensu w powojennej historii RFN. Do tej pory rządy w Niemczech sprawowały ugrupowania centrowe. Chadecy i socjaldemokraci wymieniali się władzą, a każda skrajność na prawicy była duszona w zarodku. Wszystko zmieniło się wraz z pojawieniem się AfD w 2013 r. Od chwili powstania partia ta zdobywa systematycznie poparcie coraz to nowych wyborców. Dziś pewnie przewodzi w sondażach na poziomie całego kraju.

Tak wysoki wynik dla AfD w Saksonii-Anhalt to zasługa również świetnej kampanii. 35-letni Ulrich Siegmund, kandydat partii na premiera, tryskał energią, uśmiech niemal nie schodził z jego twarzy. Wiece były tłumne i dynamiczne. Symbolem tej energii były grupowe przejazdy polityków i zwolenników AfD na motocyklach Simson, kultowych w byłej NRD.

Siegmundowi udało się wzbudzić poczucie wspólnoty, jedności i nadziei. To nie oznacza, że program AfD (w wielu punktach skrajny) i personalia niektórych tutejszych polityków (z neonazistowską przeszłością) nagle wyparowały. Ale w polityce grającej pod algorytmy mediów społecznościowych liczą się głównie emocje.

Z gigantycznymi zasięgami w internecie, Siegmund i AfD dyktowali tempo kampanii. Innym partiom pozostało budować poczucie strachu: jakie fatalne scenariusze może uruchomić w całym kraju zwycięstwo Alternatywy. Przez wiele lat taktyka „wszyscy przeciw AfD" działała, ale ten okres się skończył. Zaczyna się nowy, w którym „niebiescy" (kolor partyjny AfD) buńczucznie zapowiadają kolejne zwycięstwa i gruntowną przebudowę kraju. Ich przeciwnicy, w tym kanclerz Merz, sprawiają wrażenie zdezorientowanych.

Ze względu na niemiecki federalizm, nawet na poziomie landu nowy rząd będzie mieć duże pole manewru. AfD chce np. zmienić system szkolny, zapowiada powrót do „pruskiej" dyscypliny, dzieci uchodźców mają trafić do osobno wydzielonych klas. AfD przejmie też kontrolę w landzie nad policją i służbami, które dotąd zajmowały się jej obserwacją.

Rząd w Magdeburgu z pewnością zaangażuje się też w sprawy zagraniczne. Z poziomu landowego AfD będzie wysyłać postulaty sprzeczne z linią Berlina: powrót do dobrych relacji z Rosją, uruchomienie gazociągu Nord Stream i wstrzymanie pomocy wojskowej dla Ukrainy. ©



IMAGO / EAST NEWS

Liderzy AfD po ogłoszeniu wyników wyborów w landzie Saksonia-Anhalt, od lewej: Alice Weidel (współprzewodnicząca partii), Ulrich Siegmund (kandydat AfD na premiera w tym landzie) i Tino Chrupalla (drugi współprzewodniczący). Magdeburg, 6 września 2026 r.



Mogę wszystko

MONIKA BIAŁKOWSKA

Prawo i sumienie rzadko się rozmijają tak wyraźnie jak na dwunastu hektarach Osiedla Maltańskiego w Poznaniu. Wszystko, co tam się dzieje, jest zgodne z przepisami. Ale nic nie jest w porządku. 2 września komornik w asyście policji dokonał drugiej w ostatnich tygodniach siłowej eksmisji. Dom straciła Sandra Mayer. Wcześniej mieszkała w nim jej matka i babcia. Policjanci odrywali od bramy ludzi, którzy własnymi ciałami próbowali blokować dostęp do posesji. Ktoś w telefonie odtworzył nagranie sprzed dwóch lat, na którym proboszcz parafii św. Jana Jerozolimskiego, do stycznia 2026 r. właścicielki terenu, zapewnia, że eksmisji nie będzie.

Zacznijmy od historii. Do 1945 r. sporny teren należał do Kościoła (najpierw zakonu joannitów, potem do miejscowej parafii). Po wojnie ziemię przejęło państwo, przeznaczając na pracownicze ogródki działkowe. Altany szybko zamieniły się w domy, mimo formalnego zakazu. Państwo legalizowało ten proceder: meldowało ludzi i pobierało podatek od nieruchomości.

W latach 80. parafia sądownie odzyskała prawo własności i większość działek (260 z 300) zostało wpisanych do księgi wieczystej parafii. Po likwidacji ogródków działkowych w 1994 r. do Kościoła wróciła cała ziemia – wraz z osiedlem i zamieszkującymi go ludźmi. Na początku tego roku archidiecezja poznańska sprzedała cały teren spółce JHM Development za kwotę ponad 420 mln złotych. Na mocy tej umowy Kościół ma jednak nadal prawo użytkowania nieruchomości, dlatego to on, a nie nowy właściciel, pozostaje stroną w procesach sądowych i odpowiada za eksmisje lokatorów.

Mieszkańcom zaproponowano lokale komunalne lub socjalne (uzyskało je 91 rodzin). Lepiej sytuowani mogli wynająć mieszkania od archidiecezji lub wziąć udział w programie „Mieszkanie do remontu". Lokatorom ta propozycja się nie spodobała – twierdzą, że lokale komunalne są małe i nieodpowiednie dla rodzin wielopokoleniowych, a mieszkań do remontu nie wystarcza dla wszystkich zainteresowanych (program „Mieszkanie do remontu" jest ogólnodostępny). Szacuje się, że na rozwiązanie problemu czeka wciąż od 60 do 90 rodzin z Osiedla Maltańskiego.

Eksmisje trwają. Media obiegają gorszące obrazy. Abp Zbigniew Zieliński, który podjął decyzję o sprzedaży osiedla, milczy. „Wszystko mogę, ale nie wszystko przynosi mi korzyść" – pisał św. Paweł. Kościół, który dla pieniędzy siłą odbiera ludziom domy, przestaje być świadkiem Jezusa. Nawet jeśli prawo stoi po jego stronie. ©

Przebłysk ciemnej materii?



MATTHEW KAPUST / SANFORD UNDERGROUND RESEARCH LABORATORY

Detektor LUX-ZEPLIN w trakcie budowy

WSZECHŚWIAT ▪ Ciemna materia to jedna z największych „wiadomych niewiadomych" współczesnej fizyki. Dane kosmologiczne zebrane w ciągu ostatniego półwiecza sugerują, że oprócz znanej nam materii (opisanej przez tzw. model standardowy fizyki cząstek) istnieje jeszcze inna jej forma, oddziałująca wyłącznie (lub niemal wyłącznie) grawitacyjnie. Jest więc nie tyle ciemna, ile niewidzialna i niedotykalna, a swoją obecność ujawnia dopiero w skalach kosmicznych, wpływając na ruchy i rozmieszczenie galaktyk. Wpływ ciemnej materii jest na tyle znaczący, że jej ilość szacuje się na ok. 85 proc. materialnej zawartości wszechświata.

Wysunięto wiele hipotez, z czego składa się ta wszechobecna, nieuchwytna substancja.

Najczęściej mówi się o nowym typie cząstek zwanych WIMP-ami (*weakly interacting massive particles*, czyli „słabo oddziałujące cząstki masywne"). Za ich istnieniem przemawiają zarówno pewne względy teoretyczne – WIMP-y pojawiają się w wielu rozszerzeniach modelu standardowego – jak i nadzieje obserwacyjne. Jeśli bowiem ciemna materia rzeczywiście składa się z WIMP-ów, powinna oddziaływać ze zwykłą materią także bez pośrednictwa grawitacji. Choć takie interakcje byłyby niezmiernie słabe, wystarczająco czuły detektor powinien móc je wykryć.

Taką potencjalną detekcję ogłosił właśnie zespół projektu LUX-ZEPLIN. Ich detektor to (w dużym uproszczeniu) zbiornik wypełniony siedmioma tonami ciekłego ksenonu o ścianach naszpikowanych czujnikami. Gdy atom ksenonu zostaje trafiony przez wysokoenergetyczną cząstkę, emituje specyficzny błysk (zwany scyntylacją) rejestrowany przez czujniki, co pozwala określić charakterystykę zderzenia. Aby chronić detektor przed wszędobylskim promieniowaniem kosmicznym, umieszczono go półtora kilometra pod ziemią w nieczynnej kopalni złota w Dakocie Południowej i dodatkowo obudowano szeregiem osłon przed produktami rozpadu promieniotwórczego z otaczających skał. Jak informują badacze, po pierwszych 220 dniach zbierania danych, z gąszczu trafień atomów ksenonu przez znane cząstki (które mimo wszystko dostają się do detektora) wyłowiono jedno, którego najpewniej nie da się w ten sposób wyjaśnić. Jako żywo przypomina jednak trafienie WIMP-em o masie kilkuset protonów.

Rzecz jasna, pojedynczy punkt pomiarowy to za mało, by odtrąbić odkrycie nowej cząstki. W przeszłości już kilkakrotnie donoszono o możliwych detekcjach WIMP-ów, które po zebraniu większej ilości danych rozpływały się w statystycznym szumie. Jak będzie tym razem, dowiemy się, gdy LUX-ZEPLIN przeanalizuje wyniki dalszych kilkuset dni obserwacji. Szczęścia spróbują też zapewne dwa inne detektory podobnego typu: włoski XENON i chiński PandaX. Wystarczyłoby raptem kilka scyntylacji o podobnej charakterystyce, by wreszcie rzucić nieco światła na ciemną materię.

© TOMASZ MILLER

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



TEMAT TYGODNIKA

NAJWAŻNIEJSZE PYTANIE „LALKI”

Ciekaw jestem, co nowego znaleźli w powieści Prusa twórcy jej nadchodzących ekranizacji. W niecierpliwym oczekiwaniu sam zająłem się tą kwestią.

RYSZARD KOZIOŁEK

W październiku 1950 r. w czasopiśmie „Mind” ukazał się artykuł „Computing Machinery and Intelligence”. Jego autor, Alan Turing, w pierwszym zdaniu postawił pytanie „czy maszyny potrafią myśleć?”, wkrótce jednak je porzucił, aby zająć się właściwym problemem: czy potrafimy odróżnić wypowiedź człowieka od wypowiedzi maszyny?

Test Turinga

Turing mądrze odsunął dywagacje nad możliwościami nabycia przez maszynę „świadomości”, „myślenia” czy „inteligencji”. Przecież u człowieka również mamy do tej sfery niewielki dostęp i opieramy się głównie na wnioskowaniu o czyjejś inteligencji na podstawie efektów jej wykorzystywania, przede wszystkim w mowie. Nadal nie wiemy, czy nauczymy maszynę myśleć „po ludzku”, ale mówi już bardzo dobrze.

Dla zilustrowania problemu Turing użył gry, w której uczestniczą trzy osoby: kobieta (A) i mężczyzna (B) oraz niewidząca ich osoba (C). Zadaniem tej ostatniej jest zadawać im pytania, które pozwolą zidentyfikować płeć A i B na podstawie różnic między odpowiedziami. Dodajmy, udzielanymi pisemnie, żeby uniknąć rozpoznania po barwie głosu. Celem A jest wprowadzić C w błąd. B natomiast może mu pomagać, mówiąc np. „Hej, to ja naprawdę jestem mężczyzną!”. To samo jednak może robić A.

Turing zmodyfikował tę zabawę, czyniąc z niej grę w naśladowanie człowieka przez maszynę. „Jak maszyna będzie sobie radzić z rolą A, czyli z oszukiwaniem, że jest człowiekiem?” – to było właściwe pytanie, czy też, jak mówimy dziś, „test Turinga”. Jego twórca zapowiedział, że za pół wieku, czyli po roku 2000, maszyna będzie oszukiwała skuteczniej niż człowiek.

Autor zmarł cztery lata po ukazaniu się artykułu, ale przewidział sytuację, w jakiej się znaleźliśmy za sprawą dużych modeli językowych oddanych w dyspozycję uczących się algorytmów. Wypowiedzi maszyny i człowieka przestały być rozróżnialne. A skoro mowa jest najważniejszym sposobem ekspresji odrębności gatunkowej człowieka, to jak się teraz odróżnimy od maszyny?

Co jest ludzkie?

Ciekaw jestem, co nowego znaleźli w „Lalce” twórcy jej nadchodzących ekranizacji. W niecierpliwym oczekiwaniu sam zadałem sobie to pytanie. Dla mnie czytana dziś powieść Prusa przejmuje i ożywia odwieczny niepokój człowieka wywołany poczuciem, że nie jesteśmy suwerenni; że kierują nami siły, których nie znamy lub nie mamy nad nimi kontroli. A to oznacza, że obraz siebie jako wolnej, myślącej i czującej samodzielnie osoby ludzkiej może być humanistyczną fikcją.

Nie ma u Prusa ważniejszego pytania niż to, co znaczy być człowiekiem. Zwłaszcza wobec nowej wiedzy, jakiej dostarczają nauki przyrodnicze i społeczne w XIX wieku.

Natarczywość tej kwestii ma tam podobną przyczynę, jaką dla nas stanowi sztuczna inteligencja. Dla pokolenia Prusa była to teoria ewolucji. Szybko się okazało, że nie jest to po prostu naukowe narzędzie opracowane przez Darwina dla opisu mechanizmu przemian gatunkowych. Darwinowska ewolucja była zasadą istnienia każdego żywego organizmu. W rozprawie „O pochodzeniu gatunków” wszystkie biologiczne byty są jednym – życiem, które musi się doskonalić, jeśli chce trwać. Rywalizując, współpracując, a przede wszystkim adaptując się do ciągle się zmieniających warunków środowiska.

Rozmachem narracyjnym teoria ewolucji wykraczała daleko poza dotychczasowe teorie biologiczne. Porównać ją było można tylko z opowieściami mitycznymi i religijnymi. Na dodatek, ta największa opowieść o życiu na Ziemi, jaką stworzyła nauka, obywa się bez człowieka. Wszak większa część dziejów życia rozegrała się bez naszej obecności, co odbierało człowiekowi prymarne miejsce w historii. ↦

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

Czy jesteś zwierzęciem?

↦ Natychmiast zaadaptowana przez nauki społeczne, teoria ewolucji wciągnęła człowieka i jego twory w obręb prawa doboru naturalnego, czyniąc z ludzkiej jednostki nieświadomego wykonawcę programu zapisanego w genach oraz dyspozycji środowiska naturalnego i kulturowego, w jakim przyszło mu żyć.

Prus doskonale zrozumiał antyhumanistyczne konsekwencje ewolucjonizmu, a zwłaszcza brutalną destrukcję indywidualistycznych roszczeń każdego z nas do bycia osobnym i unikatowym. Twórca pozytywizmu, August Comte, pisał, że jednostka to abstrakcja, a tylko to, co społeczne, jest rzeczywiste. Instynktownie buntujemy się przeciw takiej redukcji. A jednak prosty test, polegający na udzieleniu kilku szybkich odpowiedzi na pytanie: „kim jesteś?”, pokazuje, że wszystkie lub większość z wymienionych cech dzielimy z innymi ludźmi. Sama pewność, że jestem odrębną, niepowtarzalną i suwerenną istotą ludzką, nie wystarczy.

Dopóki, jak w grze Turinga, nie przekonam o tym innego, ciąży na mnie podejrzenie, że jestem tylko zwierzęciem lub automatem; nie mam wystarczających podstaw, aby nazywać się człowiekiem.

Tam jest nic

Algorytm na platformie streamingowej podsuwa mi utwór „I Ain’t New to Pain”, nieznanej mi grupy Breaking Rust. Słucham z zainteresowaniem do chwili, kiedy dowiaduję się, że zrobiła to sztuczna inteligencja. Czuję się nie tyle oszukany, co sobą zawstydzony, że dałem się nabrać. Ale przede wszystkim jestem rozczarowany nieobecnością człowieka.

Zwykle pokrywamy tę konfuzję wywołaną tworami sztucznej inteligencji pospieszną krytyką; buńczucznym twierdzeniem, że „czuje się” w tym robotę AI. Ale będzie coraz trudniej to dostrzec; nasza bezradność w odróżnianiu dzieła sztucznego od ludzkiego będzie coraz większa. Przewiduję „zwrot ludzki” w kulturze; regresywny opór; afirmację błędu i niedoskonałości jako emblematu ludzkich tworów artystycznych, nawet jeśli będą gorsze od sztucznych. Może nawet pojawi się cezura w historii świata i skrótem „p.e.AI” (przed erą AI) będziemy oznaczać czas dzieł wyłącznie ludzkich.

Już teraz coraz gwałtowniej domagamy się gwarancji autentyczności; dowodów na nasze człowieczeństwo. Wraca stary lęk wywołany faktem, że nie wiemy, kto naprawdę stoi za tym, co podaje się za ludzkie. Nawet najbardziej doskonałe rozwiązania i predykcje, jakich dostarczy nam inteligentna maszyna, budzą rozczarowanie i frustrację, gdyż wskazują na „nic”, które je zrodziło. Za oszałamiającą sprawnością językowych wytworów AI nie stoi żadne konkretne doświadczenie; żadne bycie, które chce lub musi mówić o sobie z innym człowiekiem. Nikogo takiego tam nie ma.

> W „Lalce” wielokrotnie powraca stereotyp zakochanego, który traci zdolność do racjonalnej oceny rzeczywistości, a już na pewno obiektu swoich uczuć. Nie jest to jednak pogląd autora.

Tymczasem jednak utraciliśmy mowę jako wyłączną własność człowieka. Wkrótce może się okazać, że także świadomość przestanie być tylko ludzka, związana nierozerwalnie z konkretną osobą, jej biografią, doświadczeniami i emocjami. Przejęta i włączona w sieć danych – w gigantyczną grzybnię informacji o pojedynczych ludzkich i nie-ludzkich istotach – będzie używana do konfiguracji dowolnych „duchów” w dowolnych „maszynach”.

Maszyny bez ducha

Tytuł powieści Prusa jest zarazem jej główną tezą: człowiek jest lalką. Czyli wykonawcą dyspozycji, które każdy z nas realizuje – świadomie lub nie – żyjąc jako istota biologiczna i społeczna. Nikt w powieści nie jest wolny od podejrzenia, że jest zwierzęciem lub maszyną; każdy musi przejść jakąś odmianę „testu Turinga”.

Dla Starskiego kobiety są samicami. Dla prezesowej Zasławskiej Ewelina to lalka, w której „nie zbudził się jeszcze ani rozum, ani serce”. Sam Wokulski swoją miłość do Izabeli włącza w ogólny mechanizm natury. „Jakież to pospolite sprężyny wywołują ruch w świecie: trochę węgla ożywia okręt, trochę serca – człowieka...”. Doktor Szuman patrzy na kryzys miłosny przyjaciela, jak na usterkę w maszynie. „Machina parowa przecież nie młynek do kawy, to wielka machina; ale gdy w niej zardzewieją kółka, stanie się gratem, bezużytecznym i nawet niebezpiecznym. Otóż w Wokulskim jest podobne kółko, które rdzewieje i psuje się...”.

Wreszcie, cała nowoczesna cywilizacja jawi się Wokulskiemu szczęśliwą armią zapracowanych automatów. Zachwycony społeczeństwem paryskim, recytuje socjodarwinistyczną lekcję: „A cóż oni robią?... Przede wszystkim nadzwyczajnie pracują, po 16-cie godzin na dobę, bez względu na niedziele i święta. Dzięki czemu spełnia się tu prawo doboru, wedle którego: tylko najsilniejsi mają prawo do życia. Chorowity zginie tu przed upływem roku, nieudolny w ciągu kilku lat, a zostają tylko najsilniejsi i najzdolniejsi”.

Rozpoznawszy bezcelowość kultury zapracowania się na śmierć, Wokulski desperuje na romantyczną modłę: „»Dajcie mi jakiś cel... albo śmierć!...« – mówił nieraz, patrząc w niebo. A w chwilę później śmiał się i myślał: »Do kogo ja mówię?... Kto mnie wysłucha w tym mechanizmie ślepych sił, których stałem się igraszką?«”.

Zabawki starego subiekta

Zadanie wytropienia ludzkiego pierwiastka w biospołecznych maszynach autor powierzył Rzeckiemu. Na początku i na końcu powieści umieszcza Prus tę samą scenę, w której pan Ignacy rozstawia i puszcza w ruch mechaniczne zabawki. Wiemy, że to stały rytuał w życiu starego subiekta.

Jak w kultowej mandze Masamunego Shirowa „Ghost in the Shell”, Rzecki – Władca Marionetek – stara się zhakować umysły uwięzione w powłokach mechanicznych figur. Trudno powiedzieć, czy kieruje nim ciekawość, chęć wyzwolenia, czy pozytywistycznej reedukacji niewolników nowoczesności. Podejrzewam go o tęsknoty do oświeconej przemocy na rzecz dobra wspólnego. Na pozór to zabawa dorosłego dziecięcymi zabawkami, ale w jej kulminacyjnym punkcie śmiech

MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT



Marcin Dorociński jako Wokulski i Kamila Urzędowska jako Izabela Łęcka w filmie „Lalka", reż. Maciej Kawalski. Kino Świat, 2026

ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX



Tomasz Schuchardt jako Wokulski i Sandra Drzymalska jako Izabela Łęcka w serialu „Lalka", reż. Paweł Maślona. Netflix, 2026

Dlaczego aż dwie ekranizacje

„Istnieją trzy drogi życia: odysejska, jezusowa i faustowska. Reszta to podatnicy" – zanotował Sándor Márai w 1949 r. „Powieść jest epopeją świata opuszczonego przez bogów" – pisał z kolei inny Węgier, György Lukács. Przywołuję myśl jednego z najważniejszych teoretyków literatury dlatego, że powieść w jej klasycznym rozumieniu – „Lalka", ale też „Germinal", „Duma i uprzedzenie" czy „Biesy" – przestała sięgać do postaci heroicznych czy boskich.

Interesują ją wzgardzeni przez Máraiego „podatnicy", zwłaszcza w momencie, gdy próbują sięgnąć którejś z „heroicznych" dróg życia. Powiedzcie sami, czy Wokulski nie próbuje po trochu każdej? Nie zostaje Odysem, bo nie zabija zalotników Izabeli, nie zostaje Jezusem, bo jego ofiara jest daremna i niepotrzebna, nie zostaje też Faustem, bo nie podąży ścieżką wiedzy.

Lukács powiada też, że w przypadku powieści „nigdy sens nie przeniknie do końca rzeczywistości". Ale wielka powieść-panorama, taka jak „Lalka", jest temu przeniknięciu rzeczywistości najbliższa, stąd potrzeba mierzenia się z nią i aktualizowania sensów w niej zawartych. W dodatku mówimy o jednym z dwóch najważniejszych tekstów polskiej literatury XIX wieku: jeśli „Pan Tadeusz" był pożegnaniem z polskością przedrozbiorową, „Lalka" zapowiada polskość nowoczesną, ze wszystkimi problemami, anachronizmami, konfliktami, przekleństwami przynależącymi naszej półperyferyjnej wspólnocie.

Wizja Prusa, zarówno na poziomie opisu społeczeństwa, jak i w skali mikro (rekonstruującej architekturę afektów Wokulskiego i Łęckiej) jest pesymistyczna. Dlaczego więc na tyle sposobów (serial, film, adaptacja teatralna, literackie „retellingi") wracamy do niej z taką intensywnością? Czy chcemy się bardziej dołować?

Być może, ale bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że fabuła powieści jest tylko pretekstem do tego, żebyśmy się jako ta pokawałkowana, zbańkowana wspólnota mogli znowu spotkać i zacząć rozmawiać o czymś, czego nie suflują nam media. W kulturowej pamięci zachowaliśmy wielkie ekranizacje i seriale: „Potop", „Lalkę", „Noce i dnie" czy „Dom".

Rozmawiało się o nich w domach i w pracy, widziało się cząstkę swojego losu, a ponieważ oglądali to minister i sprzątaczka, wnuczek i babcia, mąż i żona, niesforny pociotek i zrzędliwy wuj, ksiądz i ateusz, inteligent i robotnik, to opowieść stawała się wspólnym dobrem, należała do wszystkich, nie będąc niczyją własnością.

Pozwólmy sobie uwierzyć, że patrząc na ekranizacje „Lalki", zaczynamy splatać na nowo gordyjski węzeł wspólnoty.

© WOJCIECH ŚMIEJA

bohatera zmienia się w gniewną frustrację. I tak tysiące razy, bez skutku, Rzecki powtarza pytanie o istnienie sensu jednostek i zbiorowości, poza koniecznością przeżycia.

Jak ważna dla Prusa musiała być ta inscenizacja bezcelowej mechaniki życia, pokazuje finał powieści. Tuż przed śmiercią Rzecki znów stara się odkryć ludzki sens w „mechanizmie ślepych sił".

„I przypatrując się ruchowi martwych figur, po tysiączny raz w życiu powtarzał: »– Marionetki!... Wszystko marionetki!... Zdaje im się, że robią co chcą, a robią tylko, co im każe sprężyna, taka ślepa jak one... Kiedy źle kierowany dżokej wywrócił się na tańczących parach, pan Ignacy posmutniał. »Dopomóc do szczęścia jeden drugiemu nie potrafi – myślał – ale zrujnować cudze życie umieją tak dobrze, jak gdyby byli ludźmi«...".

Galeria samotników

Prus odkrył, że wbrew kolektywnemu duchowi pozytywnej nowoczesności, empatyczne uspołecznienie ludzi żyjących blisko siebie nie zachodzi. Ludzie-lalki się nie przyjaźnią, nie współczują sobie, nie wspierają się. W tej powieści nikomu nie udaje się zbudować żadnego dobrego związku z drugim człowiekiem. Zróbcie sobie takie ćwiczenie. Wymieńcie jakąkolwiek postać z tej powieści i określcie jej stan cywilny lub po prostu relację z innymi bohaterami: Rzecki, Ochocki, Szuman, Stawska, Wąsowska, Krzeszowska... Prawda?

Bohaterowie „Lalki" to galeria samotników. Separacja cyfrowa, której teraz doświadczamy, jest kolejnym stadium anomii życia społecznego w nowoczesnej demokracji. Niech nas trochę pocieszy, że nasza socjofobia ma długą historię.

Niewiele znam bardziej poruszających obrazów wielkomiejskiej samotności niż Rzecki, którego strój i „nieśmiałe zachowanie się, zwracały powszechną uwagę. Pan Ignacy wiedział to i coraz bardziej zniechęcał się do spacerów. Wolał przy święcie kłaść się na łóżku i całymi godzinami patrzeć w swoje zakratowane okno, za którym widać było szary mur sąsiedniego domu, ozdobiony jednym jedynym, również zakratowanym oknem, gdzie czasami stał garnczek masła, albo wisiały zwłoki zająca".

A już najbardziej przygnębia, że autor nie dał mu dość odwagi, żeby ↦

↦ dowiedzieć się, kto mieszka za drugim zakratowanym oknem. Jakby wiedział, że do tego potrzeba jakiejś nieracjonalnej siły i radykalnej nadziei, aby w świecie nieustannej oceny podjąć ryzyko bliskości. To dlatego „Lalka” jest powieścią o miłości – ostatnim może przyczółku tego, co naprawdę ludzkie w człowieku.

Stach halucynuje

Człowiek myli się inaczej. I jest to nasza najważniejsza droga do mądrości. Mimo że samochody autonomiczne powodują statystycznie nieporównanie mniej wypadków niż ludzie, wciąż z trudem godzimy się na ich powszechną obecność na drogach. A krzywdę wywołaną przez ich błąd traktujemy poważniej, niż spowodowaną przez pijanego kierowcę.

Stoi za tym prawdopodobnie przekonanie, że człowiek myli się z innych powodów i na wiele sposobów przeżywa konsekwencje swoich pomyłek. Nasze błędne wypowiedzi i decyzje mają niejęzykowe źródło, a później trapi nas poczucie winy, wstyd, wola poprawy; no i pamięć o nich nie jest w chmurze, ale w naszych udręczonych ciałach i umysłach, które dźwigają bagaż naszych doświadczeń. Jestem rzeczywistą konsekwencją moich halucynacji.

Miłość jest być może najpiękniejszym błędem człowieka, którego raczej nie popełni sztuczna inteligencja, mogąc ją jednak skutecznie udawać. Choćby stosując strategię, o której mówi Szuman, powtarzający za Schopenhauerem, że „to jedna z masek, w którą lubi przebierać się instynkt utrwalenia gatunku”.

W „Lalce” wielokrotnie powraca stereotyp zakochanego, który traci zdolność do racjonalnej oceny rzeczywistości, a już na pewno obiektu swoich uczuć. Nie jest to jednak pogląd autora. Prus nawiązuje do odmiennej tradycji, która pragnienie i odwagę dążenia do prawdy przypisuje właśnie miłości. Uczucie do Izabeli pcha Wokulskiego do działania i skutecznie odwodzi od automatyzmu codziennego życia. Nie oznacza to jednak, że miłość jest wolna od „syndromu lalki”.

Iluzja zakochanego...

Prus miał w literackim opracowaniu tego wątku znakomitego poprzednika.

Bohater opowiadania Ernsta Hoffmanna „Piaskun”, Nataniel, zakochuje się w Olimpii, która jest lalką skonstruowaną przez profesora Spalanzaniego i demonicznego Coppeliusa. Wyleczony z obsesyjnego zauroczenia lalką, zwraca się na powrót do ukochanej Klary, ale w finale uznaje ją także za lalkę i popełnia samobójstwo, rzucając się z wieży. Za pomyłką stoi fałszywe spojrzenie; prymat wzroku; uznanie przewagi wizualności nad tym, co niewidzialne i niewysłowione. Zagrożeniu iluzją podlega odtąd każdy zakochany.

„Historia owego automatu głęboko wrosła im w serce, a nawet przerodziła się w szkaradną nieufność do ludzkiej postaci. Młodzi ludzie, z obawy, czy nie kochają się w lalkach z drewna, wymagali od panien, żeby ile możności śpiewały i tańczyły nie w takt, żeby robiły pończochę lub haftowały, podczas kiedy im coś czytano, lub przynajmniej bawiły się z psem lub kotem, ale nade wszystko, żeby nie słuchały wszystkiego obojętnie, ale odpowiadały coś takiego, co by przecież dowiodło, że umieją czuć i myśleć.” (przeł. Felicjan Faleński, 1867).

...i ryzyko zakochanego

Prus nie żartuje z tego dylematu. Jak Turing wie, że źródło czucia i myślenia w innym człowieku jest nam niedostępne; że jedynie poprzez artykulacje możemy wnioskować o emocjach i refleksjach innego. Biegłość w używaniu mowy od wieków budziła niepokój, że mówiąc o tym samym różnymi językami, zamieniamy rzeczy na słowa.

„Nas nauczono widzieć w kobietach anioły i tak też je traktujemy. Jeżeli one jednak są przede wszystkim samicami, to my wydajemy się w ich oczach głupsi i niedołężniejsi niż jesteśmy” – mówi Wokulski w rozmowie z baronem Dalskim i wie, że oba sposoby nazywania Izabeli są w jego własnej dyspozycji – romantyczna idealizacja i darwinowski naturalizm. Nie dość, że sam nie jest pewien, który język jest adekwatny, to nie opuszcza go podejrzenie, że i ona żongluje wypowiedzią, zależnie od efektu, jaki chce uzyskać. „Więc jej dowodzenia, uniesienia, a nawet wzruszenia są tylko sposobami, za pomocą których dobrze wychowane panny czarują takich jak ja głupców?”.

I tym sposobem Prus i Turing podają sobie ręce. Lalka i człowiek są równie skuteczni w udawaniu zakochanego człowieka. Jak zatem na podstawie wypowiedzi odróżnić naturalne od sztucznego? Jak znaleźć odwagę, żeby się

REKLAMA



nie stroić, nie maskować, nie korygować na społecznościowych profilach? Właśnie w ryzyku i gotowości wydania na pastwę języka tego, co w nas niejęzykowe – naszych dusz i ciał, tak podatne na zranienie; tak głodne pozbawionych dystansu i ekranu czułej troski, aprobaty i afirmacji.

Wokulski zakochany jest gotów na jedno i drugie. Miłość daje mu prawo, żeby się tego publicznie domagać, ryzykując śmieszność i odrzucenie. „To właśnie miłość potrafi dać pożądaniu siłę mówienia, wypowiedzenia siebie, zachowując przy tym źródło słowa, które samo nigdy się nie zbliża do języka" (Luce Irigaray „Narodzić się. Początek nowej istoty", przeł. Katarzyna Szopa).

Poza językiem

Prus używa w „Lalce" miłości jako metody falsyfikacji człowieczeństwa. Przeprowadza nieudany eksperyment odróżnienia dwóch ludzkich istot od „lalek". Bada, czy miłość nadal służy człowiekowi jako narzędzie indywiduacji, czyli procesu integracji jednostki poprzez wyodrębnienie się i zobaczenie w ten sam sposób tego, kogo się kocha.

To miłość budzi rozum i serce ludzkiej „lalki" z iluzji życia w świecie wyobrażonym za nas przez stereotypy, wzorce klasowe; przez algorytmy kultury. Przezwycięża samotność i społeczną separację, rodzi pragnienie innego człowieka, nie chcąc go zawłaszczyć, ale stworzyć z nim relację.

Że to się Wokulskiemu nie udaje? Ale przywraca go do życia, czego nie były w stanie zrobić pieniądze ani nauka. „To nie przypadek, że najpiękniejszym dziedzictwem naszej kultury jest świadectwo poszukiwań, które wzniecają pożądanie, nie mówiąc wiele o spełnieniu w momencie dzielenia się nim" (Luce Irigaray). Miłość uświadamia każdemu, kto kocha, że przyczyna i cel ludzkiej mowy leżą poza językiem. Są tym, co niemożliwe do wypowiedzenia. Najdoskonalszej wypowiedzi skonstruowanej przez algorytm

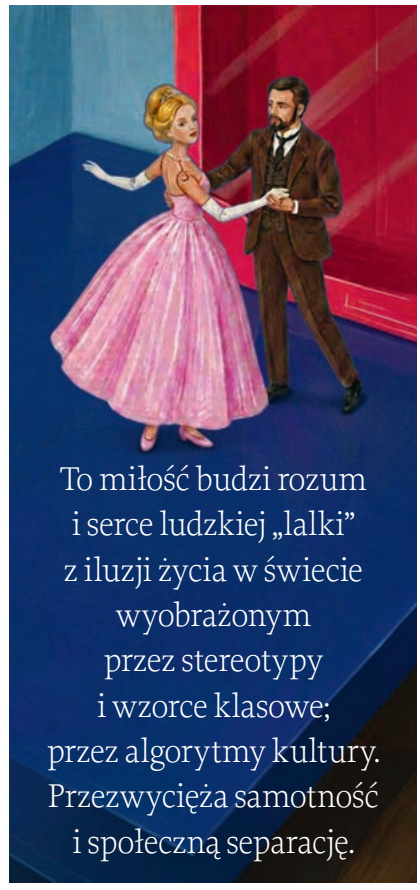

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

To miłość budzi rozum i serce ludzkiej „lalki" z iluzji życia w świecie wyobrażonym przez stereotypy i wzorce klasowe; przez algorytmy kultury. Przezwycięża samotność i społeczną separację.

nie poprzedza ludzkie bycie, które chce wyjść poza siebie ku innemu i musi mówić o tym niemożliwym do wypowiedzenia doświadczeniu.

„»– Tak kocham... tak kocham... – szepnął. – I nie mogę zapomnieć!...« W tej chwili opanowało go cierpienie, na które w ludzkim języku już nie ma nazwiska. Dręczyła go zmęczona myśl, zbolałe uczucie, zdruzgotana wola, całe istnienie... I nagle uczuł nie pragnienie, ale – głód i żądzę śmierci."

Rzeczy nowe

„Lalkę" rozpoczyna wspaniałe długie zdanie; syntaktyczny *long take*, który łączy duże z małym, globalne z lokalnym, jednostkowe z ogólnym.

„W początkach r. 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem san-stefańskim, wyborem nowego papieża, albo szansami europejskiej wojny, warszawscy kupcy, tudzież inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia, nie mniej gorąco interesowała się przyszłością galanteryjnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokulski."

Wydaje się, że to inicjalny popis ironicznego humorysty, który wielkie ściąga do poziomu małego, a małemu przypomina, że jest częścią niepojmowalnej całości. Ale u Prusa powaga nie kłóci się z ironią lub kpiną. Niejednoznaczność dotyka wszystkiego. Jeszcze zanim w szkaradny marcowy dzień Wokulski pojawi się w powieści, papież zostanie wybrany. Stanie się to 20 lutego 1878 r., a będzie nim Gioacchino Pecci, który przybierze imię Leon XIII. Jednym z najważniejszych jego dokonań będzie encyklika „Rerum novarum", w której proklamował radykalną tezę, że Kościół musi mierzyć się z nowoczesnym światem; zabierać głos, wspierać i pomagać rozumieć to, co nowe i niepojmowalne.

Dziś również stoimy w obliczu rzeczy nowych tak bardzo, że nikt nie potrafi przewidzieć, dokąd nas zaprowadzą albo co z nimi zrobimy. Leon XIV, ogłaszając fundamentalnie ważną encyklikę o sztucznej inteligencji, udowodnił, że nie jest tylko imiennikiem, ale kontynuatorem idei mierzenia się Kościoła z „rzeczami nowymi". Nie czeka na rządy, na gremia naukowe, ale wychodzi naprzeciw naszej niepewności, gdyż wie dobrze, iż „większość osób pozostaje w oczekiwaniu, przygląda się z oddalenia i po prostu ma nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze. Właśnie dlatego w naszym sumieniu stajemy przed rozstrzygającymi pytaniami, których nie można już dłużej uchylać: Dokąd zmierzamy? Ku jakiemu celowi pragniemy się skierować? Jaki kierunek winniśmy obrać jako wspólnota ludzka i jako narody?".

Wielka powieść Prusa znów przypomina, jaką naiwnością jest myśleć, że „wszystko ułoży się dobrze", skoro jesteśmy coraz bardziej nowocześni, wykształceni i wolni. To złuda lalki.

© RYSZARD KOZIOŁEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl
promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"



KRAJ

KOLEJKA WIDMO

Mieliśmy otrzymać nowocześniejszy i bardziej wiarygodny system informacji o terminach wizyt u lekarzy. Dostaliśmy narzędzie, które przekazuje dane jeszcze dalsze od prawdy.

SZYMON DĄBROWSKI

Do końca czerwca 2026 roku każdy mógł sprawdzić w prowadzonym przez NFZ internetowym Informatorze o Terminach Leczenia, gdzie na wizytę u specjalisty czeka się najkrócej. System umożliwiał porównanie poradni na podstawie zgłaszanych przez nie pierwszych wolnych terminów. Jeśli w jednej z nich najbliższa wizyta była dostępna za miesiąc, a w innej dopiero za pół roku, pacjent od razu widział różnicę.

Dane w informatorze nie zawsze były aktualne. Zdarzało się, że placówki nieprawidłowo je raportowały, a część nieścisłości można było wykryć dopiero dzięki interwencjom pacjentów czy specjalistów analizujących dane. Mechanizm był jednak prosty: placówka wskazywała termin, a pacjent mógł go zobaczyć, porównać z innymi i na tej podstawie podjąć decyzję.

W lipcu 2026 roku zmienił się jednak sposób informowania pacjentów o dostępności świadczeń. Zmiana ta miała ułatwić pacjentom znalezienie terminu wizyty i uprościć proces rejestracji. Efekt okazał się daleki od zakładanego.



PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Port lotniczy Rzeszów-Jasionka, sierpień 2026 r.

Co jest dezinformacją

Pierwszy wolny termin w Informatorze o Terminach Leczenia (IoTL) został zastąpiony przez Prognozowany Czas Oczekiwania na Udzielenie Świadczenia (PCUŚ). Nie jest to termin wskazany przez konkretną placówkę, lecz prognoza wyliczana centralnie przez algorytm na podstawie danych z ostatnich 12 miesięcy.

Resort zdrowia uzasadnia zmianę tym, że informacje o pierwszym wolnym terminie szybko się dezaktualizowały i znacznie różniły od rzeczywistej dostępności świadczeń w momencie kontaktu pacjenta z placówką. Ministerstwo przyznaje, że dane w starym systemie „często prowadziły do dezinformacji" – tymczasem obecna prognoza ma ograniczyć ten problem. Zamiast konkretnego, ale często mylnego terminu podaje ona spodziewany czas oczekiwania na wizytę, obliczany przez NFZ.

Prognoza w PCUŚ jest określana na podstawie zbiorczych danych raportowanych przez placówki za cały miesiąc, i tylko raz w miesiącu aktualizowana. Jeśli kolejka zacznie się w tym czasie gwałtownie wydłużać, prognoza będzie jeszcze przez kolejne miesiące wskazywać znacznie krótszy, a tym samym fikcyjny czas oczekiwania.

Jak to wygląda w praktyce, prześledziliśmy na przykładzie. Jeszcze pod koniec czerwca Kliniki Ortodontyczne Poznań informowały o ponad 500 dniach oczekiwania na pierwszą wizytę w poradni. W lipcu PCUŚ dla tego samego świadczenia wskazywał tylko 17 dni. Sprawdzenie sytuacji bezpośrednio w placówce ujawniło, że zapisy prowadzone są dopiero na marzec 2028 roku. To termin zbliżony do ponad 500 dni oczekiwania, raportowanych przez placówkę pod koniec czerwca, a nie do 17 dni wskazywanych przez PCUŚ, który miał w założeniu walczyć z dezinformacją.

Nawet jeśli to skrajny przykład, pokazuje on, jak bardzo prognoza może różnić się od faktycznej sytuacji w konkretnej placówce. Resort zdrowia broni się twierdząc, że algorytm nadaje większą wagę nowszym obserwacjom, dzięki czemu szybciej uwzględnia zmiany w czasie i ogranicza wpływ starszych danych. Problem w tym, że nawet te najświeższe dane wykorzystywane przez algorytm wciąż pochodzą od pacjentów, którzy już przeszli przez kolejkę. PCUŚ próbuje więc na podstawie ich doświadczeń przewidzieć sytuację osób, które dopiero do tej kolejki dołączą. Czy taki mechanizm rzeczywiście prowadzi do trafnych prognoz, pokazuje dopiero analiza większej liczby placówek.

Kręta droga do prawdy

Aby sprawdzić, czy skrajne przypadki są tylko wyjątkami, redakcja portalu „Świat Przychodni" porównała prognozy PCUŚ wyliczone na lipiec z ostatnimi czasami oczekiwania, raportowanymi przez placówki według wcześniejszej metodologii – czyli danymi dostępnymi w ostatnim dniu czerwca. Za trafną uznaliśmy prognozę, która różniła się od wcześniejszego raportu o nie więcej niż 10 dni lub 10 proc. czasu, w zależności od tego, który próg był łagodniejszy.

Sprawdziliśmy m.in. placówki wykonujące rezonans magnetyczny oraz poradnie zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. W przypadku rezonansu przeanalizowaliśmy 476 miejsc udzielania świadczeń. Prognoza PCUŚ mieściła się w przyjętej tolerancji w ledwie 47 przypadkach (9,9 proc.). Z kolei w 432 miejscach wskazywała na początku lipca znacznie krótszy czas oczekiwania od tego raportowanego przez placówki jeszcze 30 czerwca. W poradniach zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży na 230 zbadanych miejsc tylko 25 prognoz (10,9 proc.) mieściło się w przyjętej tolerancji. W 211 przypadkach PCUŚ obiecywał krótszy czas oczekiwania niż ten podany przez placówkę na koniec czerwca.

Wyniki pokazują wyraźną prawidłowość: w badanej próbie PCUŚ przedstawiał pacjentom w lipcu znacznie bardziej optymistyczną rzeczywistość niż ta raportowana do końca czerwca przez same placówki.

Szczególnie wyraźnie problem widać wtedy, gdy warunki funkcjonowania placówek nagle się zmieniają. W kwietniu 2026 r. przywrócono limity finansowania części badań kosztochłonnych, w tym tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego, co przełożyło się na wydłużenie czasu oczekiwania na te badania. Tymczasem PCUŚ nadal opiera się w przypadku tych świadczeń na danych sprzed wprowadzenia zmiany, dlatego wskazuje krótszy czas oczekiwania niż ten, z którym rzeczywiście muszą się liczyć pacjenci.

Ministerstwo przyznaje, że PCUŚ nie jest gwarancją dokładności. Podkreśla, że to prognoza i – jak każda prognoza – jest obarczona błędem. Problem zaczyna się wtedy, gdy prognoza zastępuje informację o rzeczywistych terminach, a pacjent nie ma już dostępu do danych, które pozwoliłyby mu ocenić, jak bardzo przewidywania resortu różnią się od prawdy.

Czterdzieści dni

To nie jedyny obszar, w którym zmiany okazały się co najmniej kontrowersyjne. Następny wiąże się z wprowadzaną w kolejnych dziedzinach ochrony zdrowia Centralną e-Rejestracją (CeR), czyli ogólnokrajowym systemem informatycznym, umożliwiającym pacjentom zapisywanie się online na badania oraz wizyty u lekarzy specjalistów w ramach NFZ. System ma zbierać w jednym miejscu ↦

↦ wolne terminy ze wszystkich placówek medycznych w Polsce.

Od lipca 2026 r. Centralna e-Rejestracja w pełni obejmuje kardiologię i umożliwia pacjentowi zapisanie się na świadczenie poprzez Internetowe Konto Pacjenta (IKP), bez telefonowania do rejestracji czy przychodzenia do placówki osobiście. Nie trzeba również przekazywać pracownikowi danych ze skierowania – są one automatycznie pobierane z elektronicznej dokumentacji. Tradycyjna droga pozostaje oczywiście dostępna: kto chce, nadal może zadzwonić do placówki albo zapisać się na miejscu.

Konsekwencją wprowadzonych zmian jest też inny sposób, w jaki pacjent może sprawdzać dostępność terminów. Prognozowany czas oczekiwania jest dostępny publicznie, bez logowania i bez skierowania. Jednak konkretne wolne terminy pacjent zobaczy dopiero po zalogowaniu do IKP i na podstawie skierowania. Oznacza to, że można publicznie poznać prognozę, ale nie można w ten sam sposób sprawdzić pełnej dostępności terminów w konkretnych placówkach.

Co ciekawe, w przypadku wizyt u lekarzy Centralna e-Rejestracja pozwala pacjentowi wybierać spośród wolnych terminów przypadających wyłącznie na najbliższe 40 dni. Nie wynika to z braku danych – świadczeniodawcy mają przekazywać do centralnej bazy harmonogramy obejmujące co najmniej trzy miesiące naprzód. Ministerstwo Zdrowia potwierdza, że terminy przypadające później niż 40 dni są nadal centralnie gromadzone, ale nie są prezentowane pacjentom. Przyjęcie 40-dniowego okna jest więc świadomym wyborem projektowym, a nie ograniczeniem technicznym. Resort określa je jako rozwiązanie funkcjonalne, które ma umożliwiać „elastyczne zarządzanie kolejkami".

Tyle że w ten sposób system przestał informować o rzeczywistej długości kolejki. Pacjent dowiaduje się jedynie, czy dostanie się do lekarza w ciągu najbliższych sześciu tygodni. Jeśli wolnych miejsc brak, późniejsze terminy nie są już wyświetlane, a rzeczywisty czas oczekiwania pozostaje nieznany.

Kto znikł z ekranu?

Skutki tego rozwiązania wyraźnie widać na poziomie konkretnych przychodni. Według stanu na 31 sierpnia 2026 r., na ponad 1200 poradni kardiologicznych mających kontrakt z NFZ pacjent mógł zarezerwować termin przez CeR w około 650. W pozostałych nie było takiej możliwości.

Nie oznacza to, że placówki te przestały przyjmować. Po prostu ich najbliższe wolne terminy mogły przypadać później. System nie informuje jednak, czy kolejka wynosi dwa miesiące, czy dwa lata, ani czy brak terminów wynika z braku miejsc, czy z przyczyn technicznych. Pacjent, który nie znajdzie odpowiedniego terminu, może na szczęście skorzystać z tzw. poczekalni. System będzie wtedy automatycznie szukał wizyty zgodnej z jego preferencjami i zapisze go, gdy taki termin się pojawi. Nie trzeba więc samodzielnie sprawdzać, czy coś się zwolniło, ale nadal nie wiadomo, jak długo potrwa oczekiwanie na wizytę.

W dużym mieście brak jednej przychodni na liście to niewielki problem, bo pacjent wybierze inną. W mniejszej miejscowości, gdzie dana poradnia jest jedyną w powiecie, jej zniknięcie z ekranu oznacza dla pacjenta brak informacji o tym, czy i kiedy może skorzystać z leczenia.

> System pozwala pacjentowi wybierać spośród wolnych terminów na najbliższe 40 dni. Jeśli miejsc brak, późniejsze daty nie są już wyświetlane, **a czas oczekiwania pozostaje nieznany.**

Większe tajemnice

Zmieniło się również to, co z danymi o kolejkach mogą zrobić osoby i instytucje spoza systemu ochrony zdrowia. Przez lata informacje o kolejkach były publicznie dostępne nie tylko za pośrednictwem IoTL. Fundusz udostępniał również API, czyli mechanizm pozwalający zewnętrznym podmiotom automatycznie pobierać dane z Informatora, w tym raportowane przez placówki pierwsze wolne terminy. Dzięki API można było analizować zmiany w czasie i niezależnie od NFZ sprawdzać dostępność świadczeń. W Centralnej e-Rejestracji nie przewidziano jednak rozwiązania, które pozwalałoby zewnętrznym podmiotom gromadzić i weryfikować dane.

Ministerstwo argumentuje, że informacje o wolnych terminach zmieniają się dynamicznie i ich udostępnianie mogłoby prowadzić do prezentowania nieaktualnych danych. Rzeczywiście, termin może zostać zajęty wkrótce po jego pojawieniu się w systemie. Nie wyjaśnia to jednak, dlaczego nie udostępnia się innych form informacji o dostępności świadczeń. Można przecież publikować dane zagregowane albo zestawienia tworzone na podstawie informacji, które system i tak wykorzystuje do własnych obliczeń. Nie chodzi więc o brak danych, bo państwo wciąż je gromadzi i przetwarza na potrzeby działania systemu. Pytanie dotyczy tego, które informacje pozostają dostępne dla obywatela, a które są widoczne tylko dla administracji.

Rzecznik Praw Pacjenta przedstawiał Centralną e-Rejestrację jako rozwiązanie korzystne dla pacjenta. W komunikacie opublikowanym na stronie internetowej w kwietniu 2026 r. podkreślał, że system ma „ułatwiać dostęp do świadczeń, zwiększać przejrzystość systemu i dawać równe szanse wszystkim". Rzecznik wskazywał również, że rozwiązanie „wzmacnia prawa pacjenta do szybkiej i dostępnej opieki zdrowotnej".

Do Biura Rzecznika skierowaliśmy pytanie o ocenę ograniczenia informacji o kolejkach: w szczególności zawężenia wyboru terminów w CeR do najbliższych 40 dni oraz rezygnacji z publikowania pierwszych wolnych terminów. W odpowiedzi Biuro Rzecznika stwierdziło, że kwestia ta „nie jest ściśle związana z kompetencjami Rzecznika Praw Pacjenta" oraz że urząd nie posiada wiedzy niezbędnej do jej merytorycznej oceny.

Łatwiej, ale trudniej

Reasumując, zamiast konkretnego terminu pacjent może dziś dostać prognozę opartą na danych historycznych. W CeR zobaczy tylko terminy mieszczące się w 40-dniowym oknie, a placówka mająca umowę z NFZ może w ogóle nie pojawić się w wynikach. Coraz trudniej jest też niezależnie pobrać i porównać dane o dostępności świadczeń. W efekcie zapisanie się na wizytę stało się łatwiejsze, ale sprawdzenie, gdzie naprawdę poczeka się najkrócej, jest dziś dla pacjenta znacznie trudniejsze niż w czerwcu.

© SZYMON DĄBROWSKI



JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Mateusz Morawiecki podczas konferencji Rozwój Plus. Warszawa, 20 sierpnia 2026 r.

Prorocy świętego rozwoju

MARCIN KĘDZIERSKI

POLITYKA | Powinniśmy bronić status quo i korzystać z owoców wypracowanych w III RP, a może zacisnąć zęby i rozwijać kraj? W obu wariantach trzeba znaleźć tego, kto zapłaci najwyższą cenę.

W debacie publicznej istnieje kilka aksjomatów, które nie budzą wątpliwości, jak choćby inwestycje w żłobki czy konieczność ogromnych zbrojeń. Jednak prawdziwym królem polskich aksjomatów jest wzrost PKB, a szerzej – rozwój gospodarczy. Jeśli cokolwiek miałoby ten rozwój zakłócać, automatycznie jest skazane na niebyt. Analogicznie, jeśli coś pozytywnie wpływa na PKB, musi być dobre. Rozwój jest święty.

Kuszenie patrycjusza

Religia rozwoju gospodarczego (a może rozwojomania?) ma oczywiście swoich proroków, którzy stoją na czele coraz silniejszych w polskim internecie środowisk. W pewnym momencie część z nich skupiła się na promocji (a później obronie) Centralnego Portu Komunikacyjnego, zaś ruch „Tak dla CPK", przemianowany później na „Tak dla Rozwoju", stał się jednym z głównych „kościołów" gromadzących wyznawców tej religii.

Dominującą rolę odgrywają w tych środowiskach mężczyźni w średnim wieku, raczej z większych miast (za Jarosławem Flisem elektorat ten można nazwać nowym polskim patrycjatem). Ich nastroje wyczuł szybko Kanał Zero, tworząc dla tej grupy ofertę i promując takich proroków rozwoju jak Maciej Wilk, jeden z najgłośniejszych zwolenników budowy CPK, który przez dłuższy czas miał nawet własny format w stacji Krzysztofa Stanowskiego.

Równolegle w sieci pojawiło się kilku influencerów, takich jak choćby Adam Czarnecki, przewodniczący „Rady Koordynacyjnej Stowarzyszenia Tak dla CPK", którzy regularnie odpytywali polityków różnych opcji na okoliczność budowy megalotniska, elektrowni atomowej czy innych „projektów rozwojowych". W efekcie temat rozwoju wszedł na dobre do publicznego mainstreamu i będzie jednym z głównych tematów kampanii wyborczej w przyszłym roku.

Nie przypadkiem temat ten wziął na polityczny sztandar były premier Mateusz Morawiecki, który swoje stowarzyszenie nazwał właśnie „Rozwój Plus". Chce on zagospodarować „patrycjuszowski" elektorat, który z jednej strony jest przerażony szaleństwami skrajnej prawicy, a z drugiej zmęczony „rozwojowym dryfem", proponowanym przez ekipę premiera Donalda Tuska (a przynajmniej taki wizerunek przylgnął do szefa Koalicji Obywatelskiej za kluczenie w sprawie budowy CPK).

Morawiecki przez lata budował swój polityczny *image* jako specjalista od PKB, przez co może się dziś jawić jako wiarygodny lider dla tej grupy. Jedyną skazą na tym wizerunku (o ile ktoś jest w stanie pójść za głosem byłego premiera rządu PiS) są pandemiczne restrykcje, z którymi Morawiecki jednoznacznie się kojarzy – dla niektórych „rozwojowców" to grzech nie do wybaczenia.

Choć narracja (pro)rozwojowa wydaje się atrakcyjna i nie prowokuje kontrowersji, to w praktyce nie jest wcale jednoznaczna. W tym kontekście warto postawić kilka pytań, a odpowiedzi na nie będą definiować szereg praktycznych decyzji.

Bożek wzrostu PKB

Po pierwsze trzeba ustalić, czym jest rozwój, co jest jego celem i jak powinniśmy go mierzyć. W powszechnym przekonaniu rozwój utożsamiany jest ze wzrostem PKB, jego celem jest zwiększenie dochodów, a miarą stosunek do poziomu zamożności państw Zachodu. Upraszczając: chodzi o to, abyśmy prześcignęli Niemców.

Dlatego z taką lubością rozkoszujemy się artykułami w międzynarodowej prasie, które straszą choćby Brytyjczyków, że w 2030 r. będą biedniejsi od Polaków. Albo informacjami, że z naszym przeciętnym dochodem właśnie przegoniliśmy Portugalczyków i powoli zbliżamy się do Hiszpanów.

Tyle że taka perspektywa jest mocno zawężająca, i co ważniejsze – ryzykowna. Z jednej bowiem strony motory wzrostu, które zapewniały nam w ostatniej dekadzie fantastyczną koniunkturę (niższe koszty pracy; renta demograficzna w postaci dużej liczby młodych, dobrze wykształconych pracowników), mogą wyczerpać się tak szybko, jak się pojawiły. Choćby za sprawą rewolucji AI czy szybkiego procesu starzenia się naszego społeczeństwa.

Z drugiej strony, możemy coraz mocniej doświadczać czegoś, co nazywam „niemiecką chorobą", z którą RFN mierzy się ↦

↦ od pewnego czasu – powolna zapaść usług publicznych oraz zużycie infrastruktury będą generować dla polskich obywateli coraz wyższe koszty, co przełoży się negatywnie na nasz dobrobyt. W efekcie może się okazać, że mimo najszczerszych chęci przestaniemy doganiać mityczny Zachód.

Może zatem potrzebujemy mierzyć nasz rozwój w inny sposób – nie dochodem, ale poziomem społecznego szczęścia? Współczynnikiem dzietności i rozwodów? Odsetkiem młodych, którzy mają problemy psychiczne? Liczbą ofiar powodzi i innych klęsk żywiołowych? Długością kolejek do lekarzy? Kłopot w tym, że przyjęcie takiej perspektywy mogłoby podważyć zwyczajowe rozumienie rozwoju gospodarczego i zakwestionować wiele pięknych opowieści o 20. gospodarce świata.

Mając to na uwadze, należy rozjaśnić drugą ważną kwestię: dlaczego w ogóle potrzebujemy rozwoju? Czy nie jest dobrze tak, jak jest? Czy musimy ryzykować utratę tego, co zdobyliśmy licznymi wyrzeczeniami w ostatnich 37 latach?

Odpowiedź nie jest oczywista. Kiedy obserwowałem zeszłoroczny kampanijny objazd Sławomira Mentzena, podczas którego w każdym powiecie obiecywał ludziom, że nie pozwoli na żadne eksperymenty i „będzie tak, jak jest", odnosiłem wrażenie, że wielu naszych rodaków obawia się rozwoju. Może w przeciwieństwie do wielkomiejskiego patrycjatu martwią się, że za ten kolejny skok gospodarczy przyjdzie im zapłacić tak, jak w latach 90. XX w. za reformy Leszka Balcerowicza?

Ale może jest tak, że bez kolejnego skoku rozwojowego nie da się utrzymać obecnego stanu posiadania?

Starcie narracji

W ten sposób dochodzimy do trzeciego kluczowego zestawu pytań: kto ma być beneficjentem rozwoju, a kto powinien ponieść jego koszty? Czy nazwiemy rozwojem sytuację, w której 10 proc. Polaków przechwyci zdecydowaną większość korzyści, za które zapłaci głównie pozostałe 90 proc.? Jak zadbać o bardziej równomierny podział benefitów i kosztów? Czy owoce wzrostu znów trafią głównie do największych miast, kosztem dalszej zapaści polskiej prowincji?

Obserwując spory polityczne w ostatnich miesiącach, odnoszę wrażenie, że

> Utożsamiamy rozwój z PKB i rozkoszujemy się artykułami straszącymi Brytyjczyków, że już niedługo będą biedniejsi od nas. **To bardzo ryzykowne. Nasze motory wzrostu właśnie się wyczerpują.**

jesteśmy świadkami rosnącego napięcia pomiędzy dwiema opowieściami. Jedna z nich to narracja wykorzystywana przez Sławomira Mentzena, choć jej echa da się także usłyszeć w przekazie KO, PSL i Nowej Lewicy, ale także Przemysława Czarnka.

W skrócie narracja ta zakłada obronę *status quo*. Ważnym jej elementem jest rysowanie perspektywy wojny z Rosją – „cieszmy się z tego, co mamy, bo istnieje realne ryzyko, że ktoś nam to zabierze". Opowieść ta jest nośna choćby dlatego, że ludzie naprawdę boją się wojny – zarówno tej z Rosją, jak i tej na Bliskim Wschodzie, która dotknęła ich portfeli za przyczyną wzrostu cen paliw.

Nie powinno być więc żadnym zaskoczeniem, że takie głosy częściej słychać w Polsce lokalnej, choćby dlatego, że jest ona zdecydowanie bardziej zależna od cen surowców energetycznych (brak transportu publicznego, eksploatacja maszyn), a jednocześnie była mocniej doświadczana kolejnymi etapami transformacji.

Alternatywna opowieść zdobywa popularność głównie wśród wielkomiejskiego elektoratu, mającego doświadczenie pracy czy to w administracji publicznej, czy też w globalnych korporacjach. To grupa, która wciąż jest głodna i chciałaby więcej – także dlatego, że albo ma za sobą międzynarodowe doświadczenia (inne niż praca na zmywaku), albo regularnie współpracuje z zagranicą, wyzbywając się resztek kompleksów. To ludzie, którzy często ani sami nie konkurują już kosztami pracy, ani od tych niskich kosztów nie są uzależnieni. Dlatego paradoksalnie łatwiej być im krytycznymi wobec imigracji zarobkowej – z ich perspektywy masowa migracja stanowiłaby barierę powstrzymującą polską gospodarkę przed technologicznym skokiem.

Z grupą obrońców *status quo* łączy ich jeden pogląd – niechęć wobec socjalu i urzędników. Dla części rozwojowców to przepalanie cennych zasobów, które państwo mogłoby wydać w bardziej produktywny sposób. Z kolei dla zwolenników *status quo* – socjal to przejadanie ciężko zarobionych przez nich pieniędzy. Wystarczy spojrzeć, z jak chłodnym przyjęciem spotkał się najnowszy pomysł Przemysława Czarnka, by świadczenie „Dobry Start" podwyższyć z 300 do 800 zł.

To samo dotyczy podwyżki wynagrodzeń dla budżetówki – choć rozwojowcy wiele mówią o silnym państwie, nie będą umierać za tak mocno krytykowany sektor publiczny. Nie jest zresztą przypadkiem, iż to właśnie za rozwojowego technokraty Morawieckiego byliśmy świadkami turboprywatyzacji usług publicznych, z ochroną zdrowia na czele.

Zgrany duopol

Nurt odmieniający rozwój przez wszystkie przypadki nie ogranicza się jednak do grupy skupionej wokół byłego premiera, która opuściła PiS. Dorzuciłbym tu jeszcze środowisko Partii Razem (wraz z Polą Matysiak, która dokonała rozwojowego coming outu), Krzysztofa Bosaka oraz Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz. Ona sama jest zresztą bardzo ciekawym przykładem rozwojowego nurtu polskiej polityki: potrafi jednocześnie walczyć z nadzwyczajnymi zyskami banków i najmem krótkoterminowym oraz domagać się podwyżki wysokości drugiego progu podatkowego. W ten sposób idealnie trafia w gusta wielkomiejskiego, zamożniejszego elektoratu, który z rosnącą niechęcią patrzy na uzależnienie polskiej gospodarki od zagranicznego kapitału, ale sam równie niechętnie dokładałby się do publicznej kasy.

Zwolennicy zarówno opowieści o konieczności obrony *status quo*, jak też tej o potrzebie nieustannego rozwoju, to grupy wewnętrznie zróżnicowane – jednak nie ulega dla mnie wątpliwości, że te dwa środowiska okażą się na tyle spójne, by narysować jedną z najważniejszych osi politycznego podziału przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. Możliwe, że oś ta nie będzie aż tak wyraźna jak w 2005 r. (Polska solidarna vs Polska liberalna), ale trudno dziś wyobrazić sobie silniejsze linie polaryzacyjne, zwłaszcza przy obecnym układzie

polityczno-partyjnym, opartym na zużytym duopolu Kaczyński/Tusk.

Co istotne, nowa linia podziału nie będzie sporem za lub przeciw samemu rozwojowi. Zwolennicy obu grup będą starali się raczej udowadniać, że tylko ich narracja jest gwarancją utrzymania najważniejszego: suwerenności państwa.

Szukając czempionów

Stara narracja o suwerenności jest dobrze znana i zgrana (zła Unia, złe Niemcy, Rosja u bram, etc.), w przeciwieństwie do narracji prezentowanej choćby przez Mateusza Morawieckiego. Dlatego warto przyjrzeć się bliżej tej opowieści rozwojowej, bo jest ona czymś nowym w polskiej polityce. „Narodowy dewelopmentalizm", promowany przez byłego premiera, zauważalny jest także w wielu innych środowiskach okołopolitycznych, w tym narodowych, ale także lewicowych, w których wizja rozwijającego się państwa jest bliska socjaldemokratycznym ideom.

Jednym z głównych elementów tej narracji jest konieczność budowania polskiego kapitału, w tym polskich czempionów gospodarczych. Stąd też Morawiecki w swoich wypowiedziach często podkreśla, że nasz rozwój jest mocno uzależniony od zagranicznego kapitału, i realnie nie jesteśmy wcale 20. gospodarką świata, tylko lokujemy się gdzieś w piątej dziesiątce. Można by powiedzieć, że narracja ta wprost kontestuje model liberalnej gospodarki otwartej, promowany przez Leszka Balcerowicza.

Jednocześnie jednak w opowieści o potrzebie budowania polskiego kapitału (i kapitalistów), do której nieustannie wraca Morawiecki, umykają mu takie kwestie, jak nierówności społeczno-ekonomiczne czy też instytucje, które mają stać na straży obywatela. Jeśli w tej opowieści w ogóle pojawiają się jakiekolwiek instytucje, to jako wehikuły wspierające zagraniczną ekspansję polskich czempionów.

W tej opowieści pojawia się też wróg – ale już nie Rosja czy Unia, lecz bardziej Chiny, a w sposób nie do końca wypowiedziany także Stany Zjednoczone (choć wprost nikt nie wypowiada wojny cyfrowym gigantom, i tego raczej nie zrobi). Opowieść ta zakłada, że jeśli nie weźmiemy się od razu do roboty i nie zaczniemy wspierać polskich czempionów oraz rozwijać polskiej technologii, wszyscy zginiemy.

To zaś wymaga wyrzeczeń, a ja dodałbym, że także zaciskania pasa. Choć Morawiecki nie używa świadomie tej frazy, to wydaje się jasne, że ktoś będzie musiał za ten rozwojowy skok zapłacić. Zważywszy na fakt, że baza wyborcza „rozwojowców" to osoby tylko powierzchownie zamożne (bo mimo wysokich zarobków często mają ogromne kredyty mieszkaniowe, a i praca w korporacjach, jak pokazują ostatnie miesiące, niekoniecznie musi być stabilna), o wiele łatwiej będzie się ona decydować na poświęcenia, jeśli staną się udziałem głównie uboższych klas społecznych. Tym bardziej że nie można przecież nadmiernie opodatkować najbogatszych, czyli polskiego kapitału, który dopiero chcemy akumulować.

Trzecia droga?

W ten sposób dochodzimy jednak do paradoksu – w tej narracji albo nie dokonamy rozwojowego skoku i się cofniemy (najbardziej kosztem zapaści prowincji), albo dokonamy go... również kosztem prowincji.

Czy istnieje jakieś wyjście z tej pułapki? Czy da się pogodzić narrację rozwojową z troską o interesy tych, którzy dziś obawiają się o utrzymanie zdobyczy ostatnich 37 lat? Jakąś propozycją jest przygotowana w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej nowa strategia rozwoju kraju, która próbuje pogodzić obydwie perspektywy – rozwój technologiczny polskiej gospodarki z jednej strony, oraz interesy i jakość życia mieszkańców Polski, zwłaszcza tych żyjących poza największymi miastami, z drugiej. Model policentrycznego rozwoju stanowi bezpośrednią odpowiedź na fiasko poprzednich strategii, którym nie udało się zatrzymać zapaści Polski B, rozumianej jako sieć kilkudziesięciu średnich miast.

Problem w tym, że opracowana w ministerstwie strategia jest sierotą. Premier Tusk publicznie zadeklarował, że „krojenie strategii rozwoju kraju i głównych kierunków działań na dekadę to robota bez sensu". Z dotychczasowych zapowiedzi Morawieckiego również nie wynika, aby rozwój policentryczny był atrakcyjną alternatywą dla „narodowego dewelopmentalizmu".

Nie rozstrzygając wyniku starcia rozwojowców z obrońcami *status quo*, pozostaje trzymać kciuki, by w tym wszystkim nie zgubić interesów zwykłych Polaków. Koreańska ścieżka narodowych czempionów, która umożliwiła stworzenie globalnej pozycji Samsunga, Hyundaia, LG, ale także szeroko rozumianego K-popu, o ile w ogóle jest możliwa do powtórzenia, prowadziła przez całkowity demontaż tamtejszego społeczeństwa. Po 37 latach neoliberalnej kuracji to chyba ostatnia rzecz, jakiej Polacy dziś potrzebują. © MARCIN KĘDZIERSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

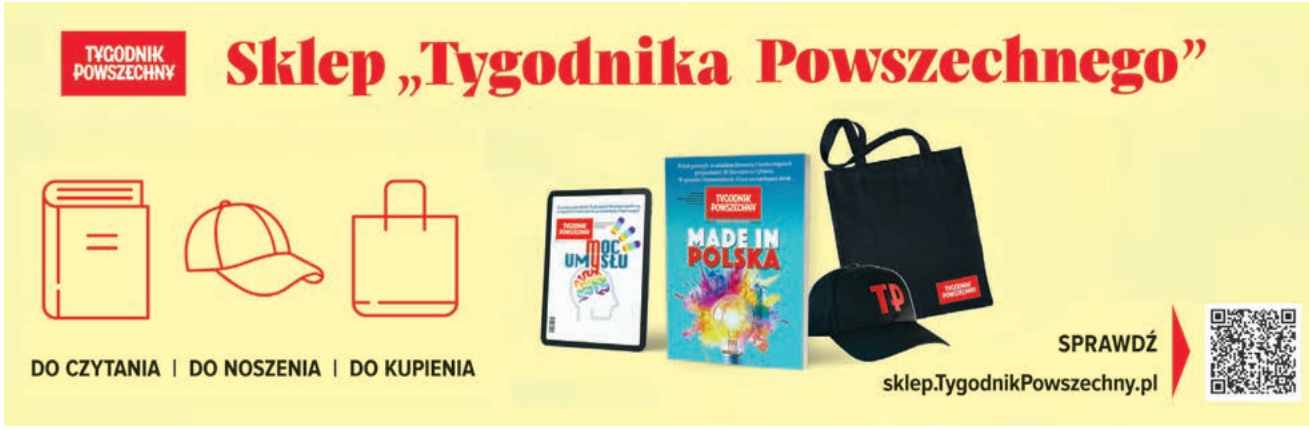



RADEK PIETRUSZKA / PAP

Radosław Piesiewicz w Centrum Olimpijskim PKOl w Warszawie, 24 kwietnia 2026 r.

Głowa rodziny

RAFAŁ STEC

SPORT | Od świętego oburzenia w środowisku sportowym wręcz skwierczy, tak jakby Radosław Piesiewicz oszukał ludzi nieświadomych, kim jest. Tymczasem szef PKOl to typ działacza bezcennego, najbardziej poszukiwanego na tym rynku.

Wyobraźmy sobie dwóch konkurentów ubiegających się o szefowanie związkowi rządzącemu jedną z dyscyplin sportowych w Polsce. Kandydat A słynie z biznesowego zmysłu i koneksji pozwalających pozyskiwać dla organizacji mnóstwo pieniędzy, ale nie ma obsesji na punkcie uczciwości i będzie po cichu wsuwał do własnej kieszeni „prowizję" od zdobywanych środków – o czym wszyscy w środowisku wiedzą.

Kandydat B uchodzi za krystalicznie czystego, korupcją i finansowymi przekrętami się brzydzi, więc aż tylu funduszy nie przyciągnie. Federacja pozostanie bogata, lecz nie stanie się jeszcze bogatsza. Na kogo zagłosują działacze? Wybór jest oczywisty, w fotelu prezesa rozsiądzie się skuteczny łajdak, który nie boi się pobrudzić dłoni, gdy można sięgnąć po szmal.

Tej fundamentalnej lekcji polityki sportowej udzielił mi przed ponad dwiema dekadami doświadczony działacz, kiedy jako młody reporter relacjonowałem wojnę o władzę w Polskim Związku Piłki Siatkowej, wywołaną m.in. przez kontrolę skarbową. Urzędnicy uznali, że olbrzymie pieniądze, pochodzące również z państwowych dotacji, są rozdawane nie wiadomo na co i za co, lekką ręką, z pogardą dla prawa. Bo dla każdej federacji, usłyszałem, celem nadrzędnym pozostaje maksymalnie obfity budżet.

Tamte słowa huczą mi w głowie dziś, gdy Radosław Piesiewicz, po latach doniesień o jego prawdopodobnych nadużyciach popełnianych na kilku prominentnych stanowiskach w sporcie, został osadzony w areszcie – z zarzutami płatnej protekcji. Szef PKOl miał złamać prawo również w ten sposób, że odzyskał zainwestowane w Zondacrypto pieniądze, choć innym nieszczęśnikom wypłat odmówiono.

Pozostali zarządzający rodziną olimpijską – jak przyjęło się mówić w środowiskowym slangu – zapłonęli gniewem i w przytłaczającej większości prą do błyskawicznej dymisji skompromitowanego prezesa. Od świętego oburzenia wręcz skwierczy, jakby przed kilkoma chwilami znienacka zdemaskowano złoczyńcę, który wcześniej pozostawał poza wszelkim podejrzeniem. Oto do PKOl wtargnął łobuz z zewnątrz, by oszukać nieświadomych, Bogu ducha winnych ludzi sportu. Skąd mogli wiedzieć, co będzie?

Niestety, mogli, nawet powinni.

Tokeny bez wartości

Zanim Piesiewicz zasadził się wiosną 2023 r. na prezesurę w PKOl, rządził krajową koszykówką – autorytarnie, ignorując procedury, prowokując gracza NBA Marcina Gortata do wysuwania oskarżeń o klientelizm, przedkładanie własnych interesów nad dobro dyscypliny oraz bezdenną sportową niekompetencję.

Tydzień przed wyborami w PKOl „Polityka" opisała stworzony przez Pie-

siewicza system, oparty na przyjaźni z Jackiem Sasinem, ówczesnym ministrem aktywów państwowych. Główny bohater tekstu jako szef PZKosz odpalał sobie działki od umów reklamowych ze spółkami Skarbu Państwa, zatajał ich wysokość, wbrew ustawie o sporcie przyjmował przelewy w ramach zarejestrowanej jednoosobowej działalności gospodarczej.

A jednak w wyborach w PKOl zebrał aż 82-procentowe poparcie, odurzając elektorat obietnicą załatwienia sponsoringu na kwotę 300 mln zł.

Tacy dobroczyńcy, polegający wyłącznie na wpływach politycznych, są bezcenni dla działaczy, którzy nie umieją pozyskiwać wsparcia od prywatnych firm i nie lubią szczegółowo tłumaczyć się ze sposobu wydatkowania dotacji ministerialnych. Ci ostatni zatem „głosowali, ale się nie cieszyli" – przywołując kultową frazę byłego wicepremiera Jarosława Gowina – i za wszelką cenę unikali publicznego wyjaśniania, dlaczego wynieśli na szczyt kandydata, delikatnie mówiąc, kontrowersyjnego. Okoliczności łagodzące polegały właśnie na tym, że zblatowany z wierchuszką PiS-u Piesiewicz zarówno nęcił marchewką, jak i wymachiwał kijem, grożąc antagonistom odcięciem od zapowiadanych wielomilionowych podarków.

Pół roku później możliwość pacyfikowania krytyków szantażem odebrały mu wyniki wyborów parlamentarnych, po których władzę przejęła Koalicja Obywatelska. Z czasem śmielsze ruchy zaczęła wykonywać w PKOl opozycja, jednak przy prezesie wciąż trwał tłum sojuszników – choć stale przybywało poszlak lub twardych dowodów na słuszność postulatu Gortata, by skazać go na dożywotnią banicję ze świata sportu.

Piesiewicz jako pierwszy w historii przywódca naszego olimpizmu pobierał pensję (choć wcześniej deklarował działalność *pro publico bono*). Podczas igrzysk w Paryżu w 2024 r. wyrzucił horrendalne pieniądze na Dom Polski – urządzony w zabytkowym pałacyku w Lasku Bulońskim, z blichtrem niedostępnym dla reprezentacji krajów znacznie potężniejszych sportowo. Zadawał tam szyku w luksusach drastycznie odbiegających od osiągnięć zawodników w biało-czerwonych strojach, ubogich w medale jak nigdy wcześniej.

Kilka miesięcy później gdańska prokuratura wszczęła śledztwo, podejrzewając Piesiewicza o malwersacje na kwotę 9,3 mln zł – jako działacz koszykarski miał wystawiać nieuzasadnione faktury, przede wszystkim za fikcyjne usługi pośrednictwa. Aż wreszcie prezes potajemnie związał PKOl z giełdą Zondacrypto kuriozalnie niekorzystną umową, która zwolniła „sponsora" z odpowiedzialności za wahania kursowe tokenów mających współfinansować rekordowe premie dla medalistów zimowych igrzysk olimpijskich.

Prawie wszystkie detale dotyczące przywołanych faktów były znane, gdy pół roku temu prezydium PKOl pogrubiło pensję Piesiewicza z 41 tys. do 58,5 tys. zł miesięcznie. Hojni działacze zdawali sobie wówczas sprawę, że bohaterom igrzysk wciąż nie wypłacono nagród, zresztą tokeny stały się wkrótce bezwartościowymi ciągami cyferek.

Ulubieniec gwiazd

Głowę rodziny olimpijskiej wskazują delegaci krajowych związków sportowych oraz zasłużeni zawodnicy, Piesiewicza wspierała m.in. plejada medalistów olimpijskich – Leszek Blanik, Otylia Jędrzejczak, Adam Korol czy najbardziej entuzjastyczna Renata Mauer. Zwolennicy wykruszali się powoli, ale nawet dzisiaj, pomimo pętli zaciskającej się na szyi prezesa, na szczytach PKOl wciąż nie ma pełnej jednomyślności.

A przecież Piesiewicz zarządzał, jak wspomnieliśmy, również PZKosz, przecież wcześniej krótko współkierował jeszcze Polskim Związkiem Piłki Siatkowej, słusznie uchodzącym za funkcjonujący niemal wzorowo. Importowany znikąd wiceprezes oficjalnie miał odpowiadać za marketing, ale w istocie został wezwany w trybie alarmowym jako komandos od akcji na styku z polityką, bo działacze borykali się z prawidłowym rozliczeniem państwowych dotacji. Pozbyto się go, gdy nie podołał.

Historia ta, ciągnąca się przez dekadę z okładem, powinna uzmysławiać, że jej bohater nie jest chorobą, która dotknęła jeden fotel w PKOl – pechowo akurat najcięższy – z powodu wstrzykniętego przez wrogów śmiercionośnego wirusa. Ona stanowi objaw choroby toczącej rozległy system.

Piesiewicz, podobnie jak szefowie poszczególnych dyscyplin sportowych, to emanacja całego środowiska. Zdominowanego przez podążanie za kryteriami merkantylnymi jako jedynymi sensownymi. Zdeprawowanego wiarą, że można liczyć tylko na mecenat państwa lub samorządu, bo na wolnym rynku niczego nie wyszarpiemy; samo *know-how* nie wystarczy, lepsze jutro trzeba wymodlić u politycznych wszystkich świętych.

Osławiony neon rozświetlający fasadę gmachu PKOl – „Zondacrypto Centrum Olimpijskie im. Jana Pawła II" – wyglądał tyleż groteskowo, co emblematycznie dla mentalności, którą włada przekonanie, że sukces musi spaść z nieba. Skutki bywają społecznie szkodliwe na wielu poziomach, generując nie mniej ofiar niż afery kryptowalutowe. Polskich miast nie stać na darmowe baseny czy ping-ponga dla wszystkich dzieci, lecz radni zawsze wysupłają miliony na pensje dla wyczynowych piłkarzy, także kopiących się w czoła na boiskach niskoligowych.

Zdarzają się również sceny anegdotyczne, a zarazem wybitnie symptomatyczne. Kiedy przed laty do zarządu PZPS wcisnął się Ryszard Czarnecki, przylepiający się do sportowych stołków przez bite ćwierćwiecze, zaczął pajacować jako ekspert telewizyjny. Choć z siatkówką nic go nie łączy, oczywiście poza obsiadywaniem lóż na meczach, z poważną miną recenzował grę reprezentacji Polski wespół z siedzącym obok mistrzem olimpijskim Ryszardem Boskiem.

Prowadzący program dziennikarze i inni obecni w studiu czuli zażenowanie, ale układ z politykiem obejmował również jego brylowanie. Czarnecki to uwielbia, potrafi wyniuchać każdą kamerę, przed którą wypowie się na dowolny temat, nigdy nie czuje wstydu. Nie przeszkadzało mu nawet to, że był bodaj najprzeraźliwiej wygwizdywanym działaczem, jakiego spotkałem na imprezach w Polsce.

A może powszechnie używamy nieadekwatnego określenia? Im dłużej obserwuję związki sportowe, tym częściej myślę, że nie zasiedlają ich działacze, lecz załatwiacze. Załatwiają publiczne datki, więc są bezcenni, najbardziej poszukiwani, nietykalni nawet dla przyszłych generacji sztucznej inteligencji.

„Piesiewicz" globalny

Piesiewicz działa i załatwia lokalnie, a taki Gianni Infantino – globalnie. ↦

↦ Prezes FIFA nie leży, przynajmniej na razie, na więziennej pryczy – choć grożą mu pozwy – ale również się doigrał: swoim zuchwalstwem i poczuciem bezkarności rozpętał międzynarodową kampanię mającą pozbawić go władzy nad światową piłką nożną.

Zawrzało, kiedy „Times" ujawnił, że Szwajcar pracuje – w tajemnicy, tak jak szef PKOl pertraktował z Zondacrypto – nad odsprzedaniem 20 proc. komercyjnych praw do mundiali prywatnemu konsorcjum inwestorów, którym przewodzi Joshua Kushner, związany z rodzinno-biznesowym otoczeniem Donalda Trumpa.

Infantino popełnił świętokradztwo, ponieważ najważniejszy futbolowy turniej uchodzi za wspólne dobro wyjęte spod logiki zysku, a nowi udziałowcy, przedstawiciele zimnej finansjery – nie planowano nawet przetargu! – oczekiwaliby dochodów możliwie najwyższych i wywierali presję, spychając cele sportowe na dalszy plan.

Pochodzący głównie z Europy rebelianci zagrozili bojkotem rozgrywek organizowanych przez FIFA, zażądali dymisji jej szefa, strzelają wzniosłymi tyradami o przyświecających im wyższych ideach, kryminalnych zachowaniach oskarżonego, ostatecznym upadku wartości. Furię wzmaga świeże wspomnienie mundialu, zapaskudzonego lawiną skandali – wywołanych głównie przez prezydenta USA, przed którym Infantino wyłącznie klęczy, łamiąc przy okazji status swojej organizacji, nakazującej mu bezwarunkową apolityczność.

Oglądamy znajome obrazki: moralny wyrok skazujący nakładany na menedżera, który jako pozbawiony skrupułów hochsztapler obnażył się wiele lat temu, ale poparcie tylko powiększał. Powierzenie Infantino prezesury w 2016 r. nie budziło niepokoju, wybory w FIFA wygrywał jako urzędas bez właściwości, znany głównie z prowadzenia losowań rozgrywek UEFA. Natychmiast jął jednak siekać maczetą po bezpiecznikach – praktycznie zlikwidował niezależną komisję etyczną, którą postanowiła zbadać jego działalność; ograniczył możliwość wszczynania śledztw w sprawie krętactw działaczy; wymusił wprowadzenie przedawnienia za łapówkarstwo. Mimo to uzyskał reelekcję jako jedyny kandydat, dzięki jednogłośnej decyzji przedstawicieli wszystkich 211 państw członkowskich.

Neon na fasadzie PKOl – „Zondacrypto Centrum Olimpijskie im. Jana Pawła II" **– wyglądał tyleż groteskowo, co emblematycznie** dla mentalności, wedle której sukces musi spaść z nieba.

Potem coraz intensywniej podlizywał się Trumpowi, coraz intensywniej współdziałał z bliskowschodnimi dyktatorami. Nie pisnął ani sylabą, gdy Katarczycy łamali umowy w trakcie organizowanego u siebie mundialu, i pod ich wpływem nakazał karać żółtymi kartkami piłkarzy zakładających kapitańskie opaski w kolorach tęczy, a obcemu kapitałowi usiłował sprzedać mistrzostwa świata klubów. Aż wreszcie podeptał wszelkie regulaminy, by sprezentować najważniejszy piłkarski turniej Arabii Saudyjskiej.

Ta ostatnia operacja okazała się orgią działaczowskiej służalczości. Inne kandydatury zostały wycięte wiele miesięcy przed głosowaniem, szejkowie nie mieli rywali, po wyborze przez aklamację ujrzeliśmy owację na stojąco wszystkich zgromadzonych na zjeździe FIFA – na wszelki wypadek „obradujących" przed ekranami aplikacji Zoom, by utrudnić ewentualne spiskowanie za kulisami, gdyby jacyś nadwrażliwcy poczuli, że warto zachować się przyzwoicie.

Haniebne stężenie

Teraz polska, i szerzej: zachodnia opinia publiczna żyją w przeświadczeniu, że Infantino zostanie niechybnie obalony, ale to w sporej mierze złudzenie, naiwność naszego kręgu cywilizacyjnego, czyli odbiorców anglojęzycznych mediów lub tłumaczeń z tychże, którzy wsłuchują się przede wszystkim w głosy działaczy z Europy.

Infantino również, podobnie jak Piesiewicz, „załatwia" olbrzymie pieniądze, rozdając krajowym federacjom więcej niż jakikolwiek poprzednik – stać go właśnie dlatego, że ubija interesy za wszelką cenę i z każdym zainteresowanym, więc FIFA (organizacja *non profit*!) dysponuje miliardami. Wyzwanie prezesowi rzucają zamożne federacje z Globalnej Północy, broni go natomiast lub przynajmniej zachowuje wstrzemięźliwość Globalne Południe, dla którego zasiłki z centrali stanowią czasami pomoc o znaczeniu egzystencjalnym.

Do sprzymierzeńców Szwajcara należą przede wszystkim działacze z Afryki i Oceanii, ale wstawia się za nim także Argentyna, czyli jedno z futbolowych supermocarstw.

Tak jak Piesiewicz nieprzypadkowo przez dekadę panoszył się na szczytach naszego sportu, tak Infantino nieprzypadkowo trzyma władzę nad światową, a Cezary Kulesza nad polską piłką nożną. Żaden nie jest nasłanym z zewnątrz zbójem, który władzę ukradł – każdy przejmował ją demokratycznie. Ba, wszyscy wygrywali wybory z miażdżącą przewagą nad rywalami lub bez konieczności pokonywania kogokolwiek, nawet gdy było już całkowicie jasne, co sobą reprezentują.

Kiedy szef PZPN odbierał reelekcję dzięki poparciu delegatów o stężeniu 84-procentowym, mieliśmy już za sobą serię jego wizerunkowych klęsk, chaotycznych decyzji dotyczących reprezentacji Polski czy alkoholowych ekscesów, które prawdopodobnie odstraszyły od kontynuowania pracy trenera Paulo Sousę. Reakcja środowiska? Wyborczego zjazdu nie uświetniła nawet – zapisana w porządku obrad – dyskusja o zamykanej kadencji.

Dlatego naiwnie brzmią rytualne nawoływania zdesperowanych kibiców, by FIFA czy PZPN rozwiązać, zaorać, budować wszystko od zera. Jeśli rzeczywiście zdołalibyśmy takie organizacje rozebrać do gołej ziemi, trzeba by mianować następców, których wyłoniłyby te same środowiska – kierujące się identycznymi motywacjami, pożądające załatwiaczy.

Znamienne, że Kulesza nie zabiera głosu ani w sprawie Piesiewicza, ani w sprawie Infantino. Prezes PZPN nie podpisał listów wymierzonych w szefa PKOl (według rzecznika związku o niczym nie wiedział), nie wyraził też dezaprobaty dla poczynań prezesa FIFA. Ten ostatni pojawił się nawet w filmiku, który PZPN opublikował niedawno w internecie z okazji 5. rocznicy objęcia stanowiska przez swego aktualnego szefa.

Rozsądne. Po co się wychylać, skoro nie wiadomo, co będzie? © RAFAŁ STEC

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OLGA

Drenda:
Jeżozwierz i wtajemniczenie



Sezon ogórkowy, wraz z jego generującą nonsensy błogą nudą, jako taki chyba należy już do przeszłości. Zbyt wiele się dzieje rzeczy mających niebezpieczny i bezpośredni wpływ na stan ogółu, niestety. Zdarza mi się czuć coś w rodzaju mieszaniny rozgoryczenia z tęsknotą za krótkim momentem, gdy sensacje trzeba było zmyślać, bo codzienne życie toczyło się z tak niską intensywnością.

Dlatego wśród doniesień o kolejnych aktach niezrozumiałej przemocy, licznych przyczynkach do rozczarowania ogólnym stanem ducha czy nieodmiennie żenujących poczynaniach na scenie politycznej, naprawdę relaksujących doznań dostarczały kolejne wiadomości o obowiązkowej w sezonie ogórkowym pumie na wolności. Pum miało tym razem po polskich dróżkach krążyć więcej niż zazwyczaj, do tego w rozmaitych lokalizacjach, i zapewne to ten brak umiaru żartownisia sprawił, że mistyfikacja szybko wyszła na jaw: puma okazała się wirtualna.

Puma może i była cyfrowa, ale jeżozwierz dla odmiany już nie. Do tego aż trzy jeżozwierze, bo tyle ich właśnie uciekło z prywatnej hodowli i rozpierzchło się po Mazowszu. „Co zrobić, jeśli spotkasz jeżozwierza?" – takiej informacji zapewne wielu mieszkańców okolic nie spodziewało się otrzymać za swojego życia, i pewnie pod nosem powtarzało sobie słynny cytat z filmu „Chłopaki nie płaczą" o tym, jakie zwierzęta żyją w Polsce. „Jeżozwierz przechytrzył służby", „pozostawił po sobie jedynie kolce", i podobne wyimki czytało się jak cytaty z przygód Tytusa, Romka i A'Tomka, ze zdumieniem i rozbawieniem,



OLGA DRENDA

Pewne umowne podobieństwo do jeżozwierza

choć oczywiście przede wszystkim ze współczuciem dla zdezorientowanego i wystraszonego zwierzaka.

Czy hodowanie takich zwierząt w Polsce, w prywatnych warunkach, to w ogóle dobry pomysł – mam sporo wątpliwości, ale to temat na inną rozmowę. Najbardziej chciałam, żeby wszystkie zostały znalezione (w chwili, gdy piszę te słowa, jeden z jeżozwierzy wciąż wodzi służby za nos) i żeby mogły sobie żyć w spokoju po tej przedziwnej eskapadzie. Ale śledzenie doniesień o gryzoniach uciekinierach przypomniało mi o mojej własnej niegdysiejszej przygodzie, tyle że ze sztuką abstrakcyjną. Może wpłynął na to jakoś fakt, że jeżozwierz na mazowieckiej równinie to rzeczywiście abstrakcyjny czynnik. Jeden ze świadków wydarzeń zarejestrował tajemniczego zwierza na drodze w nocy. Utrwalenie jeżozwierza w trakcie biegu sprzyjało rozproszeniu się jego kolczastej czupryny tak, że falowała swobodnie jak pióropusz. Gdy łapki znajdowały się nad ziemią, cała postać składała się właściwie z tego falującego kształtu, unoszącego się swobodnie w powietrzu jak gigantyczna lotka do badmintona.

Myślałam, że wygląda to trochę tak, jakby ktoś wykonał kilka swobodnych machnięć pędzlem lub piórkiem, tyle że ten kształt na chwilę zastygłby w przestrzeni. Gdzieś już coś takiego widziałam – i w tym momencie zaczęłam uruchamiać mocno przyrdzewiałe tryby pamięci. To był obraz abstrakcyjny, który widziałam przed wielu laty na kiepskiej reprodukcji.

Gdy byłam dzieckiem, na reprodukcje dzieł sztuki trafić było bardzo łatwo – drukowano wiele, a książki nieraz po prostu leżały w różnych poczekalniach, świetlicach szkolnych, biblioteczkach ośrodków wczasowych, więc o sztukę można było się wręcz potknąć, wcale się o to nie prosząc. I tak trafiłam na któryś z charakterystycznych obrazów Hansa Hartunga, malarza z powojennego nurtu informel, w którym najważniejszy był właśnie nieskrępowany gest. Kilka energicznych ruchów pędzlem, swobodne czarne linie i tyle – niby nic, a jednak moje ówczesne próby rekonstrukcji tego gestu przy pomocy kredek zupełnie nie oddawały tej samej swobody kompozycji, tego, że ślady pędzla naprawdę przypominały jeżozwierza w biegu. Nurt abstrakcji niegeometrycznej dążył do wyzwolenia się od zasad kompozycji, tak by obraz właściwie tworzył się sam i samoistnie wyłaniał z gestów. W przeciwieństwie do moich dziecięcych prób ze sztuką abstrakcyjną, na obrazie Hartunga, który tak mi się spodobał, powstawało jakieś drżenie, ruch, melodia.

To, co wydawało się takie łatwe i przypominało luźny zbiór kresek, okazało się wymagające praktyki, dyscypliny, namysłu i nauki, a zatem – tym ciekawsze, jak kodeksy sztuk walki, które adept poznawał stopniowo. Tę historię o wtajemniczeniu przypomniał mi pewien jeżozwierz, który – mam nadzieję – teraz już spędzi w spokoju i bez nadmiernych przygód resztę swojego gryzoniego życia. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



„TP" 35/2026

Bronię Jamiego Olivera

Przeczytałem wywiad z Martą Dymek-Boniecką. Sama akcja super: dobre, pozytywne działanie. Natomiast w pytaniu o Jamiego Olivera [brytyjski kucharz, autor książek i programów kulinarnych, który walczył w Wielkiej Brytanii i USA o poprawę jakości żywienia w szkołach – red.] piszecie, że „poniósł spektakularną klęskę, przegrywając z urzędnikami, lobbystami, ale też z rodzicami podającymi swoim pociechom burgery przez ogrodzenie". To nieprawda: Jamie stworzył ruch, zebrał błyskawicznie ponad 200 tys. podpisów, a pierwsze zmiany ustawowe w Wielkiej Brytanii wprowadzono już po kilku miesiącach od rozpoczęcia akcji. A te burgery i ogrodzenie to już doprawdy nie wiem, skąd wytrzasnęliście.

CZYTELNIK

OD AUTORA:
Oglądałem misyjne programy Olivera z przejęciem i trzymając kciuki. Bardzo go też lubię i szanuję jako osobę, która nie tylko pokazuje piękno gotowania, ale też wytrwale robi to, w co wierzy. Niemniej faktem jest, że jego „Food Revolution" w USA skończyła się niepowodzeniem wskutek oporu lokalnych urzędników, kosztów, a także niezadowalającej oglądalności programu. Pojawiały się głosy, że Amerykanie z przyczyn historyczno-kulturowych nie lubią być pouczani przez Brytyjczyków. Inni eksperci wskazywali jako przyczynę niepowodzenia *convenience culture* i wyniesione z domu przyzwyczajenia. W Wielkiej Brytanii, mimo początkowego sukcesu, o którym Pan pisze, wprowadzone na fali rewolucji Olivera regulacje zaczęły być wycofywane tylnymi drzwiami – opowiadał o tym sam autor „Guardianowi", oskarżając władze o torpedowanie przedsięwzięcia. Właśnie ukazał się raport założonej przezeń organizacji „Bite Back", dokumentujący łamanie standardów żywienia dzieci i młodzieży w brytyjskich szkołach. Podawanie burgerów przez płot też jest faktem: to obrazek z Rawmarsh Community School, z protestu rodziców przeciw wprowadzanym na fali kampanii Olivera zmianom. Wszystko to nie znaczy, że Jamie Oliver nie ma racji lub że nie działał ze szlachetnych pobudek. Ale, jak w naszym wywiadzie mówi Marta Dymek-Boniecka, jeden mesjasz nie wygra z problemem, który jest wieloaspektowy, systemowy i wymaga długotrwałych, zbiorowych wysiłków – od legislacji, przez edukację, po kolację.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

POŻEGNANIE

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Andrzeja Wielowieyskiego

Jego śmierć jest ogromną stratą dla wszystkich Polaków,
a szczególnie dla środowisk Znaku, Więzi, Klubów Inteligencji Katolickiej,
z których się wywodził i które kształtował.

Żołnierz AK, publicysta, niestrudzony działacz społeczny i polityk, ekspert Komitetu Strajkowego w 1980 r., doradca Lecha Wałęsy, uczestnik obrad Okrągłego Stołu,wieloletni poseł i senator z ramienia Unii Demokratyczej i Unii Wolności, poseł do Parlamentu Europejskiego, przewodniczący polskiej delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, założyciel i członek licznych organizacji społecznych, budowniczy instytucji III RP i jej społeczeństwa obywatelskiego, a także społeczeństwa europejskiego, znawca historii i jej współtwórca, zapalony i oddany wychowawca i edukator, człowiek dobrej rady i autentycznego dialogu, znakomity negocjator, gotów zawsze zaangażować się w dobrą i twórczą sprawę.

Ojciec siedmiorga dzieci, praktyk i ekspert w sprawach rodzinnych,
autor wielokrotnie wznawianej książki „Przed nami małżeństwo".

Bolejąc głęboko nad stratą nauczyciela i przyjaciela, łączymy się z Dziećmi i całą Rodziną śp. Andrzeja w modlitwie

WYDAWNICTWO, MIESIĘCZNIK I FUNDACJA ZNAK



PSYCHE

WSTYDŹ SIĘ MĄDRZE

Dopiero gdy dopuszczamy do siebie możliwość wstydu, pojmujemy, kim tak naprawdę jesteśmy.

TEKST: MICHAŁ TOMCZUK | ILUSTRACJA: MAGDA WOLNA DLA „TP”

Wstyd za Polaków bijących Ukraińców na ulicach. Za „oze-sroze” w obliczu katastrofy klimatycznej. Wstyd za antysemityzm Brauna i za potępienie par jednopłciowych przez prezydenta.

I na odwrót: wstyd za tych, co nie pilnują polskiego interesu; którzy zapomnieli, czym jest naród i sprzedadzą go za miskę soczewicy. Wstyd za sprzeniewierzenie się Kościołowi. Za tęczową ideologię eurokołchozu.

A teraz unisono: wstyd za lekarzy, którzy doją służbę zdrowia. Wstyd za „głębokie zakorzenienie w historii sufferingu”. Wstyd za bycie „polaczkiem”. Wstyd, wstyd, hańba!

Jak miło to słowo spełza z języka. Szczególnie jeśli skanduje się je w gromadzie. Dobrze w końcu stać na straży ludzkiego sumienia. A beznadziejnych przypadków jest coraz więcej...

Wstydzić powinni się nie tylko politycy i lekarze, ale i gwiazdy muzyki pop i alternatywnej, aktorzy i reżyserki, nepo-babies i ci, którzy doszli do sławy własnymi siłami, a którzy „sprzedali się” po drodze.

Wstydzić powinni się również ci, którzy nadmiernie zawstydzają innych. Granica między hejtem a orędownictwem wobec sprawiedliwości jest w końcu cienka. Podobnie granica między zawstydzaniem a byciem zawstydzanym.

Wstydzimy się również przed lustrem. Ponieważ na brzuchu mamy trzy fałdki zamiast dwóch i nieco zbyt duże boczki. Pory na twarzy też mamy zbyt duże. Nogi zbyt grube, biceps zbyt mały. Zbyt wąskie usta. Zbyt owłosione nogi.

Czujemy się maciupcy w obliczu przeszłości: biedy z czasów PRL-u, a wcześniej pokoleń pod jarzmem sąsiadów. Maciupcy wobec przyszłości, generowanej przez pokolenia, które nie zaznały na własnej skórze, co to znaczy żyć w podległym państwie i które nic sobie nie robią ze wstydu minionych pokoleń.

Wstyd, bardziej niż jakakolwiek inna emocja, określa sferę publicznego dyskursu. Dlaczego nie potrafimy o nim poważnie rozmawiać?

Cywilizacja wstydu

Współcześnie wolimy raczej przerzucać się wstydem, niż go przyjąć i zrozumieć. Przypomina to nieco zabawę typu „piłka parzy”, tyle że zamiast piłki obrzucamy siebie oskarżeniami i ten przegrywa, kto z palącą hańbą zostanie.

Nie zawsze tak było. Cała zachodnia cywilizacja została zbudowana na wstydzie serwowanym na zimno. To na nim opierała się codzienność starożytnych Greków. Określany był przez nich za pomocą dwóch terminów. *Aidos* odnosiło się do poczucia wstydu, a więc zdolności do rozpoznania, który czyn byłby hańbiący, gdyby go wykonać. Z kolei *aiskhune* opisywało zarówno tę umiejętność, jak i samą emocję, jaką zhańbiony w oczach innych Helleńczyk odczuwał po dokonaniu szkody.

Istotność wstydu w życiu starożytnych znalazła obszerne odzwierciedlenie w kulturze czasów. W „Iliadzie” i „Odysei” *aidos*, czyli poszanowanie praw ludzkich, było istotnym czynnikiem decyzji podejmowanych przez bohaterów. W późniejszych wiekach Sofokoles zrobił karierę na opowieściach o *aiskhune* i pewnej szczególnie pechowej tebańskiej rodzinie królewskiej.

„Antygona” opiera się przecież na hańbie wobec państwa, jaką tytułowa księżniczka Kadmejczyków musi przyjąć za wypełnienie obowiązku wobec rodziny. Wybiera bowiem (w absolutnym poczuciu powinności w dodatku!), aby pochować wygnanego z Teb brata, Polinika, zamiast zostawić go na pastwę zwierzętom, jak nakazuje Kreon pod karą śmierci.

„Nie wstyd Ci, jeśli od [Kadmejczyków] się wyróżniasz?” – pyta ją Kreon pod włos. „Czcić swe rodzeństwo nie przynosi wstydu” – odpowiada niewzruszona.

Tym samym ukazuje wstyd jako coś więcej niż tylko emocję tożsamą ze społecznym oburzeniem, ale jako reakcję pochodzącą z własnego sumienia. O tym zresztą na koniec.

Wstyd pełnił również istotną rolę w greckim prawie. Był składnikiem kar takich jak ostracyzm, czyli wykluczenie ↦

↦ obywatela z ateńskiego polis na okres 10 lat. Z tym że ostracyzm spotykał tych, którzy w mniemaniu obywateli mogli zagrozić demokracji. Reszta musiała zadowolić się karą zwyczajnego wygnania.

Skazany został na nią choćby Tukidydes, jeden z ojców współczesnej historii, po tym, jak w 424 r. p.n.e. nie zdążył przybyć na odsiecz ateńskim oddziałom pod Amfipolis. Co istotne: nie szukał dla siebie usprawiedliwienia, opisując swój przypadek w „Wojnach peloponeskich". Podobnie jak Antygona, przyjął hańbę bez dyskusji.

Dlaczego klasycy

Postawa Tukidydesa do tego stopnia zaimponowała w 1969 r. Zbigniewowi Herbertowi, że postawił mu pomnik w swoim wierszu „Dlaczego klasycy". Tylko – właśnie – dlaczego zdaniem poety mielibyśmy wracać do klasyków? Co jest tak wyjątkowego w umiejętności przyjęcia hańby? Przecież zgodnie ze współczesnymi standardami Tukidydes nie był winny. Przeciwnie, w „Wojnach" twierdzi, że robił wszystko, co było w jego mocy, aby nie dopuścić do masakry pod Amfipolis. Dlaczego mielibyśmy iść jego śladem?

Przyjmując hańbiący wyrok, Tukidydes ma na względzie coś więcej niż tylko własny, choćby i parszywy los. Akceptuje, że porażka może przynosić wstyd i że nie jest to koniec świata: być zhańbionym w oczach innych. To nie wszystko. Rozumie on, że osąd publiczności kieruje się pewną racją, choćby była mu obca.

A my? Zamiast przyjąć, że w oczach innych „daliśmy ciała", odtrącamy od siebie tę myśl, trzymając się kurczowo poczucia własnej godności. Nie rozumiemy, że właśnie w ten sposób ona nam się wymyka. Dopiero przyjmując winę i otwierając na możliwość wstydu, jesteśmy w stanie albo oskarżenia odtrącić, albo je świadomie przyjąć. Innymi słowy: bez rozpoznania racji osądzających nie jesteśmy w stanie wejść z nimi w polemikę, a dyskusja z naszymi oprawcami staje się serią monologów.

Kto kogo zawstydza?

Czy warto więc wprowadzić ostracyzm i inne oparte na hańbieniu obywateli kary z powrotem do porządku prawnego? Raczej nie... Bo choć można wznosić pomniki niewzruszonych Tukidydesów i lamentować nad Antygoną, a tym samym opowiadać się za uczłowieczającą wartością wstydu, ich historie świadczą przecież równie mocno o ślepocie osądzających. W przypadku, gdy jednostka jest wielka i wszechpotężna, owa ślepota staje w opozycji do odwagi bohaterów tragicznych. Tylko że nie każdy się do tej grupy zalicza.

Jak słusznie zaznacza amerykańska profesorka filozofii Martha Nussbaum w „Hiding from Humanity: Disgust, Shame, and the Law", stygmatyzacja obywateli często może prowadzić do cierpienia, szczególnie jeśli jest nieuzasadniona. Co zresztą często ma miejsce, bo w końcu to ci, którzy są na marginesie społecznym lub sprzeciwiają się normom, najczęściej padają jej ofiarą.

Wstyd również najczęściej prowadzi do cierpienia. Zdaniem Nussbaum oparty jest na przeświadczeniu braku, które rozwijamy jeszcze w okresie niemowlęctwa, a które towarzyszy nam w dorosłości. Do tego czasu zmienia się oczywiście przedmiot, którego nam brakuje. Pozostaje jednak to samo palące poczucie, że nie wystarczamy – i to nawet samym sobie.

Amerykańska filozofka twierdzi, że wstyd jest przede wszystkim emocją prymitywną i towarzyszy tym, którzy nie wytworzyli w sobie przeciwstawnych mu tendencji narcystycznych. Nie mogąc wytrzymać ciągłego poczucia bycia niewystarczającymi, opadamy bowiem w poczucie konieczności sukcesu i ciągłą optymalizację czynników składających się na nasze życie. Przykładowo: ćwiczymy fizycznie nie tylko dlatego, że ćwiczenie sprawia nam przyjemność lub jest zdrowe, ale dlatego, że dzięki niemu możemy spojrzeć na siebie w lustrze.

W przeciwieństwie do Herberta, Nussbaum nie rozpatruje wstydu jako nieuniknionego elementu życia w społeczeństwie. Zamiast tego traktuje ową emocję jako środek wykorzystywany przez państwo do utrwalenia *status quo*. Ujawnia więc mroczną stronę stabilizującej siły wstydu. Siły, która godzi przede wszystkim w ludzi dziwnych, nieprzystających, a więc może i niepotrzebnych w światłym, normalnym społeczeństwie.

Jak zawstydzić Polaka

Współcześnie wstyd istnieje jednak przede wszystkim na poziomie wspólnotowym, a nie jednostkowym. Ponadto, jak wykazują choćby Przemysław Sadura, Julia Szostek i Michał Sutowski w „Ludziach bezwstydnych: dynamice emocjonalnej populizmu w Polsce", to, czego wstydzi się dana społeczność, warunkuje później to, co staje się podstawą jej dumy.

Przykładowo, jeżeli przed rządami PiS-u Polska B odczuwała wstyd z uwagi na zacofanie wobec „europejskiego centrum": wielkich miast w Polsce, ale i państw Europy Zachodniej, tak za pomocą narracji wartościujących narodową prowincję odczuwa obecnie dumę z własnej lokalności. Więcej: mieszkańcy wsi i małych miast czują złość na tych, wobec których wcześniej się wstydzili. Z kolei Polska A, im bardziej przybliża się ekonomicznie do państw Zachodu, tym mniej wstydzi się własnego niedostatku. Duma mieszkańców miast zaczyna w tym względzie puchnąć, z kolei tym bardziej wstyd im mieszkańców prowincji. Co prowadzi do dalszej polaryzacji.

Jeśliby założyć, że to właśnie wstyd jest przyczyną rozłamu w Polsce, tym bardziej słuszne byłoby, aby wyrzucić go gdzieś w cholerę i starać się zjednoczyć kraj za pomocą wspólnie odczuwanej dumy. Problem jednak w tym, że wstyd jedynie rośnie, gdy się go wypiera. Emocja ta działa jak choroba autoimmunologiczna. Atakuje nas od środka, zmuszając do przeistoczenia się w istoty dumne i nienawistne. Oczywiście o ile nie wchłoniemy go odpowiednio wcześnie. Czego dokonać możemy tylko i wyłącznie starając się zrozumieć, jak powstaje.

Piętrząca się hańba

Wstyd jest emocją, która nas przekracza. Zdziera warstwę ochronną i obnaża aż do brzydkiego paznokcia małego palca lewej stopy. Wstydzimy się, bo przeczuwamy, że nasze wszelkie przywary, niedociągnięcia, imperfekcje nie tylko są widoczne dla innych, ale też stygmatyzowane. To hiperświado-

mość wszystkiego, co w nas wadliwe, przy jednoczesnym wystawieniu się na krytyczny wzrok publiczności. Innymi słowy: masakra.

Jednak wstyd to nie tylko palące poczucie, że jest się ofermą, której nigdy nikt nie pokocha. Wstyd to również bunt dumnego sumienia, wewnętrzna metamorfoza, impuls do poprawy, czasem zdolny kompletnie przeistoczyć nas wewnętrznie. To, paradoksalnie, najmocniejsza motywacja do odzyskania sprawczości. Więcej: to miecz obosieczny, który możemy obrócić przeciwko zawstydzającym. I tak jak pierwszy rodzaj wstydu możemy nazwać debilitującym, drugi określany jest (m.in. przez Marthę Nussbaum) mianem konstruktywnego. Są one alternatywnymi reakcjami człowieka na proces, jaki zachodzi w nim podczas bycia zawstydzonym.

Przyczyną wstydu zawsze jest świadomość istnienia wobec innych. Ci inni mają coś, czego możemy im pozazdrościć lub o czym nie wolno nam nawet śnić. Co gorsza, są oni w pełni świadomi swojej wyższości nad nami: krytykują nas za nasze braki, ośmieszają lub (co na jedno wychodzi) tak nam się przynajmniej wydaje. W efekcie wstydzimy się. I dopiero wtedy, gdy skurczymy się już dostatecznie w sobie, gdy palące pragnienie zapadnięcia się pod ziemię ustąpi miejsca ponurej świadomości, że jak na złość tym bardziej j e s t e ś m y, wstyd zagnieżdża się w nas na dobre.



Wstyd jedynie rośnie, gdy się go wypiera. Działa jak choroba autoimmunologiczna: atakuje nas od środka, zmuszając do przeistoczenia się w istoty dumne i nienawistne.

Podglądacze na polu bitwy

Jednak im więcej mamy doświadczenia w odczuwaniu tej emocji, tym bardziej jesteśmy w stanie ocenić, czy mamy ku niej powody. Bo w końcu może jednak ci, którzy nas zawstydzają, sami powinni się wstydzić? Im bardziej jesteśmy świadomi własnego ja, im więcej wstydu byliśmy w stanie na chłodno przeanalizować, tym bardziej konstruktywne będą przyszłe zetknięcia z nim i tym łatwiej będzie nam ocenić zgodnie z własnym sumieniem, co naszym zdaniem jest godne tej emocji.

Bo, powtórzmy to, wstyd nie jest po to, aby go wyplenić. Nie jest tylko środkiem konserwującym stare, utarte wartości. Jest również funkcją zmiany *status quo*. Tak było w przypadku Antygony, Tukidydesa. Tak może i być w naszym przypadku.

Dlatego też to, że pewne kwestie zawstydzały w sposób stygmatyzujący daną grupę przez setki, a nawet tysiące lat, nie oznacza, że będzie tak do końca świata. Przykładowo, przez całe milenia debilitującą formę wstydu uosabiało nagie kobiece ciało, uprzedmiotowione przez nachalne męskie spojrzenie. Pod naporem male-gaze'u wyginało się ono, zasłaniało, osuwało w lęk i rozpacz. Bynajmniej nie była to jednak jedyna słuszna reprezentacja kobiecego podmiotu.

Bezrefleksyjność szowinistycznej perspektywy uczyniła z kobiecego ciała pole bitwy. Pole, które współcześnie skutecznie wykorzystywane jest do umocnienia kobiecej tożsamości względem historycznie dotkliwego napastnika. Co więcej, male-gaze stał się przyczynkiem do female-gaze'u. A voyeryzujący mężczyzna, utraciwszy obiekt swojej obserwacji, stanął przed problemem określenia się w świecie. Kim w końcu jest ten, kto poświęca całą swoją energię na obserwację, a nawet pogoń za czymś, co nigdy nie istniało takie, jakim je widzi?

Warto (umieć) się wstydzić

Współcześnie bez wątpienia bliżej nam do Nussbaum niż Herberta. Wolimy chronić niesprawiedliwie stygmatyzowanych, zamiast czerpać lekcję z ich wstydu. W ogóle funkcja postaci tragicznych, takich jak Antygona, odchodzi do lamusa na rzecz optymalizacji sytuacji tragicznych. Zamiast przyjmować do świadomości, że wstyd, hańba i temu podobne wpisane są w życie, wymagamy raczej – od siebie, od państwa i reszty obywateli – aby do nich nigdy nie dopuszczać.

To niemożliwe. Świat zbudowany jest na jednym wielkim błędzie i nikt nie wie do końca, jakim prawem wciąż jeszcze się toczy. Co więcej: każdy z nas jest czemuś winny; każdy ma, nierzadko słuszne, powody do wstydu. Im mocniej będziemy temu przeczyć, tym mniejsze będzie powszechne rozumienie społecznej funkcji wstydu.

Mam taki sen, że na antenie tego lub innego programu telewizyjnego politykowi Kowalskiemu (lub Nowakowi) opadnie kiedyś ordynarna maska wszechwiedzy i wymsknie mu się przypadkiem „przepraszam", „nie wiem", „nie rozumiem" lub nawet „wybaczcie". Prowadzącą zamuruje. Dział social mediów prędko wrzuci hańbiące wyjaśnienia zawstydzonego polityka na socjale. Zasięgi poszybują. Wtem – o dziwo – przypadkowa strategia okaże się na tyle odpowiadać szerokiej publice, że jego partia zyska w sondażach na tym nieplanowanym ruchu.

Płyty tektoniczne zazgrzytają o siebie, ląd nowej utopii wyłoni się z morza. Będzie to nowa wspaniała ziemia zbudowana na, nie bójmy się tego słowa, pokorze. Nie tyle będzie się tam chorować na bycie winnym, zawstydzonym, co na próżność i przeświadczenie o własnej wszechwiedzy. Nagle każdy będzie winny, każdy będzie nosił wstyd na ramieniu. A później wszystko ucichnie, wszystko się uspokoi i każdy z nas będzie jak ten długowieczny rybak z niebieskich stref długowieczności.

Do tego czasu zachęcam jednak do kultywowania w sobie mądrego, przemyślanego wstydu. Takiego, który umacnia, zamiast burzyć, i który burzy z miejsca empatii. Który sprawia, że spoglądamy na świat z większym dystansem, zanim się z dumą i poczuciem własnej wyższości zaczniemy tym bardziej obnosić.

© MICHAŁ TOMCZUK

ŚWIAT

W ODŚRODKOWYM WIRZE

25 lat temu atak na World Trade Center zmienił USA i świat.
Czy można było uniknąć „wojen z terrorem”,
operacji o ciągle zmieniających się celach i wobec źle zdefiniowanego wroga?

DARIUSZ ROSIAK

Na początku nikt nie wiedział, co się stało. Podobno jakaś zabłąkana awionetka uderzyła w jedną z wież kompleksu World Trade Center w Nowym Jorku. Nie, to był znacznie większy samolot. Pewnie więc awaria silników...

Przez niecałe 20 minut, które miną między uderzeniami w Wieżę Północną i Wieżę Południową WTC, jeszcze wszystko jest możliwe. Może to jednak wypadek lotniczy, za chwilę na miejscu będzie policja, strażacy, karetki, ekipy telewizyjne. Ludzie opuszczą WTC, zacznie się operacja porządkowa, wszystko się wyjaśni. W końcu to Stany, największa potęga świata u szczytu świetności. I oni, którzy, zdezorientowani, patrzą z ulic Manhattanu na płonący wieżowiec, i my na całym świecie, oglądający transmisję w CNN, wiemy, że nic ani nikt nie jest w stanie osłabić tej potęgi.

O godzinie 9.03 11 września 2001 r., gdy drugi samolot trafił w Wieżę Południową, było już wiadomo, że to nie wypadek.



Nadzieje i złudzenia

Historia jest przeładowana punktami zwrotnymi. Z młodości pamiętam kilka: 31 sierpnia 1980 r., 13 grudnia rok później i 4 czerwca 1989 r. Oraz 26 grudnia 1991 r., gdy rozwiązał się Związek Sowiecki.

Wraz z jego upadkiem zaczęła się dekada, która miała pokazać, że era punktów zwrotnych odchodzi w przeszłość.

Nadchodził czas stabilizacji i pokoju, a demokracja wolnościowa, której wzorem były Stany, jawiła się jako najlepsza forma porządku społecznego i gospodarczego, na jaką stać rodzaj ludzki. Wszyscy na świecie o tym wiedzieli, a jeśli jeszcze nie wiedzieli, to tylko dlatego, że nie byli poinformowani. Miało nie być więcej punktów zwrotnych, bo wszyscy mieli akceptować ten jeden kierunek.

Dziś wiemy, że to były złudzenia. W czasie, gdy my po zachodniej stronie planety budowaliśmy nowy świat w przekonaniu, że historia zmierza pewnym krokiem ku powszechnej wolności i dobrobytowi, na wschodzie i południu globu myślano inaczej.

Lata 90. XX w. to narodziny globalnego ekstremizmu islamskiego, fiasko eksperymentu demokratycznego w Rosji, kolejny etap szybkiego rozwoju komunistycznych Chin. Te trzy zjawiska miały kształtować pierwsze dekady wieku XXI. Zaś krwawa wojna na Bałkanach pokazała, że nacjonalizm i barbarzyństwo nie są domeną „obcych". Ludobójstwo zdarzyło się w środku Europy 50 lat po II wojnie światowej.

Nowe punkty zwrotne

Historia się nie skończyła, za to pojawiały się nowe punkty zwrotne: kryzys finansowy 2007-2008; kryzys migracyjny; wojna z Państwem Islamskim, brexit, pierwszy wybór Donalda Trumpa na prezydenta w 2016 r., a dwa lata wcześniej początek zbrojnej agresji Rosji przeciw Ukrainie (zabór Krymu i wojna w Donbasie). Podważały one naszą ufność w skuteczność kapitalizmu i sprawiedliwość wolnego rynku, w mądrość i instynkt samozachowawczy demokratycznej większości, w gwarancje naszego bezpieczeństwa, w kompetencje ludzi, których zadaniem miała być ochrona granic.

Kryzysy te nauczyły kraje Zachodu, że życie w rosnącej frustracji, poczucie zagrożenia i niewiara w sprawczą siłę polityki mogą być doświadczeniem mas. Nie tylko coraz więcej ludzi przestało traktować liberalną demokrację za bezwzględnie najlepszy możliwy ustrój. Zorientowaliśmy się też, że miliony ludzi na świecie uważają Zachód za wroga, którego należy zniszczyć. Niektórzy z nich gotowi byli poświęcić życie, byśmy i my je stracili.

„Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze; / Czysta anarchia szaleje nad światem" – pisał irlandzki poeta William Butler Yeats w 1919 r. (tłum. Stanisława Barańczaka), po hekatombie I wojny światowej, po upadku starego świata i u progu narodzin dwóch totalitaryzmów, które miały pochłonąć miliony ofiar.

Od 81 lat Zachód żyje w pokoju i dobrobycie. Dlaczego zatem słowa Yeatsa brzmią dziś znajomo? I co wspólnego ma z tym data 11 września 2001 r.?

11 września zmienił USA

Po zamachach, w których zginęły trzy tysiące ludzi (większość w zawalonych wieżach WTC, a sto kilkadziesiąt w Pentagonie, w który uderzył kolejny samolot), prezydent George W. Bush powiedział: „11 września był czymś więcej niż tragedią. Ten dzień zmienił sposób, w jaki patrzymy na świat". Miał rację, choć z jednym uzupełnieniem: 11 września zmienił gruntownie także stosunek Amerykanów do samych siebie: do państwa, polityki, wojska i policji, walki z terroryzmem, do imigrantów i wolności obywatelskich.

Instytucje takie jak Departament Bezpieczeństwa Krajowego czy słynna dziś Agencja Imigracji i Ceł (ICE), które kształtują obecnie życie USA, powstały w reakcji na te zamachy. Trzy dni później ↦



GARY HERSHORN / GETTY IMAGES

„Empty Sky" (Puste Niebo): pomnik ofiar zamachów z 11 września 2001 r. pochodzących ze stanu New Jersey. W tle widoczna panorama nowojorskiego Manhattanu i budynek One World Trade Center. To najwyższy wieżowiec w USA, wzniesiony w miejscu kompleksu WTC, zniszczonego w zamachach. Jersey City, 3 września 2025 r.

↦ Kongres oddał (przy jednym głosie sprzeciwu) prezydentowi prawo do użycia wszelkich metod, które uzna za właściwe, wobec osób, organizacji i państw odpowiedzialnych za zamachy 11 września. To stworzyło fundament „wiecznych wojen" prowadzonych także przez kolejnych prezydentów.

Nie tylko wojen zewnętrznych. Jedna osoba, prezydent, może dziś w USA zdecydować o użyciu siły, także wobec obywateli amerykańskich. Nikt nie ma realnej możliwości, by przeciwstawić się jego decyzji.

Kolejne „wojny z terrorem"

Szok 11 września wywołał wśród Amerykanów zrozumiałą potrzebę wymierzenia sprawiedliwości. Szybko okazało się, że Osama bin Laden, lider Al-Kaidy i mózg zamachów, jest w Afganistanie. Jesienią 2001 r. Amerykanie i ich sojusznicy z NATO (w tym Polska, od dwóch lat w Sojuszu) poparli decyzję Busha o ataku na ten kraj.

Dziś można dywagować, czy były inne opcje. Jednak dywagacje takie nie biorą pod uwagę miejsca, w którym były Stany, i ówczesnych emocji. Amerykanie byli gotowi nie tylko dać prezydentowi i państwu wszelkie uprawnienia dla zapewnienia bezpieczeństwa w kraju. Dali mu też nieograniczoną licencję na zabijanie podejrzanych o terroryzm na całym świecie. Oraz uwierzyli, że da się zniszczyć talibów i zbudować demokratyczny Afganistan.

Dziś symbolem tych aspiracji są zdjęcia z sierpnia 2021 r. z lotniska w Kabulu, gdy – na kilkanaście dni przed 20. rocznicą zamachów z 11 września – talibowie wracali do władzy, a tłumy Afgańczyków, wcześniej współpracujących z Amerykanami, próbowały w panice dostać się na pokłady ostatnich samolotów.

Nie skończyło się na Afganistanie ani na wojnie w Iraku, rozpoczętej w 2003 r. i opartej na kłamliwej przesłance, jakoby iracki dyktator Saddam Husajn miał związki z Al-Kaidą i dysponował bronią masowego rażenia. Na koniec swej kadencji Barack Obama prowadził wojny przeciw terrorystom w 13 krajach. To za jego prezydentury Amerykanie dokonali największej liczby zabójstw osób podejrzanych o terroryzm. Nawet w środowiskach liberalnych zabijanie tych, których USA uznały za terrorystów, postrzegano jako usprawiedliwione.

Bilans ćwierćwiecza

Owszem, pojawiały się wątpliwości, choć bardziej odnośnie do skuteczności reakcji USA na zbrodnię z 11 września. Ćwierć wieku temu wszyscy byli Nowojorczykami, jednak nie wszyscy bezwarunkowo akceptowali politykę Busha. Część tradycyjnych sojuszników USA nie poparła wojny w Iraku, zdecydowanie przeciwny był jej papież Jan Paweł II. Zaczęto zadawać pytanie, które dziś jest jeszcze bardziej aktualne: czy zbrodnia dokonana przez jedną stronę usprawiedliwia zbrodnie dokonywane przez ofiarę?

Po kilku miesiącach okazało się, że inwazja na Irak i likwidacja reżimu Husajna stworzyła próżnię, którą wypełnili islamscy terroryści. Interwencja w Iraku wzmocniła radykalne grupy islamskie i zrujnowała życie ludzi, których miała wyzwolić od tyranii Saddama. Podróżowałem po Bliskim Wschodzie w latach 2014-2015 w trakcie wojny, którą Amerykanie i Kurdowie toczyli z Państwem Islamskim. Nie spotkałem nikogo, kto uznałby chaos, bezprawie i destrukcję ówczesnego Iraku za rozwiązanie lepsze niż rządy Saddama.

Mniejszości, zwłaszcza resztki chrześcijan w Iraku i Syrii, wcześniej chronione przed radykalnym islamem przez dyktatorów Saddama i Baszara al Asada, padały ofiarą ekstremistów lub musiały uciekać. W Iraku w latach 2003-2019 zginęło ok. 200 tys. cywilów (dane Brown University). Nie wszystkich zabili Amerykanie i ich sojusznicy, tysiące zginęły z rąk islamskich bojówek. Czy ich śmierć da się usprawiedliwić? Dziś mało kto próbuje.

Choroba terroryzmu

Czy można było inaczej? Czy można było uniknąć „wojny z terrorem", operacji o ciągle zmieniających się celach i wobec źle zdefiniowanego wroga?

Z perspektywy czasu życiowe błędy wydają się możliwe do uniknięcia. Rzecz w tym, że od ok. 150 lat, gdy pojawiło się zjawisko współczesnego terroryzmu, nikomu nie udało się rozwiązać tego problemu.

Od czasu zamachowców próbujących zabić cara, anarchistów i spiskowców opisanych przez Conrada, przez rewolucjonistów, którzy zaczynali od ideałów, a kończyli jak bandyci (jak w Kolumbii i Peru), po niemiecką Frakcję Armii Czerwonej i palestyńskich porywaczy samolotów w latach 70. XX w., a także nacjonalistyczno-marksistowskie ruchy ETA i IRA, islamskich ekstremistów atakujących Londyn, Paryż i Berlin, po skrajnie prawicowych rasistów mordujących dzieci w szkole – terroryzm jest chorobą, na którą nikt nie wynalazł szczepionki.

Oczywiście, historycy będą przekonywać, że stosowanie przemocy w celu realizacji politycznych celów nie jest pierwszym wyborem terrorystów. Że u „korzeni terroryzmu" stoi zwykle krzywda, mniej lub bardziej usprawiedliwione pretensje wobec utrwalonego porządku. Eksperci zwrócą uwagę, że terroryzm nie przynosi korzyści terrorystom, co nie zawsze jest prawdą – wystarczy popatrzeć na Syrię, rządzoną dziś przez byłego terrorystę islamskiego, albo na Irlandię Północną, gdzie premierką jest przedstawicielka partii wspierającej przez lata IRA.

Wybór i cena

Praktycy zauważą, że z terroryzmem wyrastającym z ideologii nie da się wygrać bez rozmawiania z ludźmi, którzy go praktykują. Zresztą Amerykanie próbowali również i tego – przed opuszczeniem Afganistanu negocjowali z talibami.

Dziennikarze wyliczą, że drakońskie metody stosowane w wojnie z terrorem w Stanach i za granicami nie ustrzegły ich przed kolejnymi zamachami: w Bostonie w 2013 r. (troje zabitych, 250 rannych), San Bernardino w 2015 r. (14 zabitych), Orlando w 2016 r. (49 zabitych, 53 rannych). To tylko przykłady aktów terroru dokonanych przez osoby związane z radykalnym islamem. A przecież co chwila dochodzi w USA do zamachów i rzezi dokonywanych przez rodowitych Amerykanów z powodów, których do końca nie rozumiemy.

Być może nie ma szczepionki na terroryzm, a jedynym sposobem zabezpieczenia się przed nim jest oddanie policji i służbom uprawnień, które z natury rzeczy ograniczają wprawdzie naszą wolność, lecz wzmacniają bezpieczeństwo.

Ostatnie 25 lat w USA pokazują cenę, jaką płaci się za ten wybór. Zinstytucjonalizowanie przemocy widać w działaniach takich urzędów jak Homeland Security czy ICE. Ich drastyczne operacje, kierowane także przeciw amerykańskim muzułmanom, mają korzenie we wrogości wobec każdego rodzaju islamu po 11 września.



UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE / GETTY IMAGES

Ewakuowani Afgańczycy na pokładzie amerykańskiego samolotu. Lotnisko w Kabulu, 15 sierpnia 2021 r.

Gdy Ameryka była potęgą

Zamachy z 11 września 2001 r. i reakcja władz USA wyzwoliły też zachowania społeczne, które wykraczają poza sferę bezpieczeństwa. Kłamstwo stało się metodą uprawiania polityki – to ono posłużyło do uwiarygodnienia wojny w Iraku.

Sceptyk powie, że nie było nic w tym nowego. „Język polityki – i dotyczy to wszystkich partii, od konserwatystów do anarchistów – został skonstruowany tak, by kłamstwo brzmiało jak prawda, morderstwo stało się godne szacunku, a powietrze nabrało cech ciała stałego" – pisał George Orwell w 1946 roku.

Wojna w Wietnamie powinna była uodpornić Amerykanów na kłamstwa polityków, które stały się wówczas fundamentem strategii informacyjnej rządu. Nie uodporniła. Poza tym pojawiło się nowe pokolenie, które zapomniało.

Ludzie zapominają, bo chcą wierzyć, że może być inaczej, że zło i kłamstwo nie zawsze zwyciężają. Ameryka na przełomie wieków XX i XXI była potęgą polityczną, militarną, gospodarczą, kulturalną. Kraj, który wygrał wojnę z komunizmem i sowieckim Imperium Zła, czuwał nad światowym porządkiem i wyznaczał trendy w każdej dziedzinie życia.

Zwłaszcza my, po naszej stronie dawnej „żelaznej kurtyny", dawaliśmy Ameryce prawo do wymierzenia sprawiedliwości zbrodniarzom, którzy zabili trzy tysiące niewinnych ludzi. Chcieliśmy wierzyć, że Amerykanie wiedzą, jak tej sprawiedliwości szukać.

Trump: beneficjent chaosu

Polityk, nie tylko amerykański, oddycha kłamstwem. Jednak czym innym jest celowe przeszacowanie obietnic wyborczych albo nieszczerość w sprawie romansu ze stażystką, a czym innym oparcie strategii bezpieczeństwa państwa na kłamliwych podstawach.

Kłamstwo polityków wywołuje reakcję w postaci utraty zaufania elektoratu. Toruje też drogę kolejnym kłamstwom: wokół 11 września powstało chyba więcej teorii spiskowych niż wokół jakiegokolwiek innego wydarzenia. Tysiące Amerykanów wierzą do dziś, że zamachy na WTC to dzieło władz, które szukały pretekstu do wojny z Irakiem, że wieże wysadzono w wyniku kontrolowanego wybuchu, a Pentagon zniszczyła amerykańska rakieta.

Politykiem, który po mistrzowsku wykorzystał nastroje – strachu, frustracji, dezorientacji – okazał się Donald Trump. Obecny prezydent USA stosuje coś więcej niż „tylko" kłamstwo jako metodę komunikacji – on unieważnia sens pytania o prawdę, a z rzeczywistości czyni grę medialną, w której zwycięzca jest z góry wiadomy.

Trump nie zakończył „wiecznych wojen" Ameryki, za to zaczął kolejną, z Iranem, z której nie potrafi się teraz wyplątać. Programowa walka z imigrantami, rozszerzanie uprawnień instytucji stosujących przemoc wobec obywateli, uczynienie z polityki spektaklu ze sobą w roli głównej – to wszystko sięga korzeniami nastrojów po 11 września. Podobnie jak rozpowszechnianie teorii spiskowych o wyborach z 2020 roku.

To przekonanie, że politycy kłamią, a przemoc jest uprawnioną metodą realizacji aspiracji politycznych, zaprowadziło w styczniu 2021 r. kilka tysięcy Amerykanow na Kapitol.

2028: perspektywa procesu

Niedawno, pod koniec sierpnia, komisja wojskowa prowadząca przesłuchania w sprawie zamachów z 11 września wyznaczyła datę procesu czterech podejrzanych o kierowanie nimi. Wśród nich jest Chalid Szajch Muhammad, uznany za głównego organizatora (Osama bin Laden zginął w 2011 r., zabity przez służby specjalne USA; akcję autoryzował Obama).

Proces ma ruszyć 5 czerwca 2028 r., ponad 27 lat po fakcie. Muhammada ujęto w marcu 2003 r.; kolejne lata spędził w tajnych więzieniach CIA w Afganistanie i Polsce, a od 2006 r. siedzi w więzieniu w bazie USA w Guantanamo.

Dla rodzin ofiar jedyną sprawiedliwą karą dla Muhammada i współoskarżonych jest wyrok śmierci. Problem w tym, że byli oni latami torturowani i trzymani w izolacji przez służby USA. Zeznania złożone w takich okolicznościach nie będą dla sądu wiarygodne.

Data procesu była przekładana także z tego powodu. Bo jak prowadzić sprawiedliwe postępowanie sądowe na podstawie zeznań uzyskanych niezgodnie z prawem? I co zrobić, jeśli możliwym finałem takiego procesu może być uniknięcie kary przez zbrodniarzy, winnych śmierci trzech tysięcy ludzi?

Ćwierć wieku później

Co właściwie chciał osiągnąć Osama bin Laden tamtymi zamachami? Zapewne nie wierzył, że uda mu się zniszczyć Stany. Może chciał po prostu zabić jak najwięcej Amerykanów, wywołać w kraju panikę, pozbawić wiary w wyjątkowość i potęgę? A może chodziło o zasianie ziarna zniszczenia, gdzie reszty mieli dokonać sami Amerykanie?

Jak złożyć w całość działania, których fundamentem była potrzeba zemsty i wymierzenia sprawiedliwości za wszelką cenę, z ideałem i praktyką państwa prawa?

Ludziom, którzy – tak jak my – mieszkają w krajach, gdzie nie dochodzi do aktów terroru, trudno wyobrazić sobie skutki takich zbrodni dla psychiki jednostek i zbiorowości. My żyjemy bez konieczności dokonywania takich wyborów jak ten, przed którym stanęła wówczas Ameryka. Nigdy nie staniemy twarzą w twarz wobec egzystencjalnej pustki i paniki, którą musieli czuć mieszkańcy Stanów Zjednoczonych tamtego 11 września 2001 roku. ©℗

Epidemia bez końca

MARGIT KOSSOBUDZKA-LIPIŃSKA

AFRYKA | Zamknięcie granic, obcięte fundusze i podkopywanie zaufania. Obraliśmy złą metodę na walkę z wirusem ebola.

W Demokratycznej Republice Konga trwa siedemnasta już epidemia eboli. Druga najpoważniejsza w historii. Na dzień 30 sierpnia raporty Światowej Organizacji Zdrowia podawały 6100 potwierdzonych przypadków zakażenia wirusem i 2950 zgonów.

W ten sposób powoli zbliżamy się do skali ofiar najtragiczniejszej jak dotąd epidemii eboli, która zaczęła się w Afryce Zachodniej w 2014 r. i pochłonęła ponad 11 tys. zmarłych. Bo nic na razie nie wskazuje, by wirusa dało się powstrzymać. Tylko dlaczego? Przecież 12 lat temu było to możliwe.

„W 2014 r. byliśmy o wiele bliżej utraty kontroli nad wirusem ebola, niż większość ludzi zdaje sobie sprawę. Epidemia ostatecznie ustąpiła, ale nie dlatego, że ktokolwiek »wyeliminował« ebolę. Zakończyła się dzięki nadzwyczajnej współpracy międzynarodowej, lokalnym dostosowaniom i niemałej dozie szczęścia" – komentuje na łamach STAT News Ivan Buendía Gayton, doradca humanitarny z ponad 15-letnim doświadczeniem w organizacji Lekarze bez Granic.

„Dziś większość z tych warunków nie jest spełniona. Największym ryzykiem nie jest to, że ta epidemia się rozprzestrzeni, ale to, że nigdy się nie skończy" – ostrzega Buendía Gayton.

KWESTIA STRATEGII | Podczas poprzednich epidemii strategie kontroli i ograniczenia wirusa obejmowały śledzenie kontaktów zakażonych, skrupulatne odnotowywanie kolejnych przypadków, szczepienia, leczenie (na ile było to możliwe) oraz adaptację lekarzy i urzędników spoza Afryki do lokalnych zasad kulturowych. Celem było zatrzymanie epidemii.

Tym razem jednak polityka powstrzymywania epidemii koncentruje się na dawno obalonym przekonaniu, że można ją kontrolować przez jej odgrodzenie i zamknięcie granic. Nigdy się to nie sprawdziło i nie sprawdzi się teraz.

Instynkt uszczelniania granic podczas epidemii sięga stuleci wstecz. XIV-wieczne weneckie „kwarantanny" były jedną z pierwszych zorganizowanych prób państwa, by regulować ruch w imię zdrowia publicznego. Działały, gdyż jednostką kontroli był statek, który można było zakotwiczyć na morzu na określony czas.

Temat izolacji podczas epidemii bada m.in. Katrine L. Wallace z Uniwersytetu Illinois. Jak tłumaczy w „The Conversation": „Granica lądowa to zasadniczo inny problem. Nie można łatwo zakotwiczyć ludzi na granicy lądowej. W XIX w. powtarzające się epidemie cholery sprawiły, że problem nabrał charakteru międzynarodowego. Mocarstwa europejskie zareagowały falami zamknięć granic i ograniczeń handlowych, które spowodowały ogromne szkody gospodarcze, nie powstrzymując jednak skutecznie transmisji".

SYSTEM NADZORU | W 1874 r. rządy z całego świata, które spotkały się w Wiedniu na Czwartej Międzynarodowej Konferencji Sanitarnej, zgodnie odrzuciły zamykanie granic i kwarantannę lądową jako „niepraktyczne, a w konsekwencji bezużyteczne".

Dziś cały globalny system nadzoru zdrowotnego opiera się na jednym założeniu: kraje muszą zgłaszać ogniska chorób szybko, bez obawy, że spadnie na nie „kara". Bo jeśli ogłoszenie epidemii ma powodować natychmiastowe zamknięcie granic i zakazy podróży, rządy mają motywację, by opóźnić raportowanie. Nikt nie chce gospodarczo i finansowo dostać po głowie.

Jak wspomina Wallace, podczas pierwszej epidemii SARS w 2003 r. opóźnienia Chin w raportowaniu, spowodowane częściowo obawami o skutki gospodarcze, wprost przyczyniły się do globalnego rozprzestrzeniania się tej choroby.

Gdy w tym roku, 17 maja, WHO ogłosiła obecną epidemię eboli stanem zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu światowym, wyraźnie ostrzegła przed zamykaniem granic i ograniczeniami w podróżowaniu, twierdząc, że te działania „nie mają podstaw naukowych".

TRZY WIRUSY | Kolejną przeszkodą jest fakt, że obecną epidemię wywołał szczep eboli o nazwie bundibugyo. Wywołał on zaledwie dwa wcześniejsze wybuchy epidemii, oba ponad dekadę temu i naukowcy traktowali go po macoszemu.

Wirusy ebola odkryto po raz pierwszy w 1976 r., kiedy to w tym samym czasie doszło do dwóch epidemii: w Zairze (dziś to DR Konga) i na terenie obecnego Sudanu Południowego. Sprawca obu epidemii został nazwany ebola, od rzeki w Zairze. Jednak później okazało się, że odpowiedzialne za nie były dwa różne wirusy. Wirus z Zairu był przyczyną zdecydowanej większości znanych epidemii eboli do tej pory, a wirus „sudański" pojawiał się osiem razy.

Z kolei bundibugyo został odkryty dopiero w 2007 r., gdy epidemia w regionie Bundibugyo w Ugandzie spowodowała zachorowanie 149 osób (37 zmarło). Kolejny, mniejszy wybuch, miał miejsce w Demokratycznej Republice Konga w 2012 r. Od tego czasu wirus nie pojawił się ponownie – aż do tego roku.

BUNDIBUGYO | Pod względem genetycznym te trzy wirusy bardzo się różnią. Ma to poważne skutki. Najczęściej stosowany test diagnostyczny wykrywa RNA wirusa zaire i nie wykrywa bundibugyo. W rezultacie epidemię wykryto późno. Tymczasem licencjonowane szczepionki i leki na ebolę zaire nie są skuteczne przeciw bundibugyo.

Bundibugyo nie ma aż tak wysokiej śmiertelności jak zaire. W przeszłości śmiertelność w przypadku epidemii zaire wahała się zwykle od 40 do 90 proc. zakażonych, gdy w dwóch poprzednich ogniskach bundibugyo wynosiło to odpowiednio 25 i 51 proc. Podobnie jest teraz.

Łagodniejszy przebieg choroby może wyjaśniać, dlaczego bundibugyo rozprzestrzenia się tak gwałtownie. Pacjenci, u których występują mniej nasilone objawy, mogą zakładać, że poradzą sobie



DANIEL BUUMA / GETTY IMAGES

Pracownicy UNICEF-u informują mieszkańców miasta Goma o wirusie bundibugyo, który wywołał obecną epidemię. Łagodniejszy przebieg sprawia, że ebola rozprzestrzenia się gwałtownie, gdyż wielu chorych nie idzie do lekarza. DR Kongo, 24 czerwca 2026 r.

z infekcją, jak z każdą inną powszechnie występującą chorobą. To skłania ich, by nie szukali pomocy i pozostali w swojej społeczności, gdzie mogą zarażać innych.

Naukowcy muszą też namierzyć naturalny rezerwuar bundibugyo – co jest trudne. Podejrzewają, że wszystkie trzy gatunki wirusa ebola są przenoszone przez nietoperze, ale mimo wieloletnich prób nie udało im się zidentyfikować gatunku żywiciela dla Zairu ani Sudanu.

ROLA TRUMPA | Do niedawna w walce z wirusem ebola istotnie pomagały USA. Ich obecny rząd wobec tego wybuchu choroby obrał jednak taktykę „Chrońmy się, zamiast powstrzymywać epidemię". Globalne budżety na opiekę zdrowotną obcięto, a ogromne środki przesunięto na ochronę granic i kontrolę imigracji.

W październiku 2014 r. (podczas poprzedniej wielkiej epidemii) Susan Reichle była doradczynią USAID w Waszyngtonie. W tym czasie CDC (Centrum Kontroli i Prewencji Chorób, główna agencja w USA ds. ochrony zdrowia publicznego) podjęła największą w dziejach interwencję, po raz pierwszy w historii epidemii eboli. Reichle wielokrotnie podkreślała, że wtedy sytuacja była zupełnie inna niż obecnie.

„W 2014 r. świat dowiedział się o epidemii, gdy potwierdzono 49 przypadków, a dojście do 300 przypadków zajęło wirusowi 2,5 miesiąca. Tym razem, gdy CDC zaczęła swoją interwencję, istniały już setki podejrzanych przypadków, a 300 potwierdzonych przypadków osiągnięto w ciągu dwóch tygodni. Oczywiście, w tamtym czasie istniała również USAID, a USA nadal były częścią Światowej Organizacji Zdrowia" – mówi Reichle.

Dla przypomnienia: ledwie osiem godzin po zaprzysiężeniu Donald Trump podpisał rozporządzenie o wyjściu USA ze Światowej Organizacji Zdrowia. Amerykańska Agencja ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID) też się Trumpowi nie podobała, do lipca 2025 r. jego administracja rozwiązała USAID i anulowała finansowanie ponad 80 proc. jej programów.

MNIEJSZA POMOC | Te decyzje wpływają dziś na zdolność USA do interwencji w Afryce.

„WHO dowiedziała się o podejrzeniu przypadku eboli 5 maja. My dowiedzieliśmy się o tym dopiero 15 maja, więc straciliśmy 10 dni na reakcję. USAID miało prawie 200 osób w misji terenowej w DR Konga, a następnie tysiące partnerów. To ci ludzie często dowiadują się o różnych rzeczach od razu, wychwytują plotki o nieznanej chorobie. Zwolniono tak wiele osób, które pracowały nad tymi kwestiami, reprezentując USA" – mówi Reichle.

I dodaje: „W 2014 r. budżet USAID dla DR Konga wynosił około miliarda dolarów, a dużą jego część stanowiła pomoc humanitarna. Samo biuro zdrowia w USAID zatrudniało 40 osób w całym kraju. To biuro już nie istnieje. Ludzie, którzy tam pracowali, posiadali wiedzę i doświadczenie zdobyte podczas poprzednich kryzysów, które teraz trudniej zdobyć".

Także społeczność światowa zmniejszyła zasoby dostępne na wypadek epidemii. Instytucje, od FCDO (brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Wspólnoty Narodów i Rozwoju) po AusAID i inne, zmniejszyły swoją pomoc finansową lub zagraniczną, co jeszcze bardziej komplikuje sytuację.

Dziś dla USA największym zmartwieniem jest przedostanie się wirusa ebola do Stanów. Tymczasem jedynym sposobem powstrzymania epidemii jest dotarcie do źródła, nawiązanie relacji z członkami społeczności i opanowanie wirusa na miejscu.

EBOLA I WOJNA | Kraje dotknięte epidemią w 2014 r. – Gwinea, Liberia i Sierra Leone – były też bezpieczniejsze dla międzynarodowych pracowników służby zdrowia niż dziś strefa epidemii w DR Konga.

Bogactwa mineralne tego regionu mają kluczowe znaczenie dla światowej gospodarki. We wschodniej części kraju trwa niewypowiedziana wojna. Wewnętrzne frakcje i sąsiednie kraje walczą o zasoby regionu Kiwu. Stał się on areną konfliktu z udziałem Konga, Rwandy, Burundi, Ugandy i dziesiątek grup zbrojnych rywalizujących o władzę i kontrolę nad jednymi z najcenniejszych złóż mineralnych na świecie. Co oczywiste, grupy zbrojne ograniczają możliwość interwencji medycznej.

Jeśli ta epidemia nie zostanie ugaszona, może płonąć przez dekady i być ciągłym zagrożeniem dla globu. Epidemiolodzy podkreślają, że nie można jej traktować jako rutynowego zagrożenia wirusologicznego. Bez natychmiastowej, zdecydowanej mobilizacji świata jej skutki dla globalnego bezpieczeństwa zdrowotnego mogą być nieobliczalne. ©



Wieś Al-Fakhit leży na pustyni w strefie C, nad którą kontrolę ma armia Izraela i jest często celem ataków osadników żydowskich. Tutejszej szkole grozi wyburzenie: jest już na terenie, na którym Izrael chce założyć swój poligon. Sierpień 2026 r.

Polska pomoc na Zachodnim Brzegu

TEKST I ZDJĘCIA JAN POCHEĆ Z RAMALLAH, HEBRONU I CHAN AL-AHMAR

AUTONOMIA PALESTYŃSKA | Gdy brakuje leków i lekarza, wkraczają oni. Nasz autor towarzyszył mobilnym zespołom medycznym, które docierają do odległych beduińskich wsi.

Wszystko zaczyna się w czwartkowy poranek, gdy mam poznać mój pierwszy zespół. Czyli jedną z mobilnych klinik Palestyńskiego Towarzystwa Pomocy Medycznej (PMRS), które sześć razy w tygodniu wyruszają z baz na Zachodnim Brzegu, aby nieść pomoc w najbardziej niedostępnych miejscach. Przez ponad tydzień towarzyszyłem tym załogom, przyglądając się ich pracy.

W KRYZYSIE | Siedziba PMRS mieści się w Ramallah, stolicy Autonomii, a jego zespoły mają swoje bazy w różnych miastach Zachodniego Brzegu. Moją pierwszą załogę poznaję więc w centrum Hebronu. Wita mnie Lama, świeżo upieczona absolwentka medycyny, po studiach w Egipcie.

Przedstawia resztę załogi, czyli doktora Samera. Ten skończył medycynę w Odessie. Oboje są zgodni: studia lekarskie za granicą są tańsze i na wyższym poziomie. Ponadto na Zachodnim Brzegu panuje teoretycznie... nadmiar lekarzy. Znalezienie pracy bez znajomości graniczy z cudem, a ci, którym się uda, i tak nie mogą liczyć na godziwe zarobki – winny jest kryzys finansowy, w jakim od miesięcy pogrąża się Autonomia Palestyńska.

Po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. Izrael wstrzymał transfer tzw. *clearance revenues* – podatków i ceł, pobieranych przez Izrael od towarów importowanych na Zachodni Brzeg, które według umów z Oslo (tych z początku lat 90. XX w., na mocy których miało powstać państwo palestyńskie) powinny trafiać do Autonomii.

One zapewniały dwie trzecie jej budżetu, w tym pensje nauczycieli, urzędników, lekarzy. W maju 2025 r. minister finansów Bezalel Smotrich zablokował całkiem ich transfer, tłumacząc, że to reakcja na uznanie państwa palestyńskiego przez wiele krajów świata.

Efekt jest taki, że Autonomia jest dziś w stanie wypłacić swoim pracownikom tylko część pensji, i tak z opóźnieniem. Także lekarzom z publicznych szpitali i przychodni.

W DRODZE | Chwilę później poznaję resztę ekipy: to położna Alaa, psycholożka Rasha, opiekunka zdrowotna Warda i pielęgniarz Saied. Ich mobilna klinika to w istocie duża, wynajmowana taksówka. Do bagażnika pakujemy walizki z lekami, USG i zestawami do badań laboratoryjnych.

Jak powie mi doktor Mohammad Iskafi, dyrektor PMRS, wynajem aut pochłania dużą część budżetu organizacji. – Obecnie działa 14 mobilnych klinik, w tym jedna, którą ufundowała Polska Misja Medyczna (PMM) – wylicza. Doktor Iskafi jest bardzo wdzięczny za to wsparcie, gdyż dzięki własnemu pojazdowi mogą ograniczyć koszty wynajmu i dotrzeć w najdalsze miejsca, dokąd taksówkarz wolałby nie jechać.

Wyruszamy z bazy około ósmej. Celem jest beduińska wieś Al-Fakhit.

Problemy zaczynają się już przy wyjeździe z Hebronu. Wioska leży w rejonie Massafer Yatta, na południu, a jak dowiadujemy się od innych załóg – punkt kontrolny, który oddziela Hebron od szybkiej drogi, jest dziś obsadzony przez izraelskich żołnierzy, którzy skrupulatnie kontrolują każdy pojazd. Tworzy to gigantyczny korek. Szukamy więc innej drogi.

STREFA C | Jest dziesiąta, gdy docieramy do wsi Umm al-Khair, którą opisałem w „Tygodniku" w styczniu. Od tego czasu pojawiło się tu kilkanaście nowych kamperów z izraelskimi osadnikami. Oraz nowa brama, która na szczęście jest otwarta.

Asfalt się kończy, stąd do Al-Fakhit prowadzi droga szutrowa. Pokonanie tych kilku kilometrów zajmie nam pół godziny. – Potrzebujemy aut z napędem na cztery koła. Nasz kierowca co tydzień musi naprawiać vana, bo zawieszenie nie daje sobie rady – mówi Saied.

Na miejscu, w beduińskiej wsi, uderza pierwotność sposobu życia. Podstawowym źródłem dochodu są tu owce i kozy. Te jednak często padają łupem osadników.

Wszystkie wsie, które wspierają PMRS i PMM, są w strefie C: nad tym terytorium, które obejmuje 62 proc. Zachodniego Brzegu Jordanu, pełną kontrolę sprawuje armia Izraela. Oznacza to, że w razie ataku osadników jedyną siłą rozjemczą są jej żołnierze. Jak pokazuje praktyka, pozostają oni zwykle bierni bądź reagują na zgłoszenie po kilku godzinach, gdy osadnicy dokonali już szkód i zdążyli wrócić do swoich nielegalnych przyczółków.

LOS KOBIETY | Psycholożka Rasha rozmawia z Beduinką. Ta matka kilkorga dzieci jest w sytuacji dramatycznej. Osadnicy regularnie obrzucają kamieniami jej dom, kradną zwierzęta, które są jedynym źródłem dochodu jej rodziny. Kobieta boi się o kilkuletnie dzieci, mówi, że nie ma jak się bronić. Jej mąż, co nierzadkie w kulturze islamu, ma drugą żonę, z którą mieszka, więc ona jest sama. – Latem każę dzieciom spać na dachu, mam nadzieję, że osadnicy ich nie zauważą, gdy przyjdą w nocy – zwierza się.

Podobne dramaty powtarzają się w wielu miejscach. Jak w wiosce Al-Halwa, gdzie jesteśmy kilka dni później. Tu z Rashą rozmawia kobieta, matka kilkorga dzieci, która wprawdzie ma na miejscu męża, ale ten ją systematycznie bije.

Saied tłumaczy mi jej relację dość bezpośrednio: sfrustrowani mężowie oczekują od żon prowadzenia domu i seksu – nic więcej. Wielu z nich nie chce używać prezerwatywy, bo uważają to za oznakę braku męskości. Kobieta, która nie chce już więcej dzieci, nie ma się na co dzień do kogo zwrócić. Pozostaje psycholożka, która odwiedza wieś raz na dwa tygodnie.

To problem, którego, jak słyszę, nie da się rozwiązać doraźnie – tu konieczna jest praca u podstaw. Polska Misja Medyczna od lat prowadzi działania edukacyjne dotyczące przeciwdziałania przemocy ze względu na płeć.



Lekarka Sondos Khalifah bada jedynego tego dnia męskiego pacjenta w Chan al-Ahmar. Izrael grozi wyburzeniem tej wsi. Sierpień 2026 r.



Psycholożka Aya, lat 30, prowadzi warsztaty i zabawy terapeutyczne dla dzieci w wiosce koło Jerycha, w Dolinie Jordanu. Każda wizyta Ayi to dla dzieci wielkie święto. Sierpień 2026 r.

POMOC Z POLSKI | Jesteśmy w Ramallah. To logistyczne zaplecze PMRS. Stąd też wyrusza mobilna klinika, ufundowana w 2024 r. przez Polską Misję Medyczną.

Wspólne działania PMM i jej lokalnego partnera PMRS są finansowane z programu Polska Pomoc naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. PMM otrzymała ponad 4,5 mln zł na poprawę jakości usług medycznych na Zachodnim Brzegu w latach 2024-2026. ↦

↦ Każda spośród 14 mobilnych klinik dociera w miesiącu do 800-1000 pacjentów. Niedawno było ich więcej. – W 2025 r. docieraliśmy do ponad 190 wsi i jeździliśmy 21 pojazdami. Ze względu na zmniejszenie zewnętrznego finansowaniu, od którego jesteśmy zależni, musieliśmy ograniczyć skalę naszych działań – mówi doktor Iskafi.

OPERACJA | Najbardziej zagrożoną wsią jest Chan al-Ahmar. Mobilne kliniki wspierane przez PMM od lat trafiają tam z pomocą, ale niedługo może się to zmienić. O wysiedleniu jej ludności zdecydował w maju minister Smotrich, który odpowiada też za nadzór nad żydowskimi osadnikami na Zachodnim Brzegu.

Wieś leży w strefie E1: to strategiczny pas ziemi, który Izrael kontroluje od wojny w 1967 r. Jeśli zapowiadane wysiedlenie dojdzie do skutku i w miejscu osady powstanie izraelskie osiedle, demograficzne i terytorialne proporcje zmienią się trwale.

Izrael zaoferował Beduinom przeprowadzkę do bloków w jednym z palestyńskich miast. Oferta ma niejednoznaczny charakter. Z jednej strony oznacza dla nich, ludności nomadycznej, konieczność porzucenia tradycyjnego stylu życia, opartego na wypasie zwierząt i uprawie gajów oliwnych.

Z drugiej strony, łatwo wpaść tu w pułapkę romantyzowania: jako ludzie Zachodu z ciekawością patrzymy na życie nomadów, traktując je jak żywy skansen. Rzadko pytamy się, czy chcielibyśmy dzielić trud rolnika na jałowej ziemi. Przeprowadzka do nowoczesnych domów to obiektywnie postęp.

Niezależnie od tych dylematów, skutki operacji będą bezlitosne dla przyszłości państwa palestyńskiego. Przetnie ona Zachodni Brzeg na dwie odizolowane części i ostatecznie odetnie Jerozolimę Wschodnią od jej palestyńskiego zaplecza. Oznacza to pogrzebanie koncepcji dwupaństwowej. Bez podstawowej ciągłości terytorialnej projekt niepodległej Palestyny, która miałaby istnieć obok Izraela, staje się niemożliwy.

PACJENCI | Gdy odwiedzamy wieś Chan al-Ahmar, rzuca się w oczy, jak różnie do kwestii zdrowia podchodzą mężczyźni i kobiety. Przez kilka godzin do kliniki przychodzi tylko jeden mężczyzna, chory na raka. Według internistki Arwy Shamansha przyczyny mogą być dwojakie. Podczas naszych wizyt mężczyźni są w pracy i zdarza się, że żony biorą dla nich leki czy przekazują ich wyniki badań. Ale może być i tak, że skoro nasza załoga składa się głównie z kobiet, może to być dla nich niekomfortowe.

Uczestniczę tu również w zajęciach dla dzieci, organizowanych przez PMRS i PMM. Nie chodzą one do przedszkola, więc kontakt z psycholożką jest ważny. To sposób na przepracowanie ich traum, lepszą integrację z rówieśnikami.

Doktor Iskafi, zarządzający mobilnymi klinikami, mówi: – Zauważamy wzrost liczby pacjentów. W regularnych przychodniach prowadzonych przez palestyńskie Ministerstwo Zdrowia brakuje leków, a nieopłacani lekarze pojawiają się w nich tylko dwa dni w tygodniu. To siłą rzeczy przekierowuje pacjentów do nas.

© JAN POCHEĆ

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 464/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Barbarze Gabriel, córce Leona i Józefy, zmarłej 25 marca 2019 r. w Warszawie i ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ul. Bitwy Warszawskiej 1920 roku 1B m. 9.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Spóźniona cena zimnej wojny

PIOTR TOPÓR

PACYFIK | Choć od rozpoczęcia przez USA testów nuklearnych na Wyspach Marshalla minęło 80 lat, ich mieszkańcy wciąż czekają na pełne uznanie odpowiedzialności za ich skutki. Rozmawialiśmy z nimi.

Dla dobra ludzkości i zakończenia wszystkich wojen – tymi słowami amerykański gubernator Wysp Marshalla, komodor Ben H. Wyatt, przekonywał mieszkańców Bikini, aby opuścili atol.

Był marzec 1946 r., gdy 167 ludzi musiało pozostawić swoją rodzinną ziemię. Cztery miesiące później, 1 lipca, Stany Zjednoczone przeprowadziły tam pierwszy test jądrowy w ramach operacji „Crossroads".

Seria 67 testów, które odbyły się w ciągu kolejnych 12 lat na dwóch atolach, Bikini i Enewetak, doprowadziła do skażenia Wysp. Ich mieszkańcy ponieśli skutki zdrowotne, środowiskowe i społeczne – odczuwalne do dziś.

Pacyfik: teren odpowiedni

Dlaczego USA wybrały na testy ten niewielki archipelag, składający się z pięciu wysp i 29 atoli, dziś zamieszkały przez niespełna 40 tys. ludzi?

Rozwijający się wyścig zbrojeń, izolacja geograficzna Wysp (to część Pacyfiku położona na północ od równika) i powojenne ich losy (wcześniej administrowane przez Japonię, w latach 1944-47 znalazły się pod kontrolą, a potem zarządem USA jako tzw. Powiernicze Wyspy Pacyfiku) – dość było argumentów, które sprawiły, że w Waszyngtonie uznano właśnie ten obszar za odpo-



UNITED STATES DEPARTMENT OF DEFENSE / U.S. NAVY

Próbna eksplozja bomby atomowej, przeprowadzona przez armię USA na atolu Bikini, 25 lipca 1946 r.

wiednie miejsce dla prób z nową wtedy bronią.

– W USA nigdzie nie czyta się o Bikini, choć zimna wojna toczyła się i została wygrana także na Wyspach Marshalla. Amerykanie pokazali reszcie świata: „Spójrzcie, jaką mamy broń" – mówi w rozmowie ze mną Jack Niedenthal.

Niedenthal jest Amerykaninem, który na Wyspy Marshalla trafił w latach 80. XX w. jako członek Korpusu Pokoju. Ożenił się z Bikinianką. Na Wyspach, które w 1986 r. stały się niepodległym państwem, pełnił funkcję sekretarza (ministra) zdrowia. Jest też filmowcem i popularyzatorem lokalnej kultury.

Dla mieszkańców Bikini, kolejno przesiedlanych m.in. na Rongerik, Kwajalein i ostatecznie na znacznie mniejszą wyspę Kili, utrata rodzinnej ziemi i tradycyjnego sposobu życia była społeczną i kulturową katastrofą. Wprawdzie w 1968 r. władze USA ogłosiły, że Bikini może zostać ponownie zasiedlone – po czym, na początku lat 70., część mieszkańców tam wróciła. Jednak w 1978 r. zostali ponownie ewakuowani. Dziś atol jest niezamieszkany.

Castle Bravo i dzieci-meduzy

Zwłaszcza „Castle Bravo" – taki kryptonim nosił największy test jądrowy w historii USA, przeprowadzony na Bikini w 1954 r. – okazał się radiologiczną katastrofą.

Amerykanie bronili się potem, że eksplozja miała większą moc, niż pierwotnie zakładano (15 megaton, tj. około tysiąc razy większą niż bomba zrzucona w 1945 r. na Hiroszimę), oraz że opad radioaktywny rozprzestrzenił się w nieplanowanym kierunku za sprawą zmiany pogody. Jednak odtajnione po latach akta pokazują, że teza o braku wiedzy amerykańskich naukowców na temat zmiany kierunku wiatru i sile testu była fałszywa.

Dla mieszkańców archipelagu – zwłaszcza dwóch innych atoli, Rongelap i Utirik, gdzie wprawdzie nie odbywały się testy, ale dokąd dotarł promieniotwórczy opad – skutki okazały się fatalne. W latach 80. XX w., dzięki staraniom aktywistki Darlene Keju, nagłośniono relacje o wzroście zachorowań na nowotwory. A także o *jellyfish babies*, dzieciach-meduzach. Tak potocznie określano dzieci, które rodziły się z poważnymi wadami rozwojowymi po tym, jak ich matki były narażone na promieniowanie.

Ale oskarżenia ze strony mieszkańców Wysp idą dalej. Do dziś emocje wywołuje „Projekt 4.1.", czyli amerykańskie badania osób narażonych na promieniowanie po wybuchu „Castle Bravo". Dokumenty odtajnione w latach 90. XX w. ujawniły, że nazwa tego projektu pojawiła się jeszcze przed samym testem z 1954 r. Zdaniem części aktywistów i polityków z Wysp Marshalla sugeruje to intencjonalne narażenie Marszalczyków na promieniowanie.

USA odrzucają te zarzuty. Nie zmienia to faktu, że badania te łamały standardy etyczne (m.in. brak zgody pokrzywdzonych na bycie przedmiotem badań). Marszalczycy uważają dziś, że zostali potraktowani jak doświadczalne „świnki morskie".

Schemat zapomnienia

– Jedną z rzeczy, które Bikinianie powiedzieli mi, kiedy zacząłem dla nich pracować, było to, że moim zadaniem jest przekazanie światu ich historii – wspomina dziś Jack Niedenthal. Pamięć i wiedza o testach zostały bowiem „zagrabione".

Traf chciał, że 5 lipca 1946 r., kilka dni po rozpoczęciu testów na Bikini, francuski projektant Louis Réard zaprezentował dwuczęściowy strój kąpielowy. Nazwał go „bikini". To informacje o testach nuklearnych na egzotycznej wyspie Bikini, o których napisała wówczas światowa prasa, miały zainspirować go do porównania „wybuchowego efektu", jaki wywołać miał nowy kostium.

Beverly Keever – amerykańska dziennikarka i korespondentka podczas wojny w Wietnamie, potem profesorka dziennikarstwa i komunikacji – badała przekazy medialne w prasie w USA na temat testów na Pacyfiku. Wykazała, że pod koniec XX i na początku XXI wieku ponad 90 proc. artykułów dziennika „New York ↦



CAROLYN COLE / LOS ANGELES TIMES / POLARIS / EAST NEWS

Kopuła na wyspie Runit w atolu Enewetak, gdzie około pół wieku temu umieszczono część odpadów radioaktywnych. Jej degradacja i podnoszenie się poziomu oceanu mogą – zdaniem części naukowców – prowadzić do przedostania się materiałów radioaktywnych do środowiska. Maj 2019 r.

↦ Times" zawierających słowo „bikini" odnosiło się do stroju kąpielowego.

Także inne popkulturowe nawiązania – testy miały być inspiracją dla serii filmów o „Godzilli", z kolei w akwenie przy Bikini dzieje się akcja animacji „SpongeBob" – utrwaliły schemat zapomnienia o marszalskich doświadczeniach w zbiorowej pamięci Zachodu.

Tragedia Marszalczyków nie tylko została zapomniana przez Zachód – „bikini" zaczęło symbolizować wręcz beztroskę, zabawę. O ile w 1946 r. Louis Réard nie mógł być świadomy skutków testów, o tyle z perspektywy czasu trudno nie uznać tego za namacalny przejaw kulturowego imperializmu Zachodu.

Poligon imienia Reagana

Stany nie przeprowadziły dotąd pełnego programu rekompensat za skutki testów. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest polityczne i gospodarcze uzależnienie Wysp Marshalla od USA – kolejny przykład istniejącego wciąż systemu zależności.

Wprawdzie oceaniczne społeczności uzyskały niepodległość na przełomie lat 80. i 90. XX w., ale Amerykanie utrwalili swoją pozycję na Pacyfiku poprzez umowy o stowarzyszeniu COFA. Na ich mocy trzy państwa – Republika Palau, Sfederowane Stany Mikronezji i Republika Wysp Marshalla – przekazały odpowiedzialność za swoją obronę w zamian za wsparcie finansowe i za możliwość migracji ich obywateli do USA.

Północny Pacyfik nadal pełni istotną rolę w polityce obronnej USA – dziś w kontekście relacji chińsko-zachodnich. Amerykanie mają bazę na wyspie Guam (archipelag Marianów), a na Wyspach Marshalla – poligon rakietowy imienia Ronalda Reagana na atolu Kwajalein.

Umowy COFA są renegocjowane co dwie dekady. Pierwsze porozumienie z Wyspami Marshalla, które weszło w życie w 1986 r., zawierało kruczek prawny o kompensacjach za testy nuklearne. Zakładało utworzenie Trybunału Roszczeń Nuklearnych, którego celem miało być przyznanie odszkodowania dla pokrzywdzonych i „ostateczne porozumienie" w tym zakresie.

Kwota przeznaczona na ten cel, 150 mln dolarów, szybko okazała się niewystarczająca – w następnych latach straty oszacowano na kilka miliardów dolarów. Stany odrzucają jednak próby ponownego otwarcia kwestii odszkodowań, uznając ją za zamkniętą; kwestionują także skalę szkód. Nigdy też formalnie nie przeprosiły za testy.

Kwestia sprawiedliwości

Marszalczycy nadal domagają się więc „nuklearnej sprawiedliwości". W 2017 r. Wyspy powołały Narodową Komisję Nuklearną, której celem miało być przygotowanie strategii i koordynacji działań. Jej filary obejmują, poza rekompensatami, także ochronę zdrowia i środowiska, edukację oraz wzmacnianie krajowych instytucji i kompetencji naukowych.

– Jednym z priorytetów komisji była edukacja, zarówno społeczeństwa, jak i ludzi spoza kraju – mówi mi Rhea Moss-Christian, która stała na czele tej komisji w latach 2017-2021. – Wielu młodych Marszalczyków nie znało historii. Moja matka była małą dziewczynką w czasie testów, dowiedziałam się o nich od niej. Teraz staram się przekazać wiedzę córce. Ale przyszli liderzy, którzy będą musieli walczyć z nierozwiązanymi skutkami testów, mogą o nich wiedzieć dużo mniej.

– Dla nas nuklearna sprawiedliwość to więcej niż pieniądze dla ludzi. Potrzebujemy światowej klasy szpitali. Na Wyspach Marshalla nie mamy żadnego oddziału onkologii. Potrzebujemy systemu edukacyjnego na światowym poziomie, szkół i dobrze płatnych prac – mówi mi Benetick Kabua Maddison, dyrektor wykonawczy Marshallese Educational Initiative, organizacji pozarządowej działającej w USA, gdzie mieszka kilkadziesiąt tysięcy Marszalczyków.

Główną motywacją ludzi, którzy na przestrzeni minionych dekad skorzystali z możliwości legalnego emigrowania do USA, były wprawdzie kwestie społeczno-ekonomiczne. Trudno jednak oddzielić je od kwestii spuścizny nuklearnej.

– Potrzebujemy nie tylko przeprosin ze strony USA, ale współpracy w tych dziedzinach. Moim zdaniem przeprosiny powinny być rzeczą ostatnią, a nie pierwszą. Świat musi też poznać pełną skalę tego, co się wydarzyło – dodaje Kabua Maddison.

– Musimy mierzyć się z aparatem władzy USA, który ma interes w wąskiej narracji na ten temat – przekonuje Rhea Moss-Christian.

Radioaktywna spuścizna

Do dziś wiele historycznych dokumentów pozostaje utajnionych, a za monitoring i badania odpowiadają Amerykanie. To, że kontrolują informacje na temat swoich działań z przeszłości, jest jedną z przyczyn braku zaufania po stronie Marszalczyków. „Nie może być zamknięcia sprawy bez jej pełnego ujawnienia" – głosi maksyma sformułowana przez Tony'ego deBruma, jednego z najważniejszych marszalskich polityków.

Jednym z symboli środowiskowej „spuścizny" USA jest kopuła na wyspie Runit w atolu Enewetak, w której na przełomie lat 70. i 80. XX w. umieszczono część odpadów radioaktywnych. Degradacja kopuły i stopniowe zalewanie wyspy, związane z podnoszeniem się poziomu wód, mogą – zdaniem części naukowców – doprowadzić do przedostania się materiałów radioaktywnych do środowiska.

Amerykańskie raporty, np. Departamentu Energii z 2024 r., uspokajają, że znajduje się tam tylko jeden procent zanieczyszczenia radioaktywnego obecnego w lagunie tego atolu. – Skoro jest tam tylko jeden procent, po co w ogóle była ta kopuła? – pyta dr Ivana Nikolic Hughes z Columbia University, prezydentka organizacji Nuclear Age Peace Foundation. – Obawiam się, że w kopule są cząstki plutonu, które mogą wydostać się na zewnątrz. A pluton może cię dosłownie zabić.

Niezależne badania, w których uczestniczyła Ivana Nikolic Hughes, wykazały na północnych atolach niepokojąco wysokie stężenia m.in. izotopów cez-137 i stront-90.

– Znaleźliśmy dowody wyższego promieniowania gamma w północnych częściach atoli Enewetak i Bikini. Wykryliśmy też wysokie poziomy cezu-137 w jedzeniu. Rongelap miało niższy poziom radiacji, ale na jednej z północnych wysp byliśmy zszokowani poziomem promieniowania – wylicza. Wyniki te często są sprzeczne z narracją USA.

Ciąg dalszy trwa

Sprowadzenie historii Wysp Marshalla wyłącznie do testów nuklearnych byłoby jednak uproszczeniem.

– To dobry kraj ze świetnymi ludźmi. Gdy patrzę na nich z perspektywy kogoś, kto jest obecny niejako w obu światach, tutejszym i zachodnim, gdy widzę, jak przez lata ich wykorzystywano i okłamywano, jak manipulowano nimi podczas negocjacji, robi mi się niedobrze – mówi Jack Niedenthal.

Wyspy Marshalla nie są jedynym przykładem takich przemilczanych ofiar. Francuska Polinezja, Kiribati i Algieria, Kazachstan, Nowa Ziemia na Oceanie Arktycznym i Nevada – wszędzie tam także przeprowadzano testy nuklearne, sowieckie i zachodnie. Również one miały konsekwencje dla mieszkańców.

Dlatego Wyspy Marshalla dążą do osiągnięcia sprawiedliwości w ramach struktur międzynarodowych. W 2024 r. Biuro Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka wskazało, że wielopokoleniowe skutki testów stanowią formę naruszenia praw ludzkich, i że dodatkowymi problemami są tu brak transparentności co do informacji i niewystarczające mechanizmy odszkodowawcze.

– Po raz pierwszy nie musimy walczyć z USA w pojedynkę, bo mamy wsparcie ze strony społeczności międzynarodowej. Stany nie mogą już tego ignorować – uważa Benetick Kabua Maddison.

© PIOTR TOPÓR

Autor jest doktorantem na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ, gdzie realizuje projekt badawczy o polityce zagranicznej Australii. Zajmuje się także polityką regionalną w Azji i Oceanii oraz studiami postkolonialnymi.

REKLAMA

OGRODY ALEKSANDRY

Domy z ogrodem

Kraków - Bieżanów

www.ogrodyaleksandry.pl

• Osiedle ogrodzone • Powierzchnia domu ~100 m² • Ogród i miejsce postojowe do każdego domu
• Ogrzewanie podłogowe zasilane pompą ciepła • Klimatyzacja, PV, EV - instalacja pod montaż
• Wentylacja z rekuperacją • 20 min. pociągiem do Dworca Kraków Główny







WIARA

PAPIEŻ NIE MA TELEFONU DO PANA BOGA

RADOSŁAW SIKORSKI, O. WOJCIECH GIERTYCH OP

O tym, czym jest polskość, czy osoba wierząca może wątpić i czy Leon XIV uratuje świat, rozmawiają Radosław Sikorski, polityk, i o. Wojciech Giertych OP, watykański teolog.

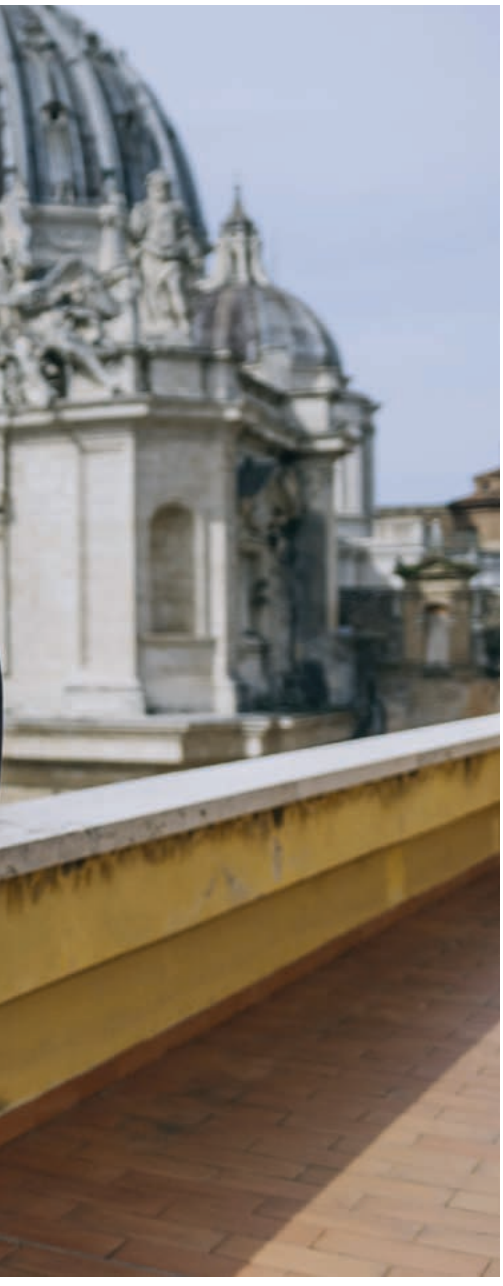

AGATA MAZIARZ / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ZNAK

RADOSŁAW SIKORSKI (ur. 1963 w Bydgoszczy) – polityk, minister spraw zagranicznych, w latach 1986-1989 korespondent zachodnich mediów w Afganistanie i Angoli.

O. WOJCIECH GIERTYCH (ur. 1951 w Londynie) – dominikanin, doktor teologii moralnej, Teolog Domu Papieskiego, który czuwa nad poprawnością doktrynalną papieskich przemówień.

Na zdjęciu o. Wojciech Giertych OP i Radosław Sikorski. Rzym, kwiecień 2023 r.

JACEK STAWISKI: Co to jest polskość?

RADOSŁAW SIKORSKI: To wierność pewnej tradycji, idei i wychowaniu. Ale – ponieważ o. Giertych ma unikalną, bo również powszechną perspektywę – dobrze byłoby spojrzeć i na polskość, i na chrześcijaństwo, *christianitas*, z rzymskiego punktu widzenia.

O. WOJCIECH GIERTYCH: Trochę się takich pytań boję, bo mogą prowadzić do definiowania, kto się w polskości mieści, a kto nie – a w ślad za tym do wykluczania. Czy ktoś, kto pochodzi ze Śląska, jest Kaszubem, wyjechał z Tarnopolszczyzny lub z Wileńszczyzny, jest gorszym Polakiem niż inni? Ja moje dzieciństwo spędziłem w Londynie, gdzie było wielu Polaków z Kresów, którzy przez Syberię trafili z armią Andersa na Zachód. W szkółkach sobotnich, gdzie nas uczono języka polskiego, były mapki z zachodnią granicą na Odrze i Nysie, i wschodnią na Zbruczu – choć Polska nigdy przecież takich granic nie miała.

Ważne jest to, kto się uważa za Polaka. Pamiętam, że i moi rodzice, i polskie środowisko w Londynie starali się o to, abyśmy czytali, myśleli, mówili po polsku – mimo że chodziliśmy do szkół angielskich. Trochę mówimy o tym w książce „Rozmowy rzymskie", wskazując na różnicę między angielskością a brytyjskością. W I Rzeczypospolitej ludzie też potrafili o sobie powiedzieć: jestem narodowości rusińskiej, ale Polakiem politycznym. Gdy byliśmy wielcy, inni do polskości aspirowali. Definicja, która zawęziła ją do korzenia etnicznego, to *de facto* produkt zaborów, zamieniony dziś w karykaturę. Niektórzy Polacy uważają wykrywanie w innych jakichś braków czy obcych domieszek za patriotyczne – ale wielki naród robi dokładnie odwrotnie.

W czasach mego dzieciństwa w Anglii, jak się pytało Szkota, kim jest, to mówił, że jest Szkotem, a Walijczyk mówił, że jest Walijczykiem. Dopiero jak się Anglika pytało, to mówił, że jest Brytyjczykiem, mając na myśli całe Zjednoczone Królestwo wraz z koloniami.

RS: A ja pamiętam, jak Norman Davies kiedyś powiedział mi, że gdyby się Zjednoczone Królestwo miało rozpaść, to ostatnią redutą będzie Ognisko Polskie na Exhibition Road w Londynie. Bo Polacy w Wielkiej Brytanii uważają się za Brytyjczyków, nie za Anglików.

W Waszej książce „Rozmowy rzymskie" mówicie jednak o definiowaniu polskości, przywołując np. Sienkiewicza, Mickiewicza, Wojtyłę...

WG: Można wymienić też ludzi o niemieckich nazwiskach, którzy byli Polakami, np. Aleksandra Brücknera czy Karola Estreichera.

RS: Czy aby na pewno Jagiełło, Kopernik i Batory mówili po polsku? Lubię prowokować nacjonalistów takimi pytaniami, bo jeśli przyłożyć ich wzorzec polskości – polegający na lustracji życiorysów i życiorysów rodzin wybitnych Polaków – niewielu by zostało. A gdy odwiedziłem Licheń i spojrzałem na umieszczoną w podziemiach bazyliki galerię słynnych Polaków, odniosłem wrażenie, że wszyscy za życia byli potępieni przez Kościół katolicki. Od Chopina i Piłsudskiego zaczynając.

Wspomniany Karol Wojtyła był w pojmowaniu polskości niezwykle inkluzywny. I szukał pojednania z sąsiadami, np. Ukraińcami, mimo dzielącej nas historii.

RS: Kiedy kilka miesięcy temu kard. Grzegorz Ryś miał czelność przypomnieć, że Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który wszedł do synagogi, wywołało to jakiś dziki atak na niego. Jakby bez antysemityzmu katolicyzm nie był już naszą religią.

WG: Wojtyła dorastał w Wadowicach, w Polsce przedwojennej. Polskę wieloetniczną miał we krwi.

Jeden z dziennikarzy zapytał kard. Rysia, czy czasem wątpi. Ojcu się zdarza?

WG: Wiara jest darem łaski, który otrzymujemy od Boga. Natomiast treść wiary poznajemy przez Pismo Święte i przez naukę Kościoła. Umysł ludzki szuka klarowności, chce rozumieć, wiara zaś jest pokorą rozumu. Abstrahując od „nocy ducha", ciemności i zwątpień, które przeżywali wielcy święci – wiara wyprowadza ten szukający jasności umysł gdzieś dalej, ku tajemnicy, która jest życiodajna. Tyle że dla intelektu bywa to trudne.

Rodzą się pytania?

WG: Mogą się rodzić. Bo jak to połączyć? Jak pojąć sens czy konsekwencje tajemnic wiary? Tu właśnie jest miejsce dla niepokoju intelektualnego, dla refleksji ↦

↦ teologicznej – by to sobie ponazywać i odnaleźć inteligibilność prawd wiary. Celowo mówię „inteligibilność", a nie „racjonalność", bo nie chodzi o to, żeby udowodnić, że prawdy wiary są rozumne i rozum może je przyjąć. Intelekt – powtórzę – staje wobec tajemnicy.

Możemy więc podejmować wysiłek szukania inteligibilności tajemnic wiary. Zobaczyć, jak się łączą, jakie mają znaczenie i wpływ na nasze życie. I nic w tym dziwnego, że czasem rodzą się przy tym niepokoje – albo ciekawość, która chciałaby niektóre rzeczy lepiej ponazywać. Kościół nam mówi o prawdach, które są zasadnicze: o Trójcy Świętej, Wcieleniu, Odkupieniu itd. Ale co to znaczy praktycznie? Jaki ma wpływ na moją codzienność? Na ile tym żyję, a na ile tylko powtarzam niedzielne wyznanie wiary, specjalnie się nie przejmując jego treścią?

Mogę Pana Ministra poprosić o komentarz?

RS: Wydaje mi się, że każdy człowiek ma potrzebę szukania sensu i odnalezienia drogi do czegoś większego od nas samych. Postawiłbym też tezę, że wszyscy wątpią. Wiem, że o. Giertych nie oglądał filmu „Dwóch papieży", ale zapamiętałem z niego pewną scenę, której sens odczytuję następująco: oto człowiek zostaje papieżem, wchodzi do papieskiego apartamentu i myśli, że tam będzie jakiś czerwony telefon, gorąca linia do Pana Boga. Ale takiego telefonu nie ma. Nowy papież uświadamia sobie wtedy, że cały świat chrześcijański oczekuje od niego pewności i wskazówek, a on jest z tym sam. Poruszające.

WG: Istnieje egzystencjalne doświadczenie wiary: idziemy przez życie akceptując to, że Pan Bóg nas prowadzi w sposób tajemniczy, że nie wszystko jest jasne. Droga nie jest klarowna, ale możemy zawierzyć, że Bóg jest, i z miłością mu odpowiedzieć. Natomiast treści wiary, które zostały dane w Objawieniu, wyłożone w nauce Kościoła i ostatecznie wyartykułowane w Katechizmie, to pewien zespół prawd, które mamy poznać i głosić. Papież nie ma telefonu do Pana Boga, ale zna naukę Kościoła. Nie tylko zresztą on: każdy ksiądz i każdy wierzący powinien tę naukę znać. Natomiast jak to łączyć z egzystencjalnym doświadczeniem życia w wierze, karmionego modlitwą, sakramentami, otwieraniem się na Boga i zgadzaniem się na to, że nie wiemy, jak będzie jutro? Wspomniałem już: wiara jest pokorą umysłu wobec tajemnicy, która się rozwija dzień po dniu w naszym życiu.

Czy w Polsce wygląda to inaczej niż gdzie indziej? Czy nasz kraj pozostanie chrześcijański?

WG: Niewątpliwie Kościół w Polsce przeżywa kryzys, ale kryzysy się zdarzają w Kościele periodycznie, w różnych okresach i miejscach. To nie powinno dziwić i niepokoić: powinno być wezwaniem do spojrzenia głębiej, skupienia się na tym, co zasadnicze, zrezygnowania z naleciałości i płycizn.

O. WOJCIECH GIERTYCH:
Kościół ma prowadzić ludzi do świętości. Nie poprzez państwo, ale przez posługę sakramentalną i duszpasterstwo.

RADOSŁAW SIKORSKI:
Mam nadzieję, że polscy politycy, szczególnie po prawej stronie, posłuchają tego przesłania.

Jeżeli wiara jest sklejona z tożsamością narodową lub z programem politycznym i jeśli stają się one ważniejsze niż obcowanie z żywym Bogiem, to Pan Bóg dopuszcza do kryzysów. Dużo jeździłem po świecie, gdy byłem członkiem Rady Generalnej dominikanów. W Quebecu widziałem ogromne kościoły, budowane w latach 50. i 60., a dziś opustoszałe. Francuskojęzyczny katolicyzm w Kanadzie przeszedł przez ogromny kryzys. Jak mi tłumaczono: coś, co we Francji działo się od rewolucji francuskiej aż do 1968, tam zdarzyło się w ciągu sześciu miesięcy tegoż 1968 r.

A czy polski Kościół po przejściu przez kryzys będzie bardziej chrześcijański?

WG: Trudno mi w tej chwili powiedzieć, jak długo ten kryzys będzie trwał i jak Kościół w Polsce z niego wyjdzie. Może nie będzie tak liczny, ale będzie głębszy? Najważniejsze, żeby produkował świętych.

RS: Ja uważam, że Polska będzie chrześcijańska kulturowo jeszcze przez wiele pokoleń, ale że katolicyzm jest w niej religią w zasadzie mniejszościową. Ze statystyk wynika, że mniej więcej jedna trzecia chodzi regularnie do kościoła, kolejna jedna trzecia uważa się za wierzących, ale z praktykami różnie bywa, a pozostała jedna trzecia już jest poza Kościołem. Są diecezje, w których w tym roku nie było ani jednego powołania. To o czymś świadczy.

Jako minister spotyka się Pan często z sytuacją, gdy traktują Pana jako reprezentanta „katolickiej Polski"?

RS: Być może to jedno z najprostszych skojarzeń. Często pozwala to skrócić dystans, także z ministrami spraw zagranicznych innych katolickich krajów, np. Włoch. Kiedyś na Radzie do Spraw Zagranicznych UE – po jednej z fali antychrześcijańskiej przemocy i podpaleniach kościołów w Pakistanie, Egipcie, Nigerii – wnioskowaliśmy, żeby wpisać do zadań Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych monitoring wolności religii. Powiedziałem, zastrzegając zresztą, że to nie musi być wcale argument chrześcijanina: „Słuchajcie, nasze narodowe doświadczenie jest takie, że tam, gdzie nie ma wolności religijnej, przeważnie nie ma żadnej innej wolności i wobec tego – niezależnie od wyznania czy jego braku – powinniśmy to monitorować". To się spotkało z zaskakującym oporem. W wielu państwach Europy Zachodniej żyją duże wspólnoty islamskie; musieliśmy tłumaczyć, że nasza inicjatywa nie jest skierowana przeciwko komukolwiek, tylko ma na celu monitorowanie jednego z ważnych praw człowieka.

Jakie obowiązki państwa z tego katolicyzmu wynikają?

WG: Państwo ma dbać o ład społeczny i dlatego ze wszystkich cnót najbardziej powinno się troszczyć o zachowanie sprawiedliwości. Natomiast państwo nie karze ludzi za to, że nie mają nadziei chrześcijańskiej albo że nie mają umiarkowania i piją za dużo. Jeżeli ktoś jeździ samochodem po pijanemu, to państwo ka-



AGATA MAZIARZ / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ZNAK

Radosław Sikorski i o. Wojciech Giertych OP. Rzym, kwiecień 2023 r.

rze go nie w imię umiarkowania, tylko w imię sprawiedliwości, bo taki człowiek zagraża wspólnocie.

Więc etos, który wyprowadzamy z wiary chrześcijańskiej, jest o wiele głębszy i szerszy niż to minimum, które państwo potrafi wyegzekwować. Nie oczekujemy od państwa, że zadba o to, żeby wszyscy ludzie byli porządnymi, dobrymi katolikami. Kościół i państwo mają swoją autonomię. A politycy mają autonomię w rozeznaniu, co należy robić: jaka jest hierarchia spraw pilnych i niepilnych. Kościół nie może się do tego mieszać. On ma prowadzić ludzi do świętości. To się dokonuje nie poprzez państwo, ale poprzez posługę sakramentalną i duszpasterstwo. Jeżeli księża nie wierzą w obecność łaski Bożej w sakramentach, to potem chcą, żeby państwo za nich robotę zrobiło.

RS: Uznaję co najmniej dwa argumenty za rolą chrześcijaństwa w społeczeństwie. Po pierwsze, że w jego miejsce mogą wejść gorsze rzeczy: radykalizmy, faszyzmy...

Czyli chrześcijaństwo jako zapora...

RS: To raz. Ale dwa – i to wynik naszych rozmów, bo do tego o. Giertych mnie przekonał – że chrześcijaństwo, w odróżnieniu od większości innych religii, formuje sumienia. To znaczy: wytwarza wewnętrzne bariery przeciwko czynieniu zła i zadawaniu cierpienia.

Mam nadzieję, że polscy politycy, szczególnie po prawej stronie, wysłuchają tej części przesłania, które właśnie usłyszeliśmy, że próby karania za grzech są pójściem na skróty. Rolą Kościoła nie jest zabieganie o to, by wyręczało go państwo, tylko formowanie sumień i zachęcanie ludzi do dobra. Z chodzenia na skróty i poddawania obywateli przymusowi niepopełniania grzechów rodzą się zwykle społeczna anomia i konflikty.

WG: Mój dziadek, ojciec mojej mamy, był sędzią we Lwowie w czasach austriackich i w Polsce międzywojennej. Skazywał na więzienie różnych oprychów. Natomiast jego żona, moja babcia, należała do stowarzyszenia świętego Wincentego a Paulo i udzielała więźniom pociechy duchowej. To są jakby dwie ręce: ręka państwa, które karze złoczyńców dla dobra społecznego, i ręka Kościoła, który poprzez zaangażowanych świeckich dociera do ludzi pogubionych, żeby im pomóc odbudować sumienie i życie duchowe. W chrześcijaństwie ważniejsza jest ta druga ręka.

RS: Edward Gibbon, pierwszy wielki historyk starożytnego Rzymu, streszczał podejście Rzymian do religii następująco: lud uważał wszystkie religie za równie prawdziwe, filozofowie za równie fałszywe, a politycy za równie użyteczne. To oczywiście XVIII-wieczny cynizm, ale uważam, że Gibbon miał rację, gdy pisał w ostatnim rozdziale o przyczynach upadku Imperium Rzymskiego – i, co gorsza, brzmi to dziś aktualnie. Na koniec Rzymianie w swoich stosunkach społecznych stali się totalnie transakcyjni. Wszystko było wymianą uprzejmości czy interesów i nikt już nie dbał o interes społeczności jako całości, nikt nie był gotów do poświęceń na rzecz społeczności i dlatego poddała się ona naporowi barbarzyńców.

Czy Pan Minister ma jakieś oczekiwania związane z Leonem XIV? Bo tyle jest nadziei, że akurat ten papież znajdzie jakąś formułę dla chaotycznego, nieprzewidywalnego, bezwzględnego świata.

RS: Leon XIV co miesiąc czymś mnie pozytywnie zaskakuje. Już sam wybór tematu pierwszej encykliki pozytywnie mnie zaskoczył, bo postrzegam go jako przełożenie wajchy: zamiast zajmować się tym, czy Kowalski używa prezerwatywy, czy nie, mamy przesłanie o tym, jak radzić sobie z nowoczesnością.

Niedawno byłem w Algierii: oni tam byli zachwyceni jego odwiedzinami. Jak wiemy, Leon XIV jest augustianinem, a Hippona – gdzie żył św. Augustyn – leży ↦

↦ w dzisiejszej Algierii. I mówili mi tamtejsi ministrowie, że jak towarzyszyli papieżowi, to on ich oprowadzał po zrujnowanej Hipponie.

Jednocześnie to Augustyn sformułował doktrynę wojny sprawiedliwej. Ja rozumiem, że Kościół tego terminu nie lubi, ale uważam, że on jest aktualny, bo tyle mamy wojen niesprawiedliwych.

Gdyby w 1934 r. Polska zorganizowała koalicję do wojny prewencyjnej z III Rzeszą, byłaby to wojna niesprawiedliwa?

WG: Wojen prewencyjnych się nie robi na zasadzie, że ktoś nam może zagrozić, tylko wtedy, gdy ktoś wyraźnie zagraża. Dodam na marginesie, że mój ojciec do śmierci miał poczucie winy, że nie udało mu się wywołać II wojny światowej w 1938 r., ponieważ był wtedy we władzach Stronnictwa Narodowego, rząd sanacyjny zaś trzymał z Hitlerem i próbował się z nim dogadać. Ojciec uważał, że trzeba stanąć po stronie Czechosłowacji, i próbował to na forum własnej partii przeprowadzić (a była to partia opozycyjna, ale wpływowa) i potem chciał zmusić rząd do zmiany. Nie wyszło mu, bo był lepszym pisarzem niż mówcą i nie dał rady przekonać swoich towarzyszy, a Polska do spółki z Węgrami i z Hitlerem dokonała rozbioru Czechosłowacji.

RS: To była jedna z najgłupszych decyzji w historii naszej dyplomacji, oczywiście jak zwykle z patriotycznych motywów.

Jeden z najbardziej dramatycznych fragmentów Waszej książki dotyczy rozgrzeszenia komendanta obozu Auschwitz. Pan Minister nie mógł się pogodzić z tym, że ktoś taki jak Rudolf Höss mógł dostać rozgrzeszenie...

WG: Sprawiedliwość bez miłosierdzia jest nieludzka, natomiast miłosierdzie bez sprawiedliwości jest anarchią. Potrzebne jest jedno i drugie. Musimy wierzyć, że nawet najgorsi zbrodniarze i nasi najgorsi wrogowie – niekoniecznie wrogowie polityczni i historyczni, czasem wrogowie w rodzinie – mogą się zmienić. Czasem bywa, że w konfliktach małżeńskich jedna strona mówi: „On jest tak zdegenerowany, z niego nic dobrego nie będzie". Jak ktoś usłyszy takie zdanie, to się jeszcze bardziej zamyka w złu. Dlatego Kościół wzywa, żeby wierzyć, iż łaska Chrystusa pomoże i że ten drugi człowiek się zmieni.

Jeżeli były zbrodniarz, który jest w więzieniu i ma czas do refleksji, przed śmiercią prosi o sakramenty, to Kościół ich nie odmawia. Jeżeli skrucha jest szczera, to je otrzyma. A jeżeli tylko udaje, to nawet jeśli udzielono mu sakramentu, on tak naprawdę go nie przyjął. Kościół musi wierzyć w to, że każdy może ze zła wyjść. Zarówno Judasz, jak Piotr żałowali za swoje grzechy – tylko że Judasz poszedł do świątyni, oddał srebrniki, a potem się powiesił. Żałował, ale w odróżnieniu od Piotra nie wierzył, że Chrystus go z grzechu wyprowadzi.

RS: Faktycznie tutaj się fundamentalnie nie zgadzamy. Nie pamiętam już nazwiska tego księdza, który rozgrzeszył Hössa, ale uważam, że po prostu popełnił błąd zawodowy. Zgoda: ludzie mogą się zmienić. W Polsce mamy plagę oceniania ludzi za to, co zrobili 50 lat temu, choć później się zmienili i mieli swoje zasługi – wystarczy przypomnieć stosunek prawicy do Lecha Wałęsy. Ale, jak powiedział Ribbentrop do Mołotowa, są granice. Hipoteka Hössa jest tak mroczna, tak potworna, że za to się nie da odżałować.

Ten ksiądz spotkał Hössa wcześniej, w czasach gdy tamten był jeszcze komendantem. Przyszedł prosić w imieniu swoich braci zakonnych i Höss bodajże tych ludzi zwolnił. To mogło być jedną z przesłanek. Ale w Auschwitz zamordowano milion sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Powiem szczerze: mam w nosie stan umysłu Hössa. Są zbrodnie niewybaczalne. Nie wolno tego zamulać, dając mu rozgrzeszenie.

WG: Zgodzę się, że hipoteka Hössa była mroczna, ale łaska Chrystusa jest silniejsza.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI



Rozmowa jest zapisem debaty zorganizowanej 3 czerwca tego roku w Krakowie przez Wydawnictwo Znak w ramach promocji książki Radosława Sikorskiego i Wojciecha Giertycha OP, **ROZMOWY RZYMSKIE. PYTANIA NA CZAS NIEPOKOJU**.

Jak to było z Fundacją

ARTUR SPORNIAK

WATYKAN | Mecenas, który obraził osoby skrzywdzone w Kościele, jest sekretarzem watykańskiej Fundacji Jana Pawła II. Czy odpowiada za to metropolita krakowski?

Po sieci rozniosła się informacja, że kard. Grzegorz Ryś mianował sekretarzem watykańskiej Fundacji Jana Pawła II mecenasa Marka Markiewicza, który broniąc Kościoła w procesie o odszkodowanie za wykorzystanie seksualne nieletniego, publicznie pomówił osobę skrzywdzoną i został dyscyplinarnie ukarany naganą przez Adwokaturę. Osoby skrzywdzone w Kościele poczuły się zlekceważone, wielu komentatorów wyrażało rozczarowanie i rozgoryczenie. Informacja była powtarzana jednak bez troski o sprawdzenie szczegółów. A one wydają się istotne, bo powyższy opis jest nieścisły: metropolita krakowski nie mianował mecenasa sekretarzem, choć rzeczywiście uczestniczył z urzędu w procesie ustanawiania władz Fundacji. A mecenas rzeczywiście został ukarany – ale nie za wspomniane słowa.

SUGESTIA | Zacznijmy od początku. 1 września zaprzyjaźniony z osobami skrzywdzonymi i udzielający się charytatywnie radca prawny Krzysztof Bramorski zauważył w mediach społecznościowych, że obecność w zarządzie Fundacji Jana Pawła II mec. Marka Markiewicza jest „poniżeniem Skrzywdzonych w Kościele". Bo przecież to Markiewicz pomówił Jakuba Pankowiaka – ofiarę księdza pedofila i kryjącego go biskupa – „o realizowanie misji walki z Kościołem". Tymczasem Pankowiak nie tylko zrezygnował z kilkusettysięcznego odszkodowania,



JOHN PAUL II VATICAN FOUNDATION

Spotkanie Rady Administracyjnej Fundacji Jana Pawła II. Pierwszy od prawej mec. Marek Markiewicz, pośrodku kard. Grzegorz Ryś. Watykan, 27 sierpnia 2026 r.

„chroniąc w ten sposób finanse diecezji kaliskiej", ale znany jest z zaangażowania „w działania na rzecz poprawy sytuacji Skrzywdzonych w Kościele, w tym we współpracy z biskupami".

To wszystko prawda, po czym następowała informacja: „M. Markiewicz za swoje zachowanie w procesie dotyczącym sprawy braci Pankowiaków został w dwóch instancjach prawomocnie ukarany karą nagany przez Sądy Dyscyplinarne Adwokatury Polskiej". Czytelnicy tego wpisu mogli się zasugerować, że mec. Markiewicz został ukarany za pomówienie Pankowiaka. I tak właśnie Tomasz Terlikowski napisał: „Jak słusznie wskazuje mecenas Krzysztof Bramorski zachowanie adwokata była skandaliczne, i to na tyle, że »za swoje zachowanie w procesie dotyczącym sprawy braci Pankowiaków został (...) ukarany karą nagany«".

Tymczasem adwokat został ukarany naganą za coś innego. Choć sądy dyscyplinarne Adwokatury nie publikują swoich wyroków, „Tygodnik Powszechny" dowiedział się, że chodziło o publiczne ujawnienie podczas rozprawy treści mediacji pomiędzy diecezją kaliską o braćmi Pankowiakami, co jest niedopuszczalne, bo mediacja podlega ścisłej tajemnicy. Takie zachowania – stwierdza wyrok – mogą poderwać zaufanie do zawodu adwokata.

NIEŚCISŁOŚCI | Tomasz Terlikowski zasugerował też, że to kard. Ryś, mianowany administratorem diecezji kaliskiej po tym, jak papież usunął z funkcji bp. Janiaka, wynajął mecenasa Markiewicza do obrony przed roszczeniami braci Pankowiaków. Tymczasem ich proces toczył się już za bp. Damiana Bryla, który został ordynariuszem kaliskim na początku 2021 r. Obraźliwa wypowiedź mec. Markiewicza padła na rozprawie 20 maja 2022 r. Na następny dzień kuria odcięła się od niej, a bp Bryl spotkał się z Jakubem Pankowiakiem i go przeprosił.

Również mecenas Markiewicz przeprosił, choć poniewczasie, za swoją wypowiedź. „Nigdy nie było moją intencją czynienie uwag pod adresem osób skrzywdzonych, zarówno biorących udział w przywoływanej w mediach sprawie, jak i żadnych innych. Szczerze żałuję, że moje słowa je dotknęły. (...) W pełni utożsamiam się z przeprosinami skierowanymi w 2022 roku przez bp. Damiana Bryla, wobec czego tym bardziej żałuję, iż jedna z moich dawnych wypowiedzi procesowych na gruncie polskim, powróciła po latach w kontekście instytucji watykańskiej, która nie ma z nią nic wspólnego" – czytamy na stronie Fundacji w oświadczeniu zamieszczonym 3 września.

Druga rozpowszechniana nieścisłość dotyczy mianowania mec. Markiewicza na sekretarza Rady Administracyjnej i członka Prezydium Fundacji Jana Pawła II. On nie „został nagle sekretarzem" – jak napisał Błażej Kmieciak, b. przewodniczący państwowej komisji do spraw pedofilii. Na to stanowisko wyznaczył mecenasa 28 kwietnia 2022 r. ówczesny metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski. Hierarcha postanowił wtedy powołać nowy skład Rady Administracyjnej – z wcześniejszej kadencji do Rady przeszedł jedynie ks. Paweł Ptasznik.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ | A jaka jest w tym wszystkim rola kard. Grzegorza Rysia? Punkt 4 paragraf 1 statutu Fundacji Jana Pawła II mówi, że fundacja „pozostaje pod władzą wyższą arcybiskupa metropolity krakowskiego *pro tempore*, następcy kard. Karola Wojtyły na stolicy arcybiskupiej w tym mieście". – Władza wyższa nie oznacza władzy zwierzchniej. Metropolita krakowski sprawuje nad Fundacją opiekę i przysługują mu specjalne prerogatywy – wyjaśnia rzecznik fundacji ks. Tomasz Podlewski. Dodając, że prawdziwie zwierzchnią władzę sprawuje nad fundacją Watykan.

Do tych prerogatyw rzeczywiście należy „mianowanie członków Rady Administracyjnej i jej przewodniczącego", ale ostatecznie skład zatwierdza watykański Sekretariat Stanu. Kard. Grzegorz Ryś nie zmienił dotychczasowego składu Rady Administracyjnej, przesyłając nazwiska jej członków do Sekretariatu Stanu, który w marcu tego roku zatwierdził ich na drugą kadencję.

Ks. Piotr Studnicki, rzecznik archidiecezji krakowskiej, wyjaśnia, że decyzji o pozostawieniu dotychczasowego składu Rady na kolejną kadencję nie należy uważać ani za ocenę, ani za akceptację wypowiedzi mec. Markiewicza. – Decyzja została podjęta w kontekście potrzeby zapewnienia ciągłości działania Fundacji, która znajduje się w zaawansowanej fazie przygotowań do jubileuszu 45-lecia i planowanego spotkania z papieżem, a także konieczności dokończenia rozpoczętych projektów.

Co do samych słów Markiewicza rzecznik wypowiada się jasno: – Nie powinny były paść. Wiem, że dla Jakuba Pankowiaka i innych osób skrzywdzonych były źródłem dodatkowego bólu.

Ks. Studnicki nie wie, czy kard. Ryś, przesyłając do zatwierdzenia przez watykański Sekretariat Stanu niezmieniony skład Rady na drugą kadencję, pamiętał o niechlubnej wypowiedzi mecenasa. ©℗

Ksiądz od techno

KS. DOMINIK DUBIEL SJ

MUZYKA | Miliony ludzi na festiwalach i podczas Światowych Dni Młodzieży. Miks techno, muzyki klasycznej i religijnych hitów. Kim jest Padre Guilherme – ewangelizator zza konsolety?

Muzyczna podróż w świat techno trwa ponad dwie godziny. Z dźwięków wyłaniają się, jeden po drugim, remiksy hitów Electronic Dance Music (EDM) – „Freed from Desire", „Scatman", „Alors on Danse" – oraz kompozycje klasyków gatunku jak Tiësto czy Avicii. Obok nich pojawiają się dźwięki zaczerpnięte z zupełnie innych muzycznych uniwersów: Hallelujah z „Mesjasza" G. F. Händla, „Jesus Christ You Are My Life" oraz utwory nawiązujące do kultury i religijności kraju, w którym odbywa się koncert (polskim hitem była piosenka „Pan jest pasterzem moim"). Do tego sample z homilii, przemówień, encyklik papieży, wzywające do braterstwa, pokoju i miłości, kontrapunktowane muzycznie przez antywojenny protest song Johna Lennona „Give Peace a Chance". Poruszamy się w przestrzeni elektroniki, czasem bliższej techno, czasem przechodzącej w bardziej melodyjne trance i house.

Jeśli przyjrzeć się tańczącemu za konsoletą promiennie uśmiechniętemu przewodnikowi tej podróży, można dostrzec koloratkę. To DJ Padre Guilherme. W swoim naturalnym środowisku – chciałoby się rzec – bez względu na to, czy impreza, na której akurat gra, jest wydarzeniem chrześcijańskim, czy festiwalem techno. Zresztą – ten drugi kierunek wydaje się nawet bliższy sercu portugalskiego artysty w sutannie.

DOŚWIADCZENIE | „Od zawsze chciałem być księdzem" – powtarza w wywiadach ks. Guilherme Peixoto, Portugalczyk, rocznik 1974. Święcenia prezbiteratu przyjmuje w wieku dwudziestu pięciu lat. Pracuje w wymagającej parafii, próbując ożywić lokalną społeczność. Organizuje karaoke i imprezy taneczne, na których puszcza klasykę portugalskiego i światowego rocka. Prawdopodobnie wtedy zaczyna się kształtować jego fundamentalne przekonanie o muzyce jako energii zdolnej do pokonywania barier, niesienia orędzia pokoju, braterstwa i równości. A także do budowania żywej wspólnoty.

To doświadczenie okazało się pomocne również wtedy, gdy był kapelanem armii portugalskiej podczas misji wojskowych w Afganistanie i Kosowie. Poza posługą sakramentalną i klasycznymi propozycjami rozwoju duchowego, w swojej pracy zaczął posługiwać się muzyką. Również i tam przynosiła dobre efekty, działając kojąco na żyjących w permanentnym napięciu i stresie żołnierzy, dla których medytacja mogła być doświadczeniem za trudnym, bo cisza uruchamia zbyt łatwo gonitwę myśli wokół śmierci kolegów, niebezpieczeństwa i troski o pozostawioną w kraju rodzinę.

SUKCES | Po powrocie do posługi we własnej diecezji, Padre Guilherme inwestuje w profesjonalny sprzęt i edukację muzyczną, obejmującą również techniki produkcji muzycznej. Żeby podreperować budżet swojej parafii, zaczyna łączyć regularną pracę duszpasterską z graniem nocnych setów didżejskich. Popularność portugalskiego artysty rośnie w czasie pandemii covid-19. Jego domowe transmisje, w czasie których łączy sety EDM, duchowe orędzie nadziei i sporą dawkę poczucia humoru, gromadzą tysiące widzów oraz przyciągają uwagę światowych mediów.

W kolejnych latach jego kariera muzyczna przyspiesza. Punktem zwrotnym międzynarodowej rozpoznawalności DJ Padre Guilherme staje się występ z 6 sierpnia 2023 r. dla ponad miliona młodych ludzi oczekujących na mszę z papieżem Franciszkiem, kończącą Światowe Dni Młodzieży w Lizbonie. Od tego czasu jest regularnie zapraszany na wielkie wydarzenia na całym świecie. Jego



sety można było usłyszeć w Bejrucie, Rio de Janeiro i Buenos Aires. Grał w legendarnym klubie Hï Ibiza, na festiwalu UNTOLD w rumuńskim Kłużu-Napoce i podczas ING Silesia Beats w Chorzowie. W Polsce pojawił się jeszcze dwukrotnie: w Gdańsku oraz – w ostatni piątek, 4 września – w Opolu. Wszędzie wywołując skrajne reakcje: od entuzjazmu dla nowoczesnych metod ewangelizacji, po ostrzeżenia przed banalizacją wiary i duchowymi zagrożeniami.

PARADOKS | Naiwny zachwyt, jak i skrajna krytyka zdają się jednak pomijać istotę fenomenu portugalskiego DJ-a w koloratce. Żeby ją zrozumieć, trzeba sięgnąć do samych korzeni techno, które tkwią w Detroit lat 80. – miasta radykalnych przemian po latach *prosperity*. Kryzys amerykańskiego przemysłu motoryzacyjnego przyniósł tam gwałtowny wzrost bezrobocia, zamieszki na tle rasowym i wzrost przestępczości.

W takich warunkach grupa zaprzyjaźnionych nastolatków, na czele z Juanem Atkinsem, zafascynowanych książkami Alvina Tofflera, zwłaszcza „Trzecią falą" i „Szokiem przyszłości", a także europejską muzyką elektroniczną i chicagowskim housem, zaczyna eksperymentować z brzmieniami syntezatorów i automatów perkusyjnych. Tworzona przez nich muzyka miała być bramą do lepszej przyszłości. Jej przedsmakiem stały się organizowane w magazynach, halach i piwnicach imprezy – wpisujące się w alternatywną kulturę *rave*. Zatracenie się



MATIAS BAGLIETTO / REUTERS / FORUM

DJ Padre Guilherme na koncercie muzyki elektronicznej w hołdzie papieżowi Franciszkowi na Plaza de Mayo w Buenos Aires. Argentyna, 18 kwietnia 2026 r.

w energicznym tańcu, gdzie wszyscy są równi, tolerancyjni i otwarci na inność, było momentem ulgi w szarej, niepewnej i brutalnej rzeczywistości.

To brzmi paradoksalnie, że techno, zrodzone z kryzysu wywołanego m.in. zastępowaniem człowieka (robotnika) maszynami, było optymistycznym spojrzeniem w przyszłość, w której kryzys zostanie zażegnany przez kolejny przewrót technologiczny, a ludzkość doświadczy dobrobytu, równości i pokoju.

To jedna strona opowieści. Druga jest bardziej mroczna. Doświadczenie niesamowitości tych nocnych imprez było wzmagane przez narkotyki, na czele z popularnym wówczas MDMA. Z tego powodu rave'y zostały uznane za wydarzenia szczególnie niebezpieczne i w końcu – nielegalne.

METAMODERNIZM | Kultura techno nigdy jednak nie była monolitem. Jej początki można by uznać za powidoki myślenia modernistycznego – z wiarą w lepszą przyszłość, opartą na rozwoju techniki i potędze ludzkiego ducha. Ale następnym pokoleniom jej sympatyków została już tylko postmodernistyczna ironia i dekonstrukcja wszelkich wartości. Dobra zabawa bez zobowiązań i głębszych założeń. Padre Guilherme wkracza w taką właśnie rzeczywistość. Jego postawę można by nazwać metamodernistyczną: ponad pierwotnym, naiwnym i butnym optymizmem, ale i bez późniejszego cynizmu czy nihilizmu. Bez udawania, że techno jest chrześcijańskie, ale i bez przekreślania go jako muzyki niezdolnej do przekazywania wartości.

W duchu tzw. postironii i nowej szczerości (*New Sincerity*) portugalski duchowny czerpie z tego, co łączyło pierwotną kulturę techno z chrześcijaństwem: doświadczenia wspólnoty podczas bezinteresownej celebracji chwili, równości bez względu na pochodzenie, poglądy czy status majątkowy. Wspólnoty, która przez sam fakt swojego istnienia (nawet tak ulotnego, jak na tanecznej imprezie) przypomina, że pokój, jedność i harmonia są możliwe. Te wartości Padre Guilherme docenia i eksponuje w swoich muzycznych brikolażach, jednocześnie szczerze przedstawiając uczestnikom koncertów własną interpretację ich źródeł: Trójcy Świętej, Ewangelii i przekazywanego przez Kościół orędzia pokoju i miłości. Nie ma w tym ani modernistycznego narzucania „jedynej słusznej" narracji, ani postmodernistycznego relatywizmu. Jest prosta wiara, szczerość i solidne rzemiosło artystyczne. Które trafiają do wielu młodych, zmęczonych wszechobecną ironią, relatywizmem i pouczeniami pseudoekspertów.

KRYTYKA | Działalność Padre Guilherme często bywa krytykowana w oparciu o wypowiedzi na temat kultury masowej takich autorytetów jak Theodor Adorno czy Joseph Ratzinger. Dziwić może zwłaszcza skala uproszczeń u tego drugiego. Przyszły papież uważał muzykę popularną za niezdatną do wyrażenia choćby najmniejszego odprysku boskiego Logosu, a w „Duchu liturgii" nazywa ją wprost „kultem banału". W przeciwieństwie do Adorna, który zmarł w 1969 r., gdy muzyka popularna dopiero się krystalizowała, Ratzinger pisał o niej dekady później, gdy ten rodzaj popkultury rozwinął się już w niezwykle różnorodne uniwersum. Warto jednak pamiętać, że o ile w oficjalnym nauczaniu Kościoła znajdziemy jasny wykład na temat muzyki liturgicznej, to zdania teologów, zwykle krytyczne wobec muzyki popularnej, są jedynie odbiciem ich intuicji i własnych, lepiej lub gorzej uargumentowanych przekonań.

EWANGELIZACJA | Otwarte pozostaje natomiast pytanie, na ile działalność Padre Guilherme jest ewangelizacyjnie „skuteczna". Czy religijna treść w ogóle dociera do odbiorców tej całkiem niereligijnej formy.

Tę skuteczność można oczywiście liczyć liczbą osób, które po koncercie portugalskiego księdza-didżeja nawróciły się, poszły do spowiedzi czy zaczęły czytać Pismo Święte. Choć przecież spotkania człowieka z Bogiem nie da się nigdy w pełni przełożyć na statystyki. Nie wydaje się też, by celem ks. Guilherme Peixoto było narzucenie nowego modelu ewangelizacji. To raczej realizacja własnego „powołania w powołaniu", mówiąc językiem św. Pawła. Portugalski didżej sieje Dobrą Nowinę na swój własny, specyficzny, ale – wbrew pozorom – bardzo pokorny sposób. A co z tak zasianego ziarna wyrośnie, leży już w kompetencjach Pana Boga. ©

POŻEGNANIE

Wyrazy głębokiego współczucia dla

Jacka Wakara

z powodu śmierci

Taty

składają

KOLEŻANKI I KOLEDZY Z POLSKIEJ AGENCJI PRASOWEJ

ZUZANNA

Radzik:
Wieczny odpoczynek, Gloria



Gloria Steinem była posągową blondynką. W tym typie, który przyciąga wzrok wszystkich. Gęste włosy z przedziałkiem, kultowe wielkie okulary, piękna do ostatnich dni swojego 92-letniego życia. Tylko czy to powód, by duży liberalny dziennik, informując o jej śmierci w krótkim tekście, pisał, że inne feministki uważały ją za uprzywilejowaną, bo była ładna i biała? Łatwiej jej było rzekomo znaleźć posłuch w mainstreamie, co zresztą wcale nie jest prawdą, bo nawet uroda nie pomagała feministkom. Sztandarowa historia „bycia króliczkiem Playboya" (jedyny tekst Steinem wymieniony w tym gazetowym wspomnieniu to słynna wcieleniówka) i zrobione wtedy zdjęcie ciągnie się potem za nią latami, podważając powagę tego, co robi. Bo właśnie za ładna. Sama sprawę komentowała anegdotą: „Gdy reporter zadał mi pytanie, jakoby mój wygląd był ważniejszy niż wszystko, co mam do powiedzenia, z publiczności odezwała się starsza kobieta: »Nie przejmuj się, skarbie. To ważne, by ktoś, kto mógłby grać w tę grę i wygrać, powiedział: ta gra jest gówno warta«".

Po skończeniu college'u i po dwuletniej podróży do Indii, gdzie poznaje mnóstwo aktywistów i działaczek oraz ich metody walki bez przemocy, została nowojorską dziennikarką. Traktowana jest jak reporterka od mniej poważnych spraw i dziewczyńskich tematów, choć interesuje ją polityka. Ciężko jej wynająć mieszkanie, bo właściciele obawiają się, że singielka będzie niewypłacalna. W 1969 r. dla magazynu „New York" relacjonuje spotkanie, w którym w podziemiach kościoła kobiety opowiadały o swoich, wciąż wtedy nielegalnych aborcjach. Wspomina je potem jako początek własnego feminizmu. Z kolei założenie w 1971 r. magazynu „Ms." wraz z afroamerykańską aktywistką Dorothy Pitman Hughes było przełomem i dla niej, i dla feministycznego ruchu.

Od tej pory jej „życie w drodze" nabiera jeszcze większego tempa. Organizowanie kobiet, wykłady, które często robią w parze z Hughes, zbieranie pieniędzy, wspieranie kandydatów w wyborach, promocje książek i magazynu. Droga, przygoda, aktywizm, kobiece przyjaźnie i tak właściwie do końca. Powiedzieć o Steinem, że była uprzywilejowana, to nic o niej nie wiedzieć. Miała trudne dzieciństwo, ale też wrażliwość, hart ducha, nosa do ważnych spraw i cięte pióro. Urodziła się w środku wielkiego kryzysu w 1934 r. jako druga córka Ruth i Leo, w Toldeo (Ohio). Rodzina nie spędzała tam wiele czasu, bo jej ojciec prowadził wagabundzkie życie wędrownego handlarza antykami. Pakował rodzinę w samochód, czasem tak nagle, że zostawiali naczynia nieumyte po kolacji i ruszali w drogę. Rodzice rozwiedli się, gdy miała 10 lat, a ona została z chorą psychicznie matką, właściwie bardziej jako opiekunka niż córka.

Zamiast czuć gorycz, wychodzi z tego doświadczenia z krytycznym oglądem tego, co robi kobietom odbieranie im ich aspiracji zawodowych i zniszczenie wtłoczeniem w rodzinne życie. Napisze o tym i o swojej relacji z matką piękny, pełen wrażliwości i zrozumienia esej „Ruth's song (because she could not sing it)". Pod jej piórem jest to opowieść zarówno intymna, jak polityczna.

To zresztą osobny temat, jak ona umiała pisać o innych kobietach. Jak umiała je widzieć! Gdy jako dziennikarka towarzyszyła kampanii Nixona w 1968 r., ale do wywiadu dano jej tylko jego żonę, zrobiła z rozmowy z Patricią Nixon majstersztyk słuchania i rozumienia tak różnej od siebie kobiety. W innym tekście życie Lindy Lovelace, aktorki pornograficznego filmu „Głębokie gardło", która uciekła od przemocowego męża-alfonsa i do końca życia walczyła o zablokowanie dystrybucji taśmy, staje się historią o bohaterstwie i walce o siebie. Albo esej o Alice Walker, napisany w 1982 r., w którym zapowiada (jakże proroczo), że nowa wtedy książka „Kolor purpury" może być tą wielką amerykańską powieścią, której wszyscy potrzebują.

Słuchałam tych esejów czytanych przez samą Glorię Steinem i może dzięki temu słuchaniu jej głosu, jak i pisanym po latach komentarzom i refleksjom do tych tekstów, dziś wydaje mi się tak bliska. Wyciągam jej wykłady, podkasty, wystąpienia. Odsłuchuję je, odprawiając własny żałobny rytuał i czekając na wspomnienia „An unexpected life", które mają wyjść pod koniec września. Zdążyła je nagrać, więc czeka mnie jeszcze wiele godzin z jej głosem i opowieścią.

Alice Walker i Wilma Mankiller, o których Gloria pisze z wdzięcznością i czułością, to nie tylko ikony amerykańskiego feminizmu i aktywizmu, ale też jej wieloletnie przyjaciółki. Każda przychodziła z innego świata: Mankiller była pierwszą kobietą Głównym Wodzem Narodu Czirokezów, walczącą o jego suwerenność; pisarka i aktywistka Walker ukuła termin „womanizm", żeby rozszerzyć perspektywę feminizmu o kwestie rasowe. Steinem wspomina o ich wspólnej walce, spotkaniach, czuwaniu przy śmierci Wilmy, ale też wspólnych wakacjach w Meksyku. Wakacjach? Te zarobione aktywistki, właśnie te trzy, jeździły razem na wakacje!

Wieczny odpoczynek, Gloria, najlepiej w takim właśnie, dobrym, kobiecym towarzystwie, w jakim przeżyłaś życie. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca:
AI i rachunek sumienia



„Zawiść i złość to ohydne uczucia, zawładną one grzesznikiem (...) Przebacz zło twemu bliźniemu, a wtedy gdy będziesz prosił, Bóg tobie przebaczy” – z Mądrości Syracha. Ciężko się słucha takich pouczeń, ale tego ciężaru łatwo się pozbyć. Wystarczy te słowa – zamiast do siebie – odnieść do innych. Tę sprytną sztuczkę my, chrześcijanie, a w szczególności katolicy, doskonale znamy. Jeśli zgrzeszę, to się wyspowiadam, otrzymam łaskę uświęcającą i będę mógł przystępować do świętej Komunii. A jak znowu zgrzeszę, to pójdę do spowiedzi, i tak w kółko aż do znudzenia i porzucenia tej nabożnej praktyki. Natomiast bardziej zorientowani w katechizmowej teologii spowiedź traktują jako przeprosiny z Panem Bogiem. A przecież od Chrystusa wiemy, że Bóg nie potrzebuje naszych przeprosin, gdyż to nie On ma zmienić swoje nastawienie do nas, ale my do Niego. To nie Bóg zagniewał się na nas, ale my na Boga. Jak więc uniknąć lub wymknąć się z tej pułapki?

Dość łatwo. Wystarczy poszperać w Biblii i znaleźć choćby takie trzy zdania: Jezus mówi do uczniów: „Gdzie dwaj lub trzej zbierają się w moje imię, jestem pośród nich. Wtedy podszedł Piotr i zapytał: Panie, ile razy mam przebaczyć bratu, jeśli wobec mnie zawini? Czy aż siedem razy?”. Jeśli dzisiaj nas również trapi podobne pytanie, co już samo w sobie dobrze o nas świadczy, odpowiedź dana Piotrowi pomoże nam uporać się z naszym dylematem.

A jeśli poszperamy jeszcze w literaturze teologicznej, znajdziemy tam choćby coś takiego, jak ignacjański rachunek sumienia. Jak podpowiada AI, jest to „trwająca około 15 minut codzienna modlitwa, opracowana przez św. Ignacego Loyolę, która służy do rozeznawania obecności Boga w codziennym życiu i nauki uważności duchowej. W przeciwieństwie do tradycyjnego rachunku sumienia, nie skupia się wyłącznie na szukaniu grzechów przed spowiedzią, ale polega na »rachowaniu« Bożej dobroci i miłości”. Dzięki takiemu podejściu, przestaje się szukać Boga, a zaczyna się Bogu towarzyszyć i współpracować. Co Anioł Ślązak tak ujmuje: „O Panie, to za mało, że niby aniołowie / W doskonałości bogów służą ci radośnie: / To stan dla mego ducha za ciasny i za wąski: / Kto służy ci, niech będzie więcej niźli boski” (przekład Andrzej Lam). W praktyce dnia codziennego: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj!”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Nowe – stare



„Nikt nie przyszywa do starego ubrania jako łaty tego, co oderwie od nowego (...) Nikt też młodego wina nie wlewa do starych bukłaków; w przeciwnym razie młode wino rozerwie bukłaki. Młode wino należy wlewać do nowych bukłaków. [A tak jedno i drugie się zachowuje.] Kto się napił starego, nie chce potem młodego – mówi bowiem: Stare jest lepsze” (zob. Łk 5, 33-39). Wszyscy trzej Synoptycy zapisali tę wypowiedź Jezusa o „nowości” i „starości” w naszym życiu. Ale tylko Łukasz zapisał to ostatnie zdanie: „Stare jest lepsze”. Przyznajmy: jest w nas ten sentyment. Dobrze to już było! Stare filmy – np. westerny – można do dziś oglądać... Albo dawna muzyka i stare piosenki...

Jezus jednak mówi o czymś kompletnie innym – mówi o „starości” lub „nowości” człowieka, całkowitej nowości, jaka się wydarza w człowieku wraz ze spotkaniem Pana. Powyższa wypowiedź nie ma na celu sformułowania teoretycznych zasad. Jest komentarzem do konkretnego wydarzenia, jakie się dokonało w życiu konkretnego człowieka – Lewiego (Mateusza). Przed chwilą go powołał z komory celnej w Kafarnaum. I ten „zostawił wszystko” (co miał, kim był) – wybrał więc całkowitą nowość życia. Teraz są razem na uczcie, na którą Lewi zaprosił. Tę ucztę Jezus nazywa ucztą weselną – siebie samego wskazując jako Pana Młodego. To, co wydarzyło się w życiu Lewiego, przyrównuje więc do małżeństwa – to znaczy wejścia w taką relację, która w życiu zmienia wszystko. Ten sam człowiek przez małżeństwo staje się kimś nowym. Innego wymiaru nabierają też wszystkie rzeczy, którymi dotąd żył czy które posiada...

Pytanie, z jakim ta Ewangelia przychodzi do nas, brzmi: czy stać nas na takie decyzje w życiu, które oznaczają dla nas kompletną nowość? Czy pozwalamy Panu Bogu, aby nas przed takimi decyzjami stawiał? Nie chodzi o to, że przyzwyczailiśmy się do dawnych (zabytkowych) rzeczy; chodzi o to, że przyzwyczajamy się do „starych siebie” – bardzo nam trudno rezygnować ze starych nawyków, utartych ścieżek życia. Oswoiliśmy się ze swoim zadawnionym ja. Nie ma w nas męstwa na zmianę – zwłaszcza kompletną. Kawałek nowej łaty – jeszcze OK. Ale całe nowe ubranie?! A tymczasem prawdziwe spotkanie z Jezusem czyni nas całkowicie nowymi! Nie pytajmy więc, czy lubimy stare rzeczy, lecz pytajmy, czy nam dobrze ze „starym sobą”. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



Obraz Wojciecha Weissa „Demon" z 1904 r. to – według krytyków – zakamuflowany portret Stanisława Przybyszewskiego, mający oddawać także atmosferę obyczajowości galicyjskiej bohemy.

KRAKOWIAKI I TRÓJKĄTY

Przybywał opromieniony sławą „genialnego Polaka". Uciekał skompromitowany i zadłużony po uszy. Stanisław Przybyszewski w młodopolskim Krakowie wytrzymał niecałe dwa lata.

ZOFIA JURCZAK

Prasa nie odnotowała jego powrotu na polską ziemię. Nie czekały go tłumy. Rano 10 września 1898 r. na peronie w Krakowie witała go tylko grupka aspirantów literatury. Wpatrzeni w niego jak w proroka, siebie nazywali „dziećmi szatana".

Dwa lata wcześniej do Stacha Przybyszewskiego, żyjącego wtedy w Berlinie, zaczęły przychodzić listy „rozkoszne swoim rozmachem, nieokiełznane, nieskładne, na ciężki ból zębów chorujące", wzywające go „do powrotu na ojczyzny łono". Nadawcą był Adolf Nowaczyński, który wspólnie z Maciejem Szuszkiewiczem i resztą członków ich krakowskiego kółka literackiego ofiarował mu buławę hetmana awangardy Młodej Polski.

„To była raczej sekta niż skupienie literackie" – wspominał Tadeusz Boy-Żeleński wówczas student medycyny. Kółkowicze za dnia zgłębiali poważne kierunki na UJ, by po godzinach oddawać się temu, co grało w ich duszach: literaturze i pijaństwu. Często naraz. Przy wiśniówce i parówkach krytykowali swoje pisarskie wprawki i referowali lektury.



MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



DOMENA PUBLICZNA

Od lewej: Stanisław Przybyszewski, ok. 1900 r.
Dagny Przybyszewska z synem Zenonem, 1899 r.

Tak trafili na wzmiankę o Przybyszewskim – „genialnym Polaku", który tworzy po niemiecku. Ich nieporadne przekłady utworów Stacha zdominowały dyskusje. Były jak przeciąg. Nikt w Polsce tak nie pisał. W końcu Nowaczyński, namaszczony przez kółko, chwycił za pióro i zaprosił idola.

Stachowi list spadł z nieba. W Berlinie – dokąd przybył na studia, ale wybrał bohemę, by wodzić w niej rej – nikt za nim nie tęsknił. Jego otoczenie straciło do niego resztki sympatii, rozczarowane kłamstwami, dezynwolturą i życiem na cudzy koszt. *Der geniale Pole* stał się *persona non grata*. W Krakowie mógł zacząć z czystą kartą.

SKÓRA CIELAKA | 10 września 1898 r. przybycie 30-letniego Stacha świętowano przez resztę dnia: od knajpy do knajpy, na koniec w letnim teatrze na „Królowej przedmieścia", zabawnym wodewilu o rezolutnej Mani ze Zwierzyńca i jej zalotnikach.

Przybyszewski na „Królowej" ryczał jak bóbr. Zachwycony sztuką Konstantego Krumłowskiego wyznał, że August Strindberg „nie godzien [Krumłowskiemu] rzemyków u trzewików rozwiązywać". Wtedy jeden z kompanów wypalił, że on byłby szczęśliwy jako cielak, z którego skóry wyprawiono by buty dla Stacha.

Cielakiem okazał się Zdzisław Gabryelski, właściciel największego w mieście składu fortepianów, dokąd zaprosił na dogrywkę imprezy i zadbał, by w kieliszkach nie pokazywało się dno.

Stach na fortepiany rzucił się jak wygłodniałe zwierzę. Chopina w dzieciństwie zaszczepiła mu matka. Marzyła, by został muzykiem lub choćby księdzem. Syn miał inny pomysł na siebie, ale z Chopina nie wyleczył się nigdy. Grał namiętnie, nie przeszkadzały mu ani krótkie ręce, ani serdelkowate paluchy, ani rausz. Nad ranem Gabryelski na klęczkach ofiarował mu Steinwaya. Po wytrzeźwieniu zmitygował się i zamienił go na tańszy model.

STACH I DAGNY | Fortepian był pierwszym sprzętem w mieszkaniu państwa Przybyszewskich. Resztę urządzono czym popadnie, bo ze Stachem, prócz kufra z książkami i sztuką, nie przyjechało nic. To, co posiadał w Berlinie, spieniężono na pokrycie długów. Stół, krzesła, łóżko i inne sprzęty zorganizowali mu więc kółkowicze. Firanki („na trzy okna") Stach pożyczył od dyrektorowej Teatru Miejskiego. Na ścianach powiesił obrazy Muncha i reprodukcje Goyi, na półkach stanęły rzeźby Vigelanda.

Kilka tygodni później do Stacha dołączyła 31-letnia żona Dagny, norweska pisarka, wraz z ich dwuletnią córką Ivi i czteroletnim Zenonem. Lokum, przestronne i wygodne, było luksusem, jakiego rodzina wcześniej nie zaznała. W Berlinie tułali się po wilgotnych norach, a Dagny jesienią zastawiała letnie suknie, by wykupić je na wiosnę.

Stach zarzekał się, że w Krakowie będzie „szczęśliwa bez granic". Obietnica okazała się bez pokrycia. On, upojony nimbem powrotu, kwitł. Ona więdła w samotności, widywano ją smutną i bladą. Nie pomagała bariera językowa: nie znała polskiego, nauka szła jej z trudem. Znudzona niezrozumiałymi dysputami w salonie, kładła się na paltach gości i zasypiała.

NA CZELE „ŻYCIA" | Hołdy słane z Krakowa schlebiały Stachowi, ale nie były jedynym powodem jego przyjazdu. Przynętę rzucił też tygodnik „Życie", oferując mu posadę naczelnego. Pismo to, sprzyjające młodej sztuce, nie miało lekko w konserwatywnym mieście. Kolejni właściciele przerzucali się nim jak ziemniakiem z ogniska. Przybyszewski miał być remedium na dziurawy budżet. Zdawał się niezłym kandydatem, przynajmniej z pozoru: w Berlinie kierował „Gazetą Robotniczą" i potrafił zabiegać o pieniądze.

W pierwszych miesiącach redaktorzenia Przybyszewskiemu nie brakowało entuzjazmu. Usunął z „Życia" wszystko, co praktyczne, czyniąc zeń elegancki magazyn tylko o sztuce. Kierownictwo artystyczne powierzył Wyspiańskiemu. Publikował reprodukcje dzieł sztuki, teksty krajowe, przekłady. Oraz siebie. W styczniu 1899 r. ogłosił esej „Confiteor" (manifest polskiego modernizmu), na łamy trafiały też jego starsze utwory, tłumaczone z niemieckiego.

Choć każdy numer był wydarzeniem, jego nazwisko nie ściągnęło czytelników. Zaczął więc szukać sponsorów. Zagiął parol na początkującą poetkę Marylę Wolską, opublikował ją, by później naprzykrzać się o datek. Umiał brać pod włos: „Niechże więc łaskawa pani teraz dopomoże, jeżeli to jest jej możliwym. Spełni pani tym samym czyn nie tylko obywatelski, ale i czyn godny prawdziwego artysty. Bo dawać pieniądze na »Życie« nie mając najmniejszej poręki, czy »Życie« się utrzyma – to umie tylko artysta". W tym apelu było coś proroczego.

CHRZCINY | Stach mógł fascynować się satanizmem i kpić z mieszczańskich cnót, ale w głębi duszy był tradycjonalistą. Córkę Ivi trzeba było ochrzcić. Marzyły mu się chrzciny chłopsko-kujawskie, ↦

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Zaproszenie na odczyt Stanisława Przybyszewskiego połączony z przedstawieniem Maurycego Maeterlincka „Wnętrze", z ilustracjami Stanisława Wyspiańskiego, 1899 r.

↦ jakich Kraków nie widział. Z tańcem, śpiewami, popijawą i suto zastawionym stołem. W dodatku po raz pierwszy w życiu miał warunki lokalowe, by godnie podjąć gości. Nie miał tylko na to pieniędzy. Ale snu z powiek mu to nie spędzało. Z nonszalancją naspraszał gości, zakładając, że „jakoś to będzie". I było.

Józefat Nowiński do krezusów się nie zaliczał, ale akurat miał czym szastać: jego sztuka „Biała gołąbka" wygrała konkurs dramatyczny i laureat wybierał się do Wiednia, by wydać tam pieniądze z nagrody. Zatrzymał się w Krakowie, gdzie opowiadał o swym szczęściu każdemu, kto chciał słuchać. Jak Stasinek Sierosławski, akolita Przybyszewskiego. Ten wziął Józefata na stronę i urobił. Warszawiak nie zobaczył więcej zawartości pugilaresu, do Wiednia nie dotarł. Przybyszewski nawet kurtuazyjnie nie skomplementował jego „Gołąbki".

Ale chrzciny były. Stasinek jako majordomus wspiął się na wyżyny. Gości nakarmiono, kieliszki były pełne. Były hulanki i ciągnący się do rana pojedynek na improwizowane krakowiaki. Wyprawione za józefatowe pieniądze chrzciny udały się tak, jak wymarzył sobie Stach. Były też łabędzim śpiewem szczęścia rodzinnego Przybyszewskich.

STACH I JAN | Pół roku wcześniej Stach spotkał kolegę z dzieciństwa: Jana Kasprowicza. Ojciec Stacha był jednym z dobrych duchów, dzięki którym przyszły poeta mógł się uczyć. Wdzięczny Janek odwiedzał rodzinę dobrodzieja w Łojewie koło Inowrocławia. Nie miał daleko: z Szymborza, gdzie mieszkał z rodzicami i trzynastką rodzeństwa, to była godzina spacerem. Stach, wpatrzony w starszego Jana jak w tęczę, grał mu Chopina.

Potem stracili się z oczu na długo, by odnaleźć się z pomocą Mickiewicza. W grudniu 1898 r. odsłaniano jego pomnik w Warszawie i Kasprowicz miał reprezentować na uroczystości lwowskich literatów. Po drodze zahaczył o Kraków. Wcześniej odnowili kontakt listowny, nie szczędząc sobie słodkich słów. „Po raz pierwszy w mym życiu odczuwam głęboką rozkosz, że mogę się ukorzyć i całować ręce. Jakiś ty wielki i piękny" – pisał Stach. Na co Jan: „[u]pokarzasz mnie swym listem, wszystko, co wychodzi spod mego pióra, wydaje mi się tak lichym, że słowa twoje formalnie mnie zawstydziły. Czym ja jestem wobec ciebie?".

Gdy się spotkali, czułościom nie było końca. Dwaj zagubieni synowie Kujaw, odnalezieni po latach. Z radości się upili, a potem wymienili kamizelki. Kasprowicz chciał też zamienić się portfelami, jednak mu to wyperswadowano. Ocalił fundusze na wyjazd, ale co z tego. Stach wkrótce pozbawi go czegoś znacznie cenniejszego.

ISTOTA ASTRALNA | „Czy nie zawitasz kiedy do Lwowa? Dla mnie byłaby to rozkosz prawdziwa" – zapraszał Kasprowicz. Okazja nadarzyła się w czerwcu 1899 r. Pretekstu znów dostarczył Mickiewicz. Lwowiacy też chcieli postawić mu pomnik, ruszyła kwesta. Stacha poproszono, by akonto zbiórki wygłosił odczyt. Tysiąc osób przyszło słuchać, co ma do powiedzenia o Chopinie.

Nie tylko Jan czekał na jego przyjazd do Lwowa. „Masz gorącą wielbicielkę w mojej żonie" – pisał. Jadwigę, pannę z urzędniczej rodziny, z ambicjami intelektualnymi, poślubił sześć lat wcześniej. Imponowało jej, że zabiega o nią znany literat. Urodziła mu dwie córki, ale codzienność z szorstkim w obyciu mężem, który gonił w piętkę, by utrzymać rodzinę, nie była tym, na co Jadwiga się pisała. Chciała być muzą poety, została znużoną panią domu.

Dla Jadwigi, młodopolskiej Emmy Bovary, los miał jednak inny plan. Przeczytała „Homo sapiens" Stacha. „Pozostaję zupełnie pod wpływem autora, który jest dla mnie istotą astralną. Ale gdybym poznała go osobiście, zagarnąłby niepodzielnie moje serce..." – zapowiedziała. Słowo stało się ciałem.

W TRÓJKĄCIE | Zresztą nie tylko Ina – jak oszalały na jej punkcie Stach ochrzcił sobie Jadwigę – wyczekiwała go we Lwowie. Na odczycie stawiła się też malarka Aniela Pająkówna, która dzięki protektoratowi rodziny Pawlikowskich mogła sobie pozwolić na luksus samodzielnego życia bez biedy i niedojadania.

Trudno rozsądzić, co w Anieli (nazywanej potem „Najdroższym Nelutkiem") bardziej ujęło Stacha: jej biust („tak często majaczą mi się i śnią Twe piękne piersi"), czy pieniądze, które chętnie mu podsuwała, nie oczekując zwrotu. A może chodziło o ślepą lojalność Pająkówny?

W każdym razie, po burzliwych schadzkach z Iną/Jadwigą („Ta zła i przewrotna kobieta myśli tylko o sobie i swej małej ambicji, na śmierć mnie zamęcza. Przysyła mi przerażające listy, grozi samobójstwem” – skarżył się potem), Aniela/Nelutek była jak kraina łagodności. Szczodra i oddana. To jej podrzuci córkę, gdy Dagny wyjedzie potem z Krakowa.

W październiku 1901 r. Aniela urodzi dziewczynkę: Stanisławę Przybyszewską, przyszłą pisarkę. Ojciec da jej nazwisko i niewiele ponad to.

DE PROFUNDIS | Ostatnie miesiące Stacha w Krakowie to lawirowanie: między rodziną, kochankami i wierzycielami, Lwowem i Zakopanem, kłamstwami i amorami. Nawet dla niego to było za wiele.

Życie absorbowało go tak dalece, że na „Życie” nie miał już czasu. Na początku 1900 r. złożył pismu pocałunek śmierci, przedrukowując swój poemat „De profundis”. Ta opowieść o kazirodczej relacji już wcześniej budziła niepokój; zarzucano, że to pornografia. Stach zarzuty odpierał, ale po cichu przyznawał krytykom rację. Jednak puścił tekst w styczniowym numerze. Cenzura go skonfiskowała. Nie pierwszy raz w historii pisma, ale teraz ostatni. Nie było chętnych, by „Życie” reanimować.

Stach nie rozpaczał, miał inne problemy. Na przykład żonę, z którą coraz mniej go łączyło. Dagny o jego zdradach dowiedziała się szybko, choć po chrzcinach Ivi wyjechała z dziećmi do Zakopanego. Stach wpadał tam do niej i znikał.

Tymczasem grono chętnych do kredytowania jego życia kurczyło się. Wierzyciele deptali mu po piętach. Od katastrofy ratował go Nelutek i spieniężane resztki krakowskiego majątku. Dagny się nie wtrącała. Tylko w liście prosiła, by nie pozbywał się kompletu zielonych mebli. Sofę, na której drzemała w czasie jego popijaw, mógł sprzedać.

Status quo załamało się, gdy w styczniu 1900 r. wróciła z Zakopanego. Co wydarzyło się za zamkniętymi drzwiami, nie wiadomo. Dagny wyjechała, bez dzieci. W mieszkaniu została wybita szyba, miasto huczało od plotek. Stach w Krakowie był skończony. Zrobił więc to, co miał przećwiczone: uciekł. Do Warszawy, gdzie mógł zacząć nowy etap.

Ale to już osobna historia.

© ZOFIA JURCZAK

POŻEGNANIE

29 sierpnia 2026 roku, w 99 roku ziemskiej wędrówki,
Pan powołał do siebie

Ś.†P.

Andrzeja Wielowieyskiego

Kawalera Orderu Orła Białego, Wybitnego społecznika,
działacza opozycji demokratycznej i polityka, Nestora polskiej demokracji, Żołnierza Armii Krajowej.

Wybitnego przedstawiciela polskiej inteligencji katolickiej;
Współtwórcę etosu i kierunku działania warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej,
wieloletniego Wiceprezesa i Sekretarza,
a następnie Członka Honorowego KIK-u;
Członka Kapituły Nagrody „Pontifici – Budowniczemu Mostów”;
Założyciela i współtwórcę Klubu Żeglarskiego „Santa Maria”;
Redaktora miesięcznika „Więź” i autora książek;
Mądrego interpretatora wartości chrześcijańskich.

Członka grupy ekspertów w Stoczni Gdańskiej podczas Sierpnia' 80,
a następnie kierownika Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych KK NSZZ „S”, doradcę podziemnej Solidarności w latach 1982-1989 i współtwórcę Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie;
Członka Prymasowskiej Rady Społecznej;
Uczestnika obrad Okrągłego Stołu.

Wicemarszałka Senatu I kadencji, senatora I i V kadencji,
posła I, II i III kadencji, europosła; Wieloletniego przewodniczącego polskiej delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy;
Niestrudzonego orędownika demokratycznej Polski w zjednoczonej Europie.

Żegnamy naszego Przyjaciela, nasz wielki Autorytet;
Człowieka głębokiej wiary, mądrego dialogu, zdecydowanej myśli i szerokich horyzontów,
Człowieka odważnego, skromnego i niezwykle pogodnego;
Demokratę, Patriotę i Europejczyka.

Nade wszystko oddanego Męża, Ojca, Dziadka i Pradziadka.

Łączymy się w żałobie z Rodziną i Najbliższymi

ZARZĄD I PRZYJACIELE Z KLUBU INTELIGENCJI KATOLICKIEJ W WARSZAWIE

ELIZA

Kącka:
Wziąć się za siebie



Tramwaj 16, jazda na Mokotów. Na wysokości Hożej znajduję w końcu miejsce. Jadę z potężnym i niełatwym w obsłudze bukietem, rozpłożonym na boki i ostro celującym w niebo. Pleni się w każdą stronę, atakuje uwagę na czerwono, fioletowo i brąz. Mój ogródek promotorski, od studentki. Dumnie trzymam, balansując. „Ładną ma pani pałkę". Dwaj pod sześćdziesiątkę, nadwerężeni wizerunkowo, przetarci, wgapiają się w bukiet. „Kobiety nie mają pałek". „W bukiecie, debilu". „A". „No, trzcinę ma. W wiązance". „Widzę, ale co się jej czepiasz?". „Co ty, ja trzciny lubię. Za pałkę. Jako taką". „Kobieta się cieszy, ktoś ją kwiatami poratował, a ty trujesz". „Grzeczny jestem. Nie, pani?". Śmieję się. Pierwszy do drugiego, na przyciszonym: „Dziwna: ani się cieszy, ani daje w mordę". Do mnie, kordialnie: „Ja bym na piwo poszedł. Z pałką. Znaczy z panią. I pałką, koniecznie". Drugi: „A zapytałeś, czy pani w ogóle pije?". Pierwszy, refleksyjnie: „Fakt, nie wygląda. Pije pani? Do pałki?". „Do pałki – czemu nie". Pierwszy: „To powiem tak. Ja na widok kobiet mówię. Mam przymus". Drugi: „Niestety". „Ale spotkałbym się nad pałką. Tak trzeba". Ja: „Hm". „Niech pani nie hyma, proszę, ja się dawno tak dobrze nie zachowałem". „A, jasne". „Niech pani ze mną pójdzie na piwo. Pod ten bukiet".

Zielona Góra, świt. Hotel śpi, nie budzę windy, zbiegam i drepcę ku filharmonii. Świt w kolorze niebiesko-zielonym, z domieszkami nierozpierzchłej szarości. Myślę sobie, że okoliczne lasy i winnice ewaporują zieleń, oddają ją aurze miasta, a ono, póki nie rozchodzą, nie rozproszą tego ludzie, gołębie i samochody, trwa sobie w cienkościennej bańce zieloności. Wywijam sobie numer i zmieniam trasę. Idę w Niepodległości, ku fontannom, śpiącym najpewniej, bo zbyt wczesny ranek. Woda asystuje, podbija, gdy kłębią się dzieci, plotkują starsi, odpoczywają przechodnie. W porze egzotycznej kloszardów i fantastów woda drzemie w uchyłkach rur, w bocznej odnodze hydrauliki miejskiej. Siadam sobie, tuż obok drzemie gość z przetartym tu i tam plecakiem, ledwie trzymającym się w szwach. Rozczmuchał się raptem: „Ja tak tylko porządkowo, zbieram metal-plastik". „U, nie mam nic przy sobie". „Szkoda, bo jeszcze miałem miejsce. Inny towar?". „Nie mam". „Się tu wymieniamy". „Nie jestem stąd". „To co taka pora?". „Spacer". Spojrzał, jakbym mu zrujnowała kod towarzyski. „Spacery to od dziewiątej, no, zdarza się, że ósma". „Nie można wcześniej?" – uśmiecham się. Łypie: „Niby można, ale się ludzi w błąd wprowadza". „A". „Bo ja pytam, co dajesz, a ty nic nie dajesz, bo spacerujesz". „Jasne". „Ja pytam tak do siódmej, potem przeglądam, co ludzie wyrzucają". „Znaczy się, o tej porze teren jest wasz i pod interes". „Tak jest. Bilans plastiku, wymianka. Potem sobie można chodzić. Przed dziewiątą już nie pilnuję". „Miasto turystów start". Patrzy przenikliwie: „Turystów – albo nie. Ja pilnuję tych ulic do ósmej. Do ósmej, ja pytam. Rozumie? Potem mnie nie interesuje, co wylezie. To już nie moi ludzie". Cofam się z placu, wychodzę z zony zbieraczy. Idę ku ratuszowi. Aura zieloności blednie, jakby przemieścić się z ciemnych kleksów rzęsy w jeziorze na przezroczyste kąpielisko. Pierwsze wstają piekarnie. Woń chleba strąca wilgotną zieleń do studzienek i piwnic. Wróci, gdy miasto pójdzie spać. I znów wywabi poszukiwaczy butelkowego złota.

Gniezno. Krótka wizyta przesiadkowa, bo pociąg do Zielonej Góry za godzinę. Siadamy na ławce, tuż przy punkcie z zapiekankami, frytkami – obleganym. Na ławce przy nas dziadek z wnuczkiem. Na sąsiedniej rodzina zwiedzaczy. Ojciec: „Szybciej jedz te frytki, trzeba zrobić katedrę". Matka: „Daj mu spokój, nic nie jadł od rana". „Nie po to wykupiłem śniadania, żeby musiał jeść przed południem". „W domu nie je śniadań". „W domu nie zwiedza". Dziadek z naszej ławki: „Biedne dziecko". Ojciec: „Pan się nie miesza". „Ja się nie mieszam, ale niech pan im da te dziesięć minut". „Miesza się pan". „Troszeczkę. Ale jak będą głodne, to i tak nic nie zapamiętają". „A niech nie pamiętają". „Po co pan ich tam wlecze?". „Chcę zrobić katedrę". „Ależ i tak nic z tego nie zrozumieją". „To nie jest do rozumienia".

Dzwoni staruszka od ciśnienia. „Pani Elizo, jak tam pani żyje? Żyje w ogóle pani?". „Uhuhu, dwa pytania". „Drugie w moim stylu. Musiałam zadać po pierwszym". „Haha, pierwsze nie w pani stylu". „Owszem, ale wnuk mi ostatnio uświadomił, że jak się tego pierwszego nie nauczę, to nie będę miała koleżanek". „Haha". „W porę, rzekłabym, większość i tak nie żyje". „Uhm". „Ale mam wziąć się za siebie. Wnuk twierdzi, że jestem zbyt obcesowa. Jestem?". „Hehe, nie zauważyłam". „No tak. Wnuk mówi: »Tylko się pani Elizy nie pytaj, ona ci powie, że wszystko w porządku«". „Że niby taka miła jestem?". „Gdzie tam. Tyle pani ma wyczucia, co i ja". „Ulala". „Potrzebuję, jak widać, poznać kogoś, kogo razi moja bezpośredniość. Może dać ogłoszenie towarzyskie?". „Heh, czemu nie". „»Nie masz nikogo, kto by cię wysłuchał? Zadzwoń do staruszki. Nie przerwie, nie wyśmieje, nie ulegnie pokusie złośliwości«". „No, znakomicie". „Widać, że nic z tego nie będzie, co nie?". „Widać". „Pomogła mi pani, dziękuję. Za jakiś czas sprawdzę, czy jeszcze pani żyje". „Po swojemu". „Po swojemu". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

Plebiscyt Nike Czytelników

30 lat Nike
Nagroda Literacka



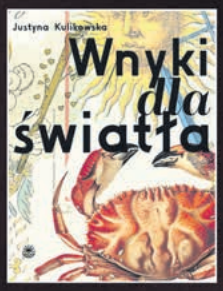










Na Wasze głosy i recenzje czekamy do 27 września

Do zdobycia nagroda pieniężna o wartości 10 000 zł.

Zagłosuj na: wyborcza.pl/plebiscytnike

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI

MECENASI: ORLEN, KRUK

PARTNER GŁÓWNY FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU: TOTALIZATOR SPORTOWY, LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

REKLAMA



PLANSZÓWKI W SPODKU

19–20 WRZEŚNIA 2026

ORGANIZATOR

LUDIVERSUM

WSPÓŁGOSPODARZ

KATOWICE dla odmiany

PLANSZÓWKI / PUZZLE / PROMOCJE I WYPRZEDAŻE / KONKURSY I QUIZY / TURNIEJE

KARTY KOLEKCJONERSKIE / SESJE RPG / STREFA RODZINNA / COSPLAYERZY / PRELEKCJE / NOWOŚCI I PROTOTYPY



NAUKA

Księgarnia sieci Zhongshuge, znanej z niezwykłych wnętrz, w Shenzhen w Chinach

YU LA / ADOBE STOCK

FILOZOFIA BEZ KOMPLEKSÓW

Refleksja filozoficzna jest dziś równie nieodzowna jak na każdym wcześniejszym etapie naszych dziejów. Bez niej pozostaniemy więźniami filozoficznych założeń, które w toku naszego rozwoju lub edukacji się do nas przykleiły.

JĘDRZEJ GRODNIEWICZ

Tak jak dotykanie nosa palcem u nogi, myślenie filozoficzne przychodzi dzieciom naturalnie. Jego najbardziej charakterystycznym objawem są strumienie pytań „a dlaczego?", „a co to znaczy?", „a skąd wiesz?". Wyczerpanemu takim ostrzałem dorosłemu, który zastanawia się, czy głowa jeszcze mu tylko ćmi, czy już zaczyna boleć, trudno jest w pełni docenić fakt, że to właśnie te trzy pytania stanowią ostateczny punkt odniesienia dla wszelkiej ludzkiej działalności i wiedzy.

Większość dorosłych filozofuje rzadziej i mniej odważnie. Pewnie nie raz widzie-

liście kogoś, kto na przykład w debacie telewizyjnej musiał przyznać, że problem, na temat którego toczy się dyskusja, jest w gruncie rzeczy „filozoficzny". Przed wypowiedzeniem słowa na „f" wiele osób robi w takich sytuacjach krótką pauzę, jakby musieli zebrać w sobie odwagę. Jedni kontynuują z przepraszającą miną, zwracając dłonie wnętrzem do góry. Właśnie zorientowali się, że wpadli w pułapkę, którą sami na siebie zastawili. Na twarzach innych pojawia się triumfalny półuśmiech. W swoim mniemaniu, obnażając problem jako filozoficzny, ostatecznie się z nim rozprawili. Niczym Judyta dzierżąca głowę Holofernesa, nie muszą już chyba niczego dodawać.

Na dłuższą metę obie postawy są równie niesatysfakcjonujące. Mimo bezprecedensowego rozwoju nauki oraz dominacji pragmatyzmu napędzanego logiką rynku, refleksja filozoficzna jest dziś równie nieodzowna jak na każdym wcześniejszym etapie naszych dziejów. Alternatywą dla świadomego i rzetelnego namysłu nad pytaniami filozoficznymi nie jest bowiem brak filozofii, lecz pozostawanie więźniem filozoficznych założeń, którym gdzieś w toku naszego rozwoju lub edukacji zdarzyło się do nas przykleić.

Stoicyzm na lotnisku

Nawet apologeci filozofii często bezwiednie ją trywializują. Najczęściej robią to, przekonując, że główna wartość filozofii leży we wpływie, jaki jej uprawianie wywiera na samą osobę filozofującą. W wersji estetyczno-hobbistycznej filozofia przedstawiana jest jako rozwijający sposób spędzania wolnego czasu. Wyznawcy takiej wizji często romantyzują utopijną perspektywę powrotu, w jakiejś odległej przyszłości, bez pracy i bez obowiązków, do rozpoczętej na fali nastoletniej ambicji lektury Platona czy Sartre'a. Pewnie nawet potrafiliby zlokalizować ich dzieła na swoich regałach, gdyby tylko kierowali się na grube grzbiety równie niedoczytanych „Ulissesa" i „Buddenbroków". Z tej perspektywy nie wiadomo jednak, czym właściwie pasja do filozofii miałaby różnić się od pasji do literatury, muzyki czy filmu.

W wersji rozwojowo-poradnikowej filozofia przedstawiana jest jako dyscyplina, która dała nam na przykład stoików. Jak przekonują książki dostępne dziś na każdym lotnisku, to właśnie stoicy pod płaszczykiem listów i rozmyślań jeszcze przed naszą erą szykowali dla nas „10 zasad budowania dobrego związku" i przynajmniej tyleż samo metod zarządzania firmą.

Nie znaczy to, że filozofia nie może stanowić satysfakcjonującego hobby, a konfrontacja z teoriami filozoficznymi nie może być dla nas rozwijająca. Jednak obraz filozofii skoncentrowany wyłącznie na tych aspektach jest redukcjonistyczny i niezbyt ambitny.

Podobnie jest zresztą z przedstawianiem filozofii wyłącznie jako dyscypliny, która uczy rygorystycznego myślenia, klarownego formułowania argumentów i konstruktywnego prowadzenia sporów. Z pewnością filozofia może uczyć wszystkich tych umiejętności. Wątpliwe jest jednak, czy filozofia jest w tym odosobniona. Trudno chyba wyobrazić sobie dobrze wykształconego prawnika, rzetelnego naukowca czy sprawnego analityka, który nie potrafiłby precyzyjnie rozumować, jasno uzasadniać swoich stanowisk i rzeczowo odnosić się do cudzych argumentów. Jeśli filozofia jako taka ma znaczenie, to nie wyłącznie dlatego, jakich uczy umiejętności, lecz przede wszystkim dlatego, z jakimi pytaniami pozwala nam się mierzyć.

Czego poszukuje filozofia

Wbrew pozorom do najważniejszych pytań filozoficznych nie należą pytania o to, co na dany temat uważał taki lub inny filozof. Kiedy wiele lat temu opowiadałem znajomym, że piszę pracę magisterską z filozofii, raz po raz pytano mnie: „A jakim filozofem się zajmujesz?". Do dziś mam w takich sytuacjach ochotę odpowiedzieć, że na szczęście żadnym. Większość filozofów, których znam, doskonale potrafi zająć się samymi sobą.

Nie sposób dokładnie ustalić źródła powszechnej inklinacji do utożsamiania filozofii z historią filozofii. Trudno jednak nie zauważyć, że taki sposób myślenia, stawiając nas samych wyłącznie w roli czytelników i egzegetów tego, co już wyfilozofowane, zdaje się zwalniać nas z obowiązku zadawania nowych pytań, a na stare udzielania nowych, możliwie lepszych odpowiedzi. Oczywiście znajomość historii filozofii pomaga nam lepiej uprawiać filozofię – zaczynając ciągle od nowa, stalibyśmy w miejscu. Jednak tym, czego poszukuje filozofia, nie jest wiedza historyczna.

Tym, czego poszukuje filozofia, nie jest też wiedza leksykograficzna. Wbrew kolejnemu powszechnemu stereotypowi, filozofowie w swoich badaniach nie zajmują się przede wszystkim znaczeniem słów takich jak „dobro", „sprawiedliwość" czy „wolna wola", ale dobrem, sprawiedliwością i wolną wolą. Analiza znaczeń językowych i sposobów użycia słów jest dla filozofii istotna o tyle, o ile może odsłonić prawdę na temat zjawisk, które tymi słowami nazywamy.

Jak zauważa filozof z Uniwersytetu Oksfordzkiego Timothy Williamson, ze słowami i pojęciami w filozofii jest tak jak z teleskopami w astronomii. Choć astronomowie muszą wiedzieć, jak działają teleskopy, ich głównym obszarem zainteresowań nie są same teleskopy, ale to, co można przez nie zobaczyć.

Kilka pytań w głąb

Jak więc rozpoznać pytanie filozoficzne? Ktoś, kto zabłądziłby w budynku jednego z wydziałów filozofii, przechadzając się niezbyt długim korytarzem, mógłby minąć pokoje osób zastanawiających się m.in. nad tym: „jak zdecydować w danej sytuacji, który czyn jest dobry?", „czy wiedza i rozumienie to to samo?", „czy Bóg istnieje?", „jaka jest relacja między umysłem a mózgiem?", „czy moralność jest obiektywna?", „co sprawia, że dany obiekt jest piękny?", „czy istnieją sądy, które nie są ani prawdziwe, ani fałszywe?", „czy percepcja polega na bezpośrednim kontakcie ze światem?", „czym jest przestrzeń?", „kiedy władza polityczna jest prawomocna?", „czy mamy wolną wolę?".

Nawet gdyby posegregować te pytania pomiędzy katedry etyki, metafizyki, epistemologii, filozofii nauki, filozofii politycznej czy logiki, niełatwo się w tym połapać. Na szczęście pytania filozoficzne możemy bez trudu rozpoznać, a nawet odkryć nowe, jeśli tylko przypomnimy sobie, o co pytają dzieci.

Jak zauważa Herman Cappelen, filozof z Uniwersytetu w Hongkongu, pytania „dlaczego?", „co to znaczy?" i „skąd to wiemy?" wystarczą, żeby od każdego tematu czy obserwacji dotrzeć do refleksji filozoficznej. Spróbujmy.

Zacznijmy od niewinnie wyglądającego stwierdzenia, że czas płynie, to znaczy, że niejako poruszamy się w nim od przeszłości do przyszłości. ↦

↦ Skąd to wiemy? Ponieważ pamiętamy przeszłość, a nie przyszłość i widzimy, że rzeczy się starzeją i rozpadają. Ale dlaczego sądzimy, że czas ma właśnie taki kierunek, skoro podstawowe prawa fizyki często działają równie dobrze „w obie strony"? Być może chodzi o wzrost entropii, czyli w uproszczeniu o to, że układy makroskopowe z czasem przechodzą od stanów mniej prawdopodobnych do bardziej prawdopodobnych. Ale dlaczego entropia ma wyjaśniać kierunek czasu, a nie tylko opisywać procesy, które zachodzą w jednym kierunku? Skąd wiemy, że „przepływ czasu" jest rzeczywistą cechą świata, a nie wyłącznie sposobem, w jaki go doświadczamy?

To może spróbujmy z czymś prostszym. Zgodzimy się chyba, że nie powinno się kłamać. Dlaczego? Ponieważ kłamstwo wprowadza innych w błąd. A dlaczego nie powinniśmy wprowadzać innych w błąd? Ponieważ odbiera im to możliwość podejmowania decyzji na podstawie prawdziwych informacji. Dlaczego mielibyśmy szanować tę możliwość? Ponieważ ludzie mają prawo samodzielnie decydować o swoim życiu. Co to znaczy „mieć prawo" do samodzielnego decydowania? Skąd takie prawo wynika? I czy kłamstwo jest zawsze złe, nawet wtedy, gdy mogłoby kogoś uchronić przed poważniejszą krzywdą?

Zanim zdążyliśmy się zorientować, kilka pytań o przyczynę, znaczenie i uzasadnienie zabrało nas na szerokie wody filozofii fizyki i do epicentrum refleksji na temat natury praw, autonomii i źródła zobowiązań moralnych. Podobnie byłoby, gdybyśmy wystartowali od pozornie niekontrowersyjnego stwierdzenia na dowolny inny temat – od języka i pamięci, przez liczby, świadomość i zdrowie, aż po pieniądze, demokrację, sztuczną inteligencję czy śmierć. Niezależnie od zagadnienia, którego powierzchni się przyglądamy, filozofia jest zawsze tylko kilka pytań w głąb.

Miary postępu

Przyczyną, dla której wiele osób pozostaje sceptycznych wobec filozofii jako dyscypliny, jest fakt, że wiele z pytań, które omawiałem powyżej, zostało sformułowanych już tysiące lat temu. Mimo to, jeśli zapytać filozofów, co sądzą na temat najważniejszych problemów filozoficznych, zdania są bardzo podzielone.

Dobrym miernikiem kondycji filozofii jest jakość argumentów, które udało się na jej gruncie wypracować. **Tu filozofowie nie mają się czego wstydzić.**

W ankiecie przeprowadzonej w 2020 r., na którą odpowiedziało ponad półtora tysiąca filozofów, sprawdzili to David Bourget i David Chalmers. I tak, na przykład, 33 proc. filozofów uważało, że sens życia jest subiektywny, a 32 proc., że istnieje niezależnie od tego, co my sami uznajemy za sensowne. W pytaniu o to, co przede wszystkim decyduje o tym, czy postępujemy moralnie, 37 proc. filozofów wskazywało na charakter i cnoty człowieka, 32 proc. na przestrzeganie obowiązków i zasad, a 31 proc. na skutki naszych działań. Niemal idealny podział pojawił się też w pytaniu o to, czy piękno jest kwestią subiektywnej oceny: 41 proc. skłaniało się ku odpowiedzi twierdzącej, a 44 proc. ku przeczącej. Naturalna w takiej sytuacji wydaje się pesymistyczna konkluzja – filozofia stoi w miejscu.

Taka konkluzja oparta jest jednak na kontrowersyjnym założeniu, że postęp w filozofii, jeśli faktycznie mielibyśmy z nim do czynienia, musiałby wyglądać tak samo jak postęp w nauce. Tu jednak dotykamy kwestii dość drażliwej.

O skomplikowanych relacjach między filozofią a nauką można by nakręcić długi skandynawski film, pełen ujęć przedstawiających rodzinę siedzącą w milczeniu dookoła pustego stołu i zbliżeń na zmęczoną twarz Stellana Skarsgårda.

Jedni obsadziliby w nim filozofię w roli matrony, na którą dzieci – fizyka, chemia, psychologia czy socjologia – patrzą co prawda z szacunkiem należnym komuś, kto rodził ich w bólach na przestrzeni tysięcy lat, ale kogo dawno przestały prosić o rady. Alternatywnie, filozofia mogłaby być tym jedynym dzieckiem, które ciągle nie ułożyło sobie życia, tylko w nieskończoność „szuka swojej drogi". Czas wziąć przykład z rodzeństwa. Fizyka na przykład zarejestrowała ostatnio fale grawitacyjne, a chemia nauczyła się projektować maszyny molekularne.

Siła w braku zgody

Oczywiście warto docenić spektakularny postęp, który odnotowała nauka. Jednak problemy, którymi zajmuje się filozofia, mają to do siebie, że udzielane na nie odpowiedzi są trudne do zweryfikowania i rzadko przekładają się na ściśle mierzalne rezultaty. Co więcej, pytania o prawidłowe sposoby weryfikacji tych odpowiedzi i mierzenia rezultatów same w sobie są pytaniami filozoficznymi.

Może zatem nie powinniśmy rozpaczać nad brakiem konsensusu w debatach filozoficznych. Wspomniany już Herman Cappelen polemizuje z pesymistami uważającymi, że filozofia nie czyni postępu, ponieważ filozofowie nie zgadzają się co do fundamentalnych kwestii. Fakt, że członkowie danej debaty się ze sobą zgadzają, nie jest sam w sobie wiarygodnym miernikiem jej kondycji. Bardzo duża zgodność występuje na przykład między poglądami wyznawców Kościoła Scjentologii, ale nie bylibyśmy skorzy uznać tego za oznakę sukcesu poznawczego.

Znacznie lepszym miernikiem kondycji filozofii jest jakość argumentów, które udało się na jej gruncie wypracować. Tu filozofowie nie mają się czego wstydzić. Jeśli zdania na przykład na temat źródła sensu życia są podzielone, to nie dlatego, że nie przemyśleliśmy dobrze hipotezy subiektywistycznej i obiektywistycznej, lecz dlatego, że zwolennikom jednej i drugiej hipotezy udało się zgromadzić szereg bardzo przekonujących powodów, dla których ktoś mógłby podzielać broniony przez nich pogląd. Ten rodzaj niezgody jest siłą, a nie słabością filozofii.

Ponadto, jak sugeruje przewrotnie Cappelen, być może sama potrzeba znajdowania odpowiedzi na pytania jest przez nas przesadnie fetyszyzowana. Większość poprawnych odpowiedzi na najważniejsze pytania filozoficzne już znaleźliśmy. Weźmy na przykład pytanie o to, czy zasady moralne obowiązują uniwersalnie, czyli czy każdy pod nie podpada. Filozofowie wskazali mnóstwo dobrych powodów, żeby myśleć, że tak właśnie jest. Inni – a czasem nawet ci sami – filozofowie wskazali też mnóstwo dobrych powodów, żeby sądzić, że tak nie jest. Udało nam się zatem „znaleźć" poprawną

odpowiedź na nasze pytanie. Jest nią któraś z tych dwóch odpowiedzi. Jeszcze tylko nie zgadzamy się co do tego, która.

Co przemienia świat

Może niech w takim razie filozofowie kontynuują swoje niekończące spory, ale nie wtrącają się zanadto w prawdziwe życie, które toczy się wokół. Przecież fizycy mogą dalej prowadzić swoje badania, lekarze leczyć, sędziowie wydawać wyroki, a my wszyscy podejmować codzienne decyzje bez rozstrzygania pytań filozoficznych na temat natury czasu, zdrowia, prawa czy racjonalności.

Tu jednak musimy być ostrożni. To, że wiele naszych praktyk odbywa się w ramach utrwalonych sposobów postępowania, które sprawdzają się na co dzień, nie stanowi ostatecznego dowodu ich słuszności. Dobrym przykładem jest demokracja, która zdawała się „działać", zanim kobiety otrzymały prawo głosu. A przecież z dzisiejszej perspektywy trudno byłoby uznać system odbierający prawo do głosowania połowie dorosłych obywateli za demokratyczny. Przyznanie kobietom powszechnego prawa wyborczego wymagało zatem między innymi rewizji odpowiedzi na filozoficzne pytanie o to, co uważamy w kontekście wyborczym za sprawiedliwe.

To, że przyzwyczailiśmy się o czymś myśleć w określony sposób, nie sprawia też, że pojęcia i założenia, na których się opieramy, są przez nas właściwie i w pełni rozumiane. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zrozumieliśmy chociażby, że niezgodność z dominującymi normami społecznymi nie wystarcza, by uznać kogoś za chorego. To z kolei przyczyniło się na przykład do odejścia od traktowania homoseksualizmu jako zaburzenia. Wcześniej wielu lekarzy błędnie myślało, że leczy osoby homoseksualne, choć dzisiaj wiemy już, że praktyki, którym te osoby były poddawane, nie mogły być w uzasadniony sposób uznawane za leczenie. To oczywiście przede wszystkim zmiana społeczna i naukowa, ale jej zrozumienie wymaga udzielenia odpowiedzi na pytanie typowe dla filozofii medycyny: co właściwie uprawnia nas do uznania jakiejś cechy lub formy życia za chorobę?

Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana, jeśli chodzi o znaczenie pytań filozoficznych na temat nauk szczegółowych. Od udzielenia takiej lub innej odpowiedzi na pytania „czy prawa przyrody rządzą światem, czy jedynie opisują zachodzące w nim regularności?" lub „czy mikrobiom jest częścią organizmu gospodarza, czy współtworzy z nim jakąś większą całość?" samoloty nie przestaną latać, a antybiotyki leczyć. Jeśli jednak fizyka i biologia aspirują nie tylko do tworzenia skutecznych narzędzi, lecz także do możliwie adekwatnego i prawdziwego opisu rzeczywistości, pytania tego typu muszą być przez nie traktowane poważnie.

O co pytać dzisiaj

Nie znaczy to, że wszyscy nagle powinni zacząć zajmować się na pełny etat filozofią. Warto jednak pamiętać, że refleksja filozoficzna jest i pozostanie nieodzowna. Przykłady demokracji i homoseksualizmu pokazują, co stałoby się, gdybyśmy w XIX w. przestali pytać, czym jest sprawiedliwy system wyborczy, albo w połowie XX w. – czym jest zdrowie. Naturalnie nasuwa się pytanie: „O co nie powinniśmy przestać pytać dzisiaj?".

Nie ośmielam się sugerować listy takich pytań. Zdziwiłbym się jednak, gdyby zabrakło na niej kwestii związanych z tym, jakie decyzje możemy oddawać sztucznej inteligencji, gdzie przebiegają granice ingerencji w ludzkie ciało i umysł, jakim istotom przysługuje status moralny, jak wiele prywatności jesteśmy gotowi poświęcić w imię bezpieczeństwa i wygody, co jesteśmy winni ludziom, którzy dopiero się urodzą, oraz jak powinny być dzielone koszty i korzyści zmian klimatycznych i nowych technologii.

Wszystkie te zagadki są niezwykle złożone i trudno sobie wyobrazić, że w najbliższym czasie refleksja filozoficzna pozwoli nam je ostatecznie rozwikłać. Najbardziej obawiałbym się jednak świata, który nam się przydarzy, jeśli nie będziemy mieli odwagi takiej refleksji podjąć.

© JĘDRZEJ GRODNIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



KULTURA

POZNAJMY SIĘ LEPIEJ



MARCEL BALIŃSKI, ZAŁOŻYCIEL WSPÓŁGŁOSÓW:

Nasz największy sukces? Kwestia niepełnosprawności intelektualnej schodzi na drugi plan. Na pierwszy wychodzi muzyka.

JAN BŁASZCZAK: Kończycie grać piosenkę „Po co?". Chór wciąż śpiewa, a z nim spora część publiczności. Słońce przygrzewa, stoisz na największej scenie OFF Festivalu. Nagle podnosisz ręce, patrzysz w stronę nieba. O czym myślisz?

MARCEL BALIŃSKI: To było coś wielkiego. Jedno z dwóch największych przeżyć, jakie miałem ze Współgłosami. Chwila wielkiej modlitwy. Bardzo dziękowałem za ten moment; za to, że mogę się zajmować tym, czym się zajmuję – i że to tak idzie. Czułem ogromne piękno tej chwili wspólnoty, gdy wszyscy śpiewaliśmy – cały zespół i cała widownia. Czułem ogromną miłość.

Jaki był ten drugi moment?

W dniu, w którym zacząłem Współgłosy, miałem wypadek na rowerze. To był maj 2021 r. Studiowałem w Szwajcarii. Trafiłem do szpitala, gdzie okazało się, że z ręką, o którą się obawiałem, jest wszystko w porządku, natomiast badania wykazały, że mam nowotwór. I w zasadzie przez całą resztę roku, kiedy przygotowywaliśmy się do naszego pierwszego, grudniowego koncertu, miałem chemioterapię.

Przyjmowałem ją raz na dwa tygodnie – przez pierwszy gniłem, przez drugi w miarę normalnie funkcjonowałem. I w tych dobrych tygodniach spotykałem się ze Współgłosami w Warsztacie Terapii Zajęciowej „Frajda" w Łodzi. Pamiętam, że w pewnym momencie byłem tak wykończony chemią, że podczas jednego ze spotkań poprosiłem chór, żeby był lasem, tak jak w utworze „Dwa Cukierki i Papierki". Położyłem się na podłodze i poprosiłem, żeby nade mną szumieli. Zamknąłem oczy i powiedziałem, że trzeba wyszumieć straszne rzeczy z mojego ciała, że bardzo potrzebuję ich pomocy. Naprawdę długo nade mną stali i szumieli.

Założyłeś Współgłosy ze względu na swoją siostrę z niepełnosprawnością intelektualną, która miała marzenie – śpiewać. Jak wyglądała Wasza relacja w dzieciństwie?

Oczywiście szybko zorientowałem się, że nasza relacja różni się od relacji innych znanych mi braci i sióstr. Mam takie wspomnienie z dzieciństwa, że jestem w szkole podstawowej, mama przyjeżdża po mnie i zabiera ze sobą siostrę. Wszyscy w szkole wiedzieli, że jest „inna", śmiali się z niej. Strasznie się wstydziłem, że mama przywozi ją ze sobą. Dopiero z wiekiem zacząłem to wszystko rozumieć i akceptować.

Najłatwiej nie było. Dlatego kiedy wyprowadziłem się na studia, trzymałem dystans. Chyba po prostu chciałem odpocząć. Bo nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu: byłem tą relacją po prostu zmęczony. I dopiero kilka lat temu, kiedy Współgłosy zaczęły działać, zacząłem odzyskiwać relację z siostrą. Za sprawą zespołu buduje się ona na nowo, definiuje się za sprawą muzyki – nie mogłem sobie tego lepiej wymyśleć.

Czy towarzyszył Ci jakiś konkretny pomysł na to, jak taki zespół miałby wyglądać? Miałeś jakiś punkt odniesienia, rozmawiałeś z twórcami Remontu Pomp czy Na Górze?

Nie znałem tych zespołów. Natomiast już w 2017 r. miałem pierwsze podejście, żeby zrobić zespół z innym warsztatem terapii zajęciowej. Nie wypaliło. Przede wszystkim nie było chęci z tej drugiej strony, żeby spróbować. Bo, umówmy się, pomysł na zespół muzyczny z udziałem osób z niepełnosprawnościami inte-



SISI CECYLIA

Koncert Współgłosów w Nowej Miodowej – Sali Koncertowej ZPSM Nr 1 w Warszawie, 15 grudnia 2025 r.

lektualnymi jest dość eksperymentalny i ekstremalny.

Dwa lata później – ktoś powiedziałby, że przez przypadek, ale ja nie wierzę w przypadki – pewien kurator organizował koncert kolęd w Radiu Łódź. Chciał, żebym wymyślił do niego eksperymentalny skład. Kiedy już miałem na niego pomysł, dowiedziałem się, że chcieliby do niego dorzucić kilka osób z niepełnosprawnością intelektualną, które zaśpiewałyby dwie kolędy – dzięki temu mogli dostać dodatkową kasę. Powiedziałem, że od lat nosiłem się z takim pomysłem, więc chętnie spróbuję. I w ten sposób poznałem kilkoro uczestników warsztatu terapii zajęciowej „Frajda". Prowadziła je pani Grażyna Walkowska. Zagraliśmy ten koncert i ziarno zostało zasiane. Cały czas chodziło mi po głowie, żeby pracować dalej z uczestnikami tego warsztatu. I w końcu odezwałem się do „Frajdy", wybrałem większą grupę uczestników i tak powstały Współgłosy.

Mówisz, że Współgłosy to zespół eksperymentalny, ale Wasza muzyka – zwłaszcza na drugiej płycie – wcale nie jest taka ekstremalna. Powiem więcej: to są przebojowe piosenki. Nie przypadkiem tak zasuwają na antenie Trójki.

To jest w ogóle bardzo Trójkowa płyta. Nie tylko od strony muzycznej, ale także literackiej. Od początku to czuliśmy.

Rzeczywiście, te piosenki są grane przez różne stacje radiowe – i to za dnia, a nie w środku nocy, w audycjach z muzyką eksperymentalną. Tak wyszło po drodze. Początki tego nie zapowiadały. Pamiętam, że na koncert premierowy chciałem przygotować 10 kompozycji, a okazało się, że w zespole drzemie ogromny potencjał improwizatorski, który postanowiłem eksplorować. Ostatecznie zagraliśmy dwa gotowe utwory, a całą resztę wyimprowizowaliśmy.

Wydaje się, że improwizacja to idealne narzędzie dla takiego zespołu jak Współgłosy. Można bardzo dużo wrzucić, a może wręcz schować, za tym terminem. Ktoś mógłby powiedzieć, że w Waszym przypadku tak byłoby łatwiej, a jednak stawiacie też na piosenki.

Na pierwszej płycie chciałem mieć dwie jakości – melodyjne piosenki i eksperymenty. Po debiucie postanowiłem je rozdzielić. Stwierdziłem, że na drugiej ↦

↦ płycie będziemy eksplorować piosenkowy potencjał Współgłosów, a na trzeciej – pójdziemy w eksperymenty.

Nad tegoroczną płytą pracowało mi się szczególnie dobrze. Piękna melodia, prostota w muzyce – bardzo to kocham, pomimo swojego jazzowego wykształcenia i studiów kompozytorskich w Szwajcarii pod okiem Django Batesa. Bo choć w edukacji starałem się iść możliwie szeroko, nigdy nie uczyłem się pisać piosenek. A od zawsze chciałem to robić.

Kiedy Piotr Metz usłyszał naszą drugą płytę, powiedział, że ona ma w sobie coś bardzo krakowskiego, w najlepszym tego słowa znaczeniu. I to jest ciekawe, bo kiedy robiłem licencjat na Akademii Muzycznej w Krakowie, dorabiałem sobie jako akompaniator w szkole teatralnej. I przerobiłem wszystkie te Osieckie, Przybory, Grechuty. Teraz, jak słucham tej drugiej płyty Współgłosów, to myślę sobie, że może to we mnie jakoś zostało?

Zaskoczyło mnie, jak bardzo rozwinęli się muzycznie chórzyści – a dziś także soliści – Współgłosów. A potem uświadomiłem sobie, że nie zdziwiłoby mnie to przecież w przypadku innych zespołów, które ćwiczą, grają, zdobywają doświadczenie. I chciałbym Cię zapytać o najczęstsze błędy w postrzeganiu Współgłosów, z którymi się spotykasz.

To oczywiście temat rzeka. Zacznę od tego, że od wydania pierwszej płyty zagraliśmy około 30 koncertów. I kiedy przygotowywałem zespół do pierwszych występów, musieliśmy dużo ćwiczyć. Często to było takie żmudne, wielokrotne powtarzanie jednej melodii czy motywu muzycznego. I ten schemat został mi w głowie.

Kiedy zaczynaliśmy prace nad drugą płytą, byłem więc pewien, że to będzie wyglądało tak samo, a poszło zdecydowanie szybciej. Tak samo z koncertem na OFF-ie. Umówiłem trzy spotkania, a już podczas pierwszego udało nam się wszystko prześpiewać. Sam złapałem się więc na tym, o czym mówisz – to już nie jest ten sam zespół, co przed pierwszą płytą, bardzo się rozwinął, umuzykalnił. Co też jest dla mnie dowodem na to, że „śpiewać każdy może".

W czym więc problem?

Jeśli chodzi o błędne postrzeganie naszych chórzystów przez osoby z zewnątrz, to najczęściej zdarza się, że traktują ich jak dzieci albo boją się ich. Ja nie mogę tego zrozumieć, bo od urodzenia mam kontakt z niepełnosprawnością. Nie wiem więc, skąd się bierze ten strach. Dlatego tak ważnym elementem każdego koncertu jest spotkanie zespołu z publicznością we *foyer*. Zawsze to robimy. Po każdym występie wychodzimy do ludzi. To element, który służy integracji i normalizacji obecności osób z niepełnosprawnościami w społeczeństwie. Kupujemy ludzi tym, co śpiewamy, a oni dzięki temu mają później większą otwartość i gotowość, żeby podejść i porozmawiać. I właściwie po każdym koncercie słyszymy, że ktoś obawiający się osób z niepełnosprawnością postanowił wejść w interakcję. Wystarczy godzina, żeby Współgłosy zmieniły czyjeś myślenie w tym zakresie. To nasz ogromny sukces.

Obecnie widzę, że powoli wydarza się coś innego. Za sprawą nowych piosenek niepełnosprawność schodzi na drugi plan, a na pierwszy wychodzi muzyka. Szalenie mnie to cieszy, bo może oznaczać, że udało nam się wejść w jakiś kolejny etap normalizacji. Coś się zmienia.

W porównaniu z debiutem, gdzie ciężar był położony na chór, na drugiej płycie rzucacie światło na solistów. Nie obawiałeś się, że to może popsuć chemię w grupie?

Absolutnie nie, bo zanim przystąpiliśmy do pracy, zapytałem: kto chciałby mieć solówkę na nowej płycie? I wszystkie osoby, które chciały, to ją mają. Czasem są to zwrotki, czasem refreny, a czasem oddechy – jak w przypadku Radka, co w jego przypadku jest czystą magią. W utworze „Wszystko Się Musi Dać" otwiera nimi portal.

Skąd w ogóle pomysł na takie przesunięcie środka ciężkości?

Pierwsza płyta zdefiniowała zespół jako całość. I dalej to poszło bardzo naturalnie. Pomyślałem: zobaczyliście nas z lotu ptaka, to teraz poznajmy się trochę lepiej. Stąd partie solowe.

I tu często przychodzą z pomocą właśnie nie jazzowe, a *stricte* popowe rozwiązania, typu „wezwanie i odpowiedź" w piosence „Po co?". Okazuje się, że to świetnie się sprawdza w przypadku Współgłosów, bo ten schemat sprawia, że możesz pomóc drugiej osobie, a my nie zwracamy na to uwagi, bo to klasyczny zabieg.

Nasi chórzyści i chórzystki są ogromnymi miłośnikami piosenek. Oni wszyscy słuchają bardzo dużo muzyki – właściwie wyłącznie pop. To sprawiło, że łatwo weszliśmy w ten piosenkowy świat, bo oni bardzo dobrze te formy znają. Oczywiście my je naginamy na rozmaite sposoby, ale to nie jest dla nich żaden problem.

Od początku we Współgłosach występują aktorzy – a zarazem Twoi najbliżsi – Magdalena Koleśnik i Bartosz Bielenia. Na drugą płytę zaprosiliście jeszcze Tomasza Kota i Błażeja Króla – czy to sposób na dotarcie do szerszej publiczności? A jeśli tak, to czy nie istnieje ryzyko, że okaże się on niebezpiecznym skrótem?

To po prostu rezultat naszego występu na Męskim Graniu. Dostaliśmy propozycję, by podczas warszawskiego koncertu wystąpić na głównej scenie, ale towarzyszyła jej sugestia, abyśmy zaprosili gości. I moim zdaniem to był super pomysł. Jasne: liczyłem, że nazwiska ściągną pod scenę publiczność, ale powody były też czysto artystyczne. Od razu było jasne, że jeśli to ma być gość z tego świata, to musi to być Błażej Król. A kiedy szukaliśmy drugiego, Magda robiła akurat serial z Tomkiem Kotem. I to ona zasugerowała, że powinnienem się z nim skontaktować. Pogadaliśmy i on oszalał na punkcie Współgłosów, wskoczył w to od razu. Tomek jest wspaniałym improwizatorem. A ja pomyślałem, że wykorzystam tę sytuację i z myślą o gościach napiszę od razu nowe utwory. To bardzo pomogło w rozpoczęciu prac nad drugą płytą. Bo skoro miałem już te dwie piosenki, to trzeba było iść za ciosem. To było fascynujące zadanie – pisać piosenkę na zespół Współgłosy, ale z nowymi solistami, którzy zapewniają nam nowe jakości.

Za debiut dostaliście Fryderyka w kategorii jazz eksperymentalny. Jak wspominasz tamtą galę?

Dla mnie to było totalne zaskoczenie. Zwłaszcza gdy zobaczyłem konkurencję.



ALICJA KOZAK

Marcel Baliński, 2023 r.

Cieszyliśmy się samą nominacją, bo było dla mnie oczywiste, że Fryderyka nie dostaniemy. Dlatego nie przygotowałem sobie w głowie żadnej przemowy. Do dziś powtarzam, że ja w swoim życiu wygrałem już najcenniejszą statuetkę – nagrodę za pierwszą płytę Współgłosów. Bo nasze szaleństwo zostało docenione.

Fryderyk bardzo nam pomógł. Pojawił się duży odzew ze strony środowiska, propozycje koncertowe. Być może wcześniej ludzie myśleli, że Współgłosy to po prostu fajna historia, a tu dostali czarno na białym, że nie: że my jednak gramy. Że to nie są wygłupy.

Pamiętam, że kiedy rozmawialiśmy przy okazji debiutu, byłeś rozżalony, że Współgłosy dostają tak mało instytucjonalnego wsparcia. Teraz to się zmieniło?

Trudno, żebym miał inne poczucie. Jedyne, co dostaliśmy, to pewna pomoc ze strony Miasta Łodzi i łódzkich instytucji, ale i tak musieliśmy zorganizować zrzutkę na debiut. No jak to w Polsce – bez zrzutki ani rusz. Nie mogliśmy liczyć na wsparcie Ministerstwa Kultury i wielu innych miejsc, do których się zwracaliśmy. Dzisiaj myślę sobie, że może ten pomysł wydawał się po prostu zbyt szalony? A na drugą płytę zarobiliśmy sobie sami – odkładaliśmy pieniądze z każdego koncertu i uskładaliśmy cały budżet. Jestem z tego powodu bardzo dumny.

Widzisz w zespole tremę związaną z nową płytą i jej odbiorem?

Jak graliśmy na OFF-ie, to jako naczelny zespołowy sentymentalista bardzo przeżywałem, że to nasz ostatni koncert z materiałem z pierwszej płyty. I mówię o tym chórowi, że wiecie, coś tu się kończy. Na co słyszę z ich strony: „no dobra, dobra – a co z nowej gramy?".

© Rozmawiał JAN BŁASZCZAK

Współgłosy Balińskiego

MARCEL BALIŃSKI (ur. 1995 r.) jest jednym z tych kompozytorów, których trudno przypasować do konkretnego stylu. Sam wspominał, że podczas egzaminów wstępnych na zagraniczne uczelnie raz okazywał się zbyt awangardowy, innym razem – zbyt bliski głównego nurtu. Bo rzeczywiście: pociąga go mahlerowska symfonia, improwizowany jazz i dobrze napisana piosenka. Jako pianista i kompozytor szukał więc swojego miejsca, występując m.in. z Jerzym Mączyńskim, Wojtkiem Mazolewskim, a – przede wszystkim – prowadząc własne trio.

I jest w tym jakieś zrządzenie losu, że Baliński odnalazł swój język, kiedy zrobił coś z myślą nie o własnej karierze, ale o Adeli – swojej niepełnosprawnej intelektualnie siostrze. Od 2021 r. jako Współgłosy grali koncerty, rozkochali w sobie publiczność i zdobywali nagrody (m.in. Fryderyka 2025 w kategorii jazz eksperymentalny/muzyka improwizowana za pierwszą płytę). Ich nowa płyta, „Współgłosy II", ma premierę 9 września 2026 r.

Baliński zrobił wiele dla normalizacji osób z niepełnosprawnościami intelektualnymi w społeczeństwie, ale to tylko połowa prawdy, bo okazało się, że Współgłosy są dla niego idealnym instrumentem. Jako kompozytor pisze dla nich piosenki, ale musi sięgać po rozwiązania rodem z muzyki współczesnej czy improwizowanej, by dotrzeć do swoich wykonawców. I właśnie to wygenerowane w stu procentach naturalnie napięcie sprawia, że jego utwory błyszczą. Można by wręcz napisać, że ta muzyka jest piękna, bo powstała z pięknych pobudek. I paradoks polega na tym, że jest to zarówno fałsz, jak i najprawdziwsza prawda. Taki to zespół. © JB

NAJBLIŻSZE KONCERTY WSPÓŁGŁOSÓW:

- 13.09.2026 – Nowy Teatr w Warszawie
- 17.09.2026 – Festiwal Wielu Kultur w Łodzi
- 18.10.2026 – Studio im. Agnieszki Osieckiej, Radiowa Trójka
- 21.10.2026 – Stary Teatr w Krakowie
- 07.11.2026 – Centrum Kultury Raszyn
- 28.11.2026 – Ośrodek Kultury Ochoty w Warszawie

Ich też wezwała Gwiezdna Flota



CBS PHOTO ARCHIVE / GETTY IMAGES

JOAN COLLINS

Na długo zanim Joan Collins stanęła na szpilkach jako Alexis w serialu „Dynastia", uwodziła kapitana Kirka w odcinku „Star Treka" pełnym czasoprzestrzennych zawirowań. A przy okazji walczyła z ekonomicznymi nierównościami w Nowym Jorku lat 30. Niestety, jak się okazało, tylko jej śmierć była gwarancją przegrania wojny przez nazistów. Nie pytajcie.



PARAMOUNT / EVERETT / EAST NEWS

STEPHEN HAWKING

Albert Einstein, Isaac Newton i Stephen Hawking grają w karty...
Początek kiepskiego dowcipu? Raczej piękne wspomnienie z czasów świetności „Star Treka". Co prawda na ekranie, we własnej osobie, pojawił się tylko Hawking. Ale co pograł, to jego!

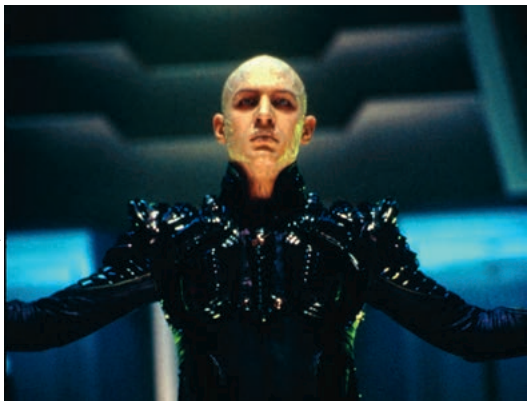

ARCHIVES DU 7E ART / BEW

TOM HARDY

Śmiem wątpić, czy podobieństwo między aktorem Tomem Hardym oraz Patrickiem Stewartem jest uderzające. W filmie „Star Trek: Nemezis" młodziutki wówczas aktor zagrał jednak jego klona. I zrobił to na tyle dobrze, by na całe życie zostać bohaterem zestawień z cyklu „Nie uwierzycie, kto zaczynał w Star Treku". Takich jak to.



MICHAEL YARISH / PARAMOUNT / EVERETT / EAST NEWS

DWAYNE „THE ROCK" JOHNSON

Przedsiębiorca, filantrop, głowa rodziny, król siłowni. Dwayne Johnson pojawił się na kosmicznym szlaku na długo przed swoją wielką filmową karierą. W cyklu „Voyager" zagrał klingońskiego mistrza sztuk walki i zaprezentował parę firmowych ruchów z ringu wolnej amerykanki. Nie ma się czego wstydzić.

Notatki z gwiezdnego szlaku

MICHAŁ WALKIEWICZ

POPKULTURA | Zrodzona w wyobraźni fanów starego kina przygodowego i twardej fantastyki naukowej seria kończy 60 lat. „Star Trek" to majątek geniuszy odziedziczony przez ignorantów.

TlhIngan Hol tlhIngan SexpIr vIlaDbe'lu'chugh, SexpIr DaSovbe" – mawiał kanclerz Wysokiej Rady Klingonów, Gorkon, wznosząc toast za „nieodkryte lądy", które w „Hamlecie" były metaforą zimnych objęć śmierci. W wolnym tłumaczeniu: „Nie zaznałeś Szekspira, dopóki nie przeczytałeś go w klingońskim oryginale".

Twórcy „Star Treka" zaznali nie tylko Szekspira. Zahaczyli też o Nietzschego, Kartezjusza, no i – przecież nie mogło go zabraknąć – Marksa. Przez lata przyglądali się światu za oknem. Badali skalę politycznych napięć, wagę utopijnych wizji, trwałość religijnych dogmatów, gramatykę języków tolerancji i przemocy. Seria zrodzona w wyobraźni fanów starego kina przygodowego oraz twardej fantastyki naukowej kończy dziś 60 lat.

Miłe złego początki

17 lat temu, mniej więcej o tej samej porze, zrobiłem na łamach „Tygodnika Powszechnego" coś okropnego. Spróbowałem upchnąć opowieść o fenomenie cyklu w liczącej ok. 3 tysięcy znaków (ze spacjami!) wzmiance na temat jego telewizyjnej retrospektywy.

Każdy szanujący się *trekkie* zdezintegrowałby mnie za to fikumikatorem elemeledudkowym. To w końcu zaprzeczenie wszystkiego, w co wierzy. A wierzy w czas (na spokojne budowanie fanta-

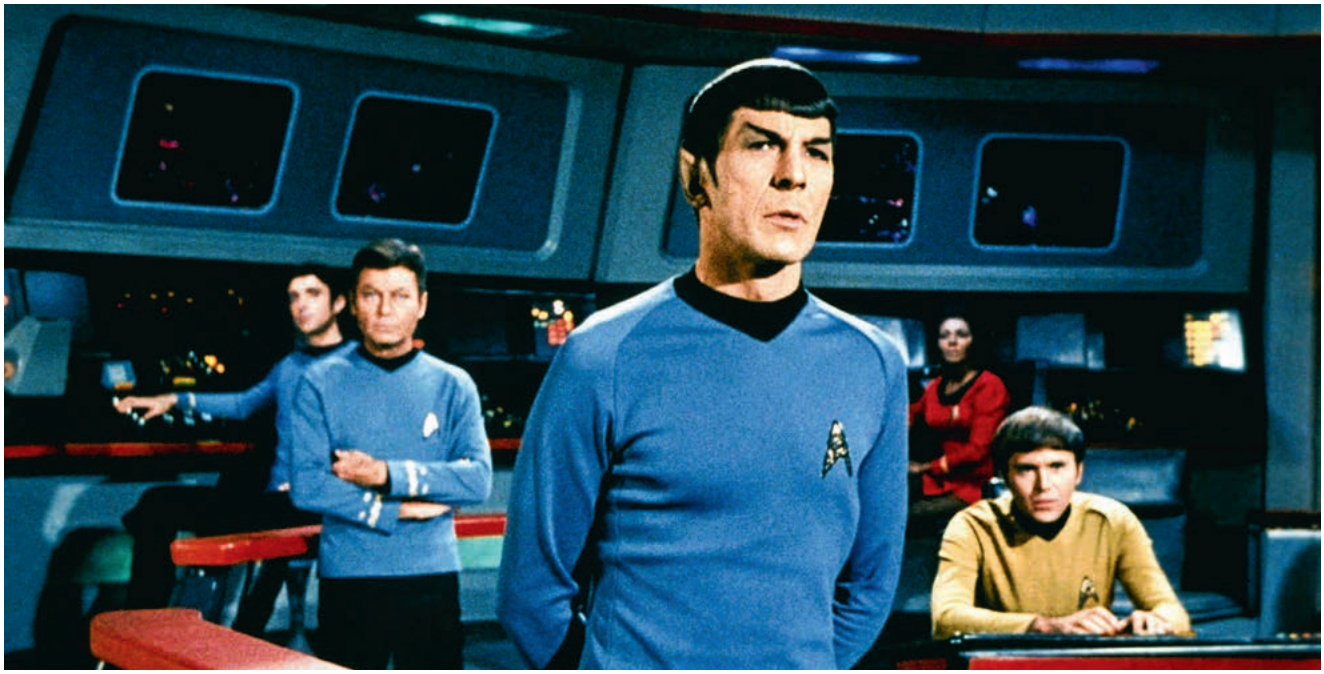

ALLSTAR PICTURE LIBRARY LTD / ALAMY / BE&W

Załoga statku USS Enterprise z pierwszego sezonu serialu „Star Trek", na pierwszym planie komandor Spock, 1966 r.

stycznych światów), przestrzeń (na niekończące się anegdoty i filozoficzne dywagacje) oraz w człowieka (którego zawsze stać na więcej).

Dziś wracam bogatszy (o jakieś 7 tysięcy znaków), co nie znaczy, że mądrzejszy. Mimo szczerego zainteresowania perypetiami załogantów kolejnych statków i mieszkańców niezliczonych planet, ledwo podrapałem kadłub kosmicznego galeonu. Nie dalej jak wczoraj dowiedziałem się np., że początkowo komandor Spock miał mieć czerwoną skórę i szpiczasty ogon. Zupełnie jak diabeł, którego przestraszyli się konserwatywni włodarze stacji NBC.

Nieco elegijny ton wynika z frustracji. Nasz jubilat pamięta bowiem lepsze czasy. Oglądalność nowych odsłon cyklu szoruje po dnie, a jego kulturotwórcza siła jest dziś pięknym wspomnieniem – „Star Trek" to majątek geniuszy odziedziczony przez ignorantów. Czy w którymkolwiek ze znanych nam ekonomicznych bądź artystycznych gwiazdozbiorów istnieje dla niego ratunek?

Cała naprzód, do wielkości!

„Byłem policjantem i nauczyłem się pisać jako autor przemówień dla szefa policji Parkera. Tak naprawdę nauczyłem się pisać dużo wcześniej, kierując się przekonaniem, że jeśli pisze się osiemset słów dziennie, to prędzej czy później zostaje się pisarzem" – mówił w wywiadzie z Sheldonem Teitelbaumem z magazynu „Cinefantastique" Gene Roddenberry, legendarny producent telewizyjny, dzięki któremu USS Enterprise poderwało się do lotu.

Roddenberry nie został pisarzem. Spędził jednak w telewizji wystarczająco dużo czasu, by zostać scenarzystą. „Star Trek" był owocem jego burzliwego życia, wyrosłym na gruncie pięknych i bolesnych wspomnień z młodości: dziewiczego seansu „Zakazanej planety", pierwszej lektury „Tarzana. Władcy małp", rzadkiej choroby kości, wreszcie – aż trzech katastrof lotniczych (sic!), które przeżył najpierw jako żołnierz sił powietrznych, a później jako pilot linii Pan Am.

„Star Trek" pojawił się na ekranach amerykańskich telewizorów 8 września 1966 r. Po pierwszej fali frekwencyjnego sukcesu zainteresowanie zaczęło jednak topnieć. W połowie drugiego sezonu, pionierska w skali popkultury akcja fanów pod wodzą pisarki *science fiction* Bjo Trimble przedłużyła mu życie na kolejny rok. W końcu jednak NBC zakręciło kurek z pieniędzmi. Gwiezdna wędrówka – po raz pierwszy – dobiegła końca.

Wkrótce okazało się, że spontaniczna, oddolna inicjatywa uratowała „Star Trekowi" życie. Dzięki 3 sezonom i 79 odcinkom serial stał się przedmiotem syndykacji, a powtórki mogły być emitowane poza macierzystą siecią. W klimacie coraz większego zainteresowania nowym, ambitniejszym kinem *science fiction* oraz przy udziale rosnącego jak na drożdżach fandomu, cykl wrócił do telewizyjnej pierwszej ligi. W 1972 r. w Nowym Jorku zorganizowano pierwszy oficjalny konwent fanowski. Spodziewano się kilkuset osób. Przybyło ich aż 4 tysiące.

Reszta jest historią: Stephenem Hawkingiem grającym w pokera z androidem Datą; królem Jordanii Abdullahem II zajętym naprawą statku kosmicznego Voyager; prezydentem Barackiem Obamą uwiecznionym w geście wolańskiego pozdrowienia. I matematyką: to 12 seriali, 14 filmów pełnometrażowych, ponad 70 gier wideo, pół tysiąca książek i opowiadań, a także blisko 700 wydań komiksów.

Wielki kolektyw

Stery: Hikaru Sulu, Amerykanin o japońskich korzeniach. Ambulatorium: doktor Leonard „Bones" McCoy, Teksańczyk z dziada pradziada. Maszynownia: Montgomery „Scotty" Scott – facet z Aberdeen, no bo skąd? Łączność: Nyota Uhura, Kenia. Nawigacja: Paweł Czechow, Rosjanin z Leningradu (dołączył w drugim sezonie). W fotelu kapitana James T. Kirk, dumny syn stanu Iowa, po jego prawicy zaś komandor Spock – pół człowiek, pół Wolkanin, dziecko dwóch światów. ↦

↦ Wielorasowy skład załogantów statku USS Enterprise wydaje się w dzisiejszych czasach oczywistością. W latach 60. ubiegłego wieku był jednak fantazją na tyle śmiałą, że sam Martin Luther King dostrzegł w grającej Uhurę aktorce Nichelle Nichols ewangelistkę wielkiej kulturowej zmiany.

Następstwem Zjednoczonej Federacji Planet, czyli utopijnego projektu multikulturowego społeczeństwa, była z kolei fantazja o jego „trwaniu" w dobie politycznych tąpnięć na galaktyczną skalę. Oczywiście wszystko w ustroju przypominającym z grubsza liberalną demokrację; w ekosystemie blisko 150 autonomicznych światów „członkowskich", połączonych postkapitalistyczną gospodarką, pełną wolnością obywatelską oraz wiarą w potęgę dyplomacji.

Na przestrzeni kolejnych dekad Federacja wchodziła na kurs kolizyjny z wojskowymi totalitaryzmami (reprezentowanymi m.in. przez Unię Kardasjańską), feudalną oligarchią (Imperium Klingonów), ekstremalną teokracją (Dominium), a także z hiperkapitalizmem („Kiedy klient się poci, zwiększ temperaturę" – czytamy w kodeksie gospodarczym Sojuszu Ferengi). Podglądanie tych spotkań było nie tylko kształcące, ale i fascynujące pod względem narracyjnym. Firmowe „akademickie dyskusje" sąsiadują w końcu w „Star Treku" z nieco efektowniejszymi scenami eksploracji niezbadanych światów.

Ten nieco naiwny, życzeniowy humanizm stał się błyskawicznie sednem krzepiącej opowieści o indywidualistach zmuszonych do działania w kolektywie. Bez względu na to, czy wychowaliśmy się na „Nowym Pokoleniu", „Voyagerze", „Deep Space Nine", czy „Discovery", dostrzegaliśmy w serialu lustro społecznego lęku przed atomizacją. To w dużej mierze odpowiedź na pytanie, dlaczego miłość do „Star Treka" łączyła w USA demokratycznych i republikańskich wyborców. I dlaczego na najgorętszych forach internetowych zwaśnione frakcje często znajdowały wspólny język.

Inna odpowiedź dotyczyłaby pewnie symbolicznej rywalizacji *trekkies* z fanami „Gwiezdnych wojen", czyli drugiego z wielkich uniwersów *science fiction*, które zmieniły amerykańską popkulturę. W tym odwiecznym pojedynku miłośnicy „Star Treka" grali często kartą specyficznie pojmowanego „aktywizmu" – pasji skrystalizowanej w formie realnego wpływu na rzeczywistość. To przecież oni ocalili swój ukochany serial przed nicością. I to oni wymusili na NASA, by pierwszy amerykański orbiter nosił nazwę Enterprise.

Kurs na pustkę

„NuTrek" to w słowniku konserwatywnego fandomu pogardliwy termin określający „Star Trek" pod nowymi rządami w Paramouncie, zwłaszcza serię filmowych rebootów sprzed dekady oraz seriale realizowane w ostatnich latach, jak „Picard", „Akademia Gwiezdnej Floty" i „Discovery". Co właściwie oznacza? W skrócie – przesiąknięcie mglistymi ideami „współczesności", od agresywnej polityki tożsamościowej, po moralną relatywizację pojęć takich jak honor, odwaga, czy rodzina.

To nie czas i miejsce, by nurkować w tym bajorku. Powiem jedynie, że o ile fandom jest zabawny w swoich odruchach bezwarunkowych (cóż innego jest naczelną ideą „Star Treka", jeśli nie wiara w multi-kulti?), o tyle scenarzyści faktycznie dwoją się i troją, by podeptać dziedzictwo Roddenberry'ego. I nie usprawiedliwia ich fakt, że działają w desperacji – wysokobudżetowy „Star Trek" jest na najlepszej drodze, by pójść w ślady „Doktora Who" i zanotować oglądalność w granicach błędu statystycznego.

„Star Trek" to opowieść o dialogu z innymi kulturami w ekscytującej pogoni za wiedzą – nie o rozczarowaniu światem oraz drugim człowiekiem. To zainscenizowane z biglem debaty o wielkich abstrakcjach, a nie koncert na sto fazerów oraz odpustowy pokaz efektów specjalnych. To historia o zbiorowości, podkreślająca sens ciągłej pracy u podstaw. Nie zaś dziennik sfrustrowanych samotników, stanowiący lustro dla egoistycznych potrzeb scenarzystów.

Kultowa seria, w zgodzie ze swoim credo, uznała kiedyś kosmos za „ostateczną granicę". I bardzo długo podążała „tam, gdzie jeszcze żaden człowiek nie dotarł". Odpowiedź na pytanie, czy może wrócić na ten kurs, nie jest jednak prosta. Myślę natomiast, że jeśli taka zmiana ma się zaczynać od refleksji nad światem, w którym żyjemy, to powinna kończyć się fantazją o świecie, w którym chcielibyśmy żyć. © MICHAŁ WALKIEWICZ



Rarytasy w miasteczku

JAKUB PUCHALSKI

MUZYKA | Nie dla celebrytów i influencerów. Bez „ścianki", atrakcji „foodie" czy ogólnie „lifestyle'owych". Festiwal w niemieckim Husum to miejsce, które przypomina, o co naprawdę chodzi w spotkaniu ze sztuką.

Na rycinie w „Den Danske Vitruvius" z 1748 r. to wciąż elegancki budynek. Trzykondygnacyjne boczne skrzydła zdobione manierystycznymi szczytami w holenderskim stylu, wraz z przyklejonymi do nich wieżyczkami klatek schodowych zwieńczonych cebulastymi hełmami, stanowią zrównoważone domknięcie bryły, której osią jest wysoka wieża centralna.

Nie sama architektura

Gdy dziś podchodzimy do pałacu – zwanego zamkiem – w północnofryzyjskim Husum, wrażenie jest jednak o wiele skromniejsze. Następne dwa wieki po powstaniu duńskiego „katalogu zabyt-



JAKUB PUCHALSKI

XVII-wieczny budynek bramny zespołu zamkowego w Husum zachował cechy splendoru rezydencji królewskiej. Skromny dziś zamek szczyci się nadzwyczajnym festiwalem pianistycznym. Sierpień 2026 r.

ków" nie były łaskawe dla budowli. Wcześniej bywała letnią rezydencją królewską, później sprowadzono ją do rangi gmachu urzędowego i wyraźnie zredukowano: obniżone skrzydła boczne utraciły ornamentowane szczyty (pojęcie o nich daje zachowany budynek bramny), okna, pozbawione renesansowego obramowania, stały się nieregularnymi przepruciami w murze, z dachu znikły zdobione lukarny, a z wieżyczek hełmy. Szczęśliwie renowacja sprzed czterech dekad odtworzyła dawny kształt zwieńczenia wieży centralnej. I to właśnie efekt tego działania: renowacji i oddania zamku na cele kulturalne, sprowadził mnie do skromnego miasta z niewielkim portem nad Morzem Północnym.

Od 40 lat organizowany jest tu kultowy w kręgach miłośników muzyki fortepianowej festiwal Raritten der Klaviermusik. Festiwal, pozwólmy sobie na swobodne tłumaczenie, „rarytasów muzyki fortepianowej". Znakomici artyści, często znani z ważnych estrad i bezcennych płyt (choć raczej nie z reklam gwiazdorskich wytwórni), specjalnie dla 180 osób mieszczących się w sali rycerskiej przygotowują programy, których nie zagrają właściwie nigdzie indziej. Dlaczego? Gdyż składają się z często nieznanych utworów. Wystarczy jednak, że tu wszyscy są nimi zainteresowani.

Wykonawcy mogą pokazać muzykę, do jakiej trudno przekonać menadżerów wielkich sal koncertowych. Nie zaskakuje więc, że i słuchacze stanowią grono przyjeżdżające tu wyłącznie, by słuchać muzyki i spotkać się z podobnymi sobie, a nie by się pokazać. Choć nie brak sław, nie jest to miejsce do robienia sobie fotek na Instagrama. Jest natomiast przestrzenią na rozmowę.

O dorobku festiwalu przypomina stoisko z płytami, które dokumentują każdą edycję imprezy. Wydawane przez duńską wytwórnię Danacord Records, są tu obecne niemal od początku. W tym samym miejscu znajdziemy pianistyczne cymelia – czyli zamiast najgłośniejszych dziś nazwisk, raczej nagrania Roberta Casadesusa albo i Victora Schiølera – w komplecie!

Nazwisko tego drugiego pianisty przywołuje wyraźnie odczuwalną duńską obecność w regionie. Obecnie granica biegnie 50 km na północ, ale kiedyś znajdowała się przecież po stronie południowej, a ziemie Szlezwiku przechodziły z rąk do rąk.

Kolejny sukces Hofmanna

Do Husum sprowadziła mnie prezentacja filmu dokumentalnego o Józefie Hofmannie, w realizacji którego miałem okazję uczestniczyć w 2019 r. Genialny Hofmann, zarówno w filmie Pawła Kloca, jak i w nagraniach sprzed 90 lat, zrobił jak zwykle ogromne wrażenie. Było to wydarzenie towarzyszące, przedpołudniowe, ale i tak zgromadziło mniej więcej połowę publiczności koncertowej, wraz z dwojgiem występujących przed i po pokazie pianistów, Nadejdą Vlaevą i Markiem-Andrém Hamelinem.

Oboje są tu stałymi bywalcami, przy czym Hamelin to rekordzista – występował w Husum już 17 razy. Nic dziwnego, kanadyjsko-amerykański wirtuoz słynie nie tylko z olśniewającej techniki i precyzyjnie, logicznie budowanych kreacji, ale i z poszukiwań repertuarowych. Ten festiwal jest dla niego niczym domowe studio – wypełnione przyjaciółmi.

Program jego koncertu rozciągał się od muzyki Carla Philippa Emanuela Bacha, XVIII-wiecznego awangardzisty działającego m.in. w nieodległym Hamburgu, przez brawurowo zagraną I Sonatę Mieczysława Wajnberga i utwory własne pianisty, po gershwinowsko-brazylijskie rytmy Radamésa Gnattaliego (z siedmioczęściowym bisem w postaci samego Gershwina, ale w wersji Earla Wilda). Bułgarsko-amerykańska pianistka natomiast zaprezentowała zestaw kompozycji uczniów Liszta. Żaden z nich nie był artystą na miarę mistrza, jednak utwory Agathe Backer Grøndahl, Feliksa Weingartnera, Franza Bendela, nie mówiąc o efektownym Temacie z wariacjami Maurycego Rosenthala, mogą być ozdobą niejednego programu, a jeszcze bardziej znakomitym bisem.

Bez zadęcia

– Ale wiecie, że to nie są oryginały? – spytała starsza pani, widząc, że próbuję zrobić zdjęcie nadproża manierystycznego kominka. Publiczność opuszczała salę po ostatnim recitalu. Materiał faktycznie wyglądał na gips, nie kamień, ale mnie interesował cokolwiek enigmatyczny motyw ikonograficzny ze śmiercią miotającą strzały w bitwie. – Oryginał jest w Berlinie, w Bode-Museum.

To podsumowanie losów wybitnego zabytku zdaje się emblematyczne dla miasteczka, które przez długi czas było jedynie wystawioną na zachodnie wiatry przygraniczną prowincją. Festiwal jednak czerpie korzyść z faktu, że nie odbywa się we wnętrzu, w którym każdy kamień otoczony jest kordonem sanitarnym. Krzesła (życzyłbym sobie tak wygodnych na naszych imprezach) sięgają ścian i owego ozdobnego kominka bez lęku. Można poczuć się jak w salonie, nie w muzeum. Swoboda udziela się wszystkim, na czele z pianistami, zasiadającymi właściwie pomiędzy publicznością. Brak fraków, garniturów, krawatów, a jako że w ostatnim tygodniu sierpnia jest wciąż ciepło – nawet marynarek i długich rękawów. Gdy warto coś skomentować, artysta odzywa się do słuchaczy. Informacje, wyrazy wdzięczności, ale i żarty nikomu przecież nie zaszkodzą.

Jeszcze więcej dowiedzieć się można podczas pokoncertowego spotkania w zamkowej kawiarni. Nie bankietu czy przyjęcia – tylko i aż spotkania, służącego rozmowom, a nie chwaleniu się fikuśnymi daniami. Tych ostatnich, nader prostych, jest zresztą w menu zaledwie cztery, codziennie te same. W samym Husum można wprawdzie świetnie zjeść, zwłaszcza lokalne *Nordseekrabben*, ale festiwal skupia się na tym, co istotne. ©

W pełnym słońcu

ANITA PIOTROWSKA



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

KINO | „Obcy” Ozona to film czysty, dyskretny, skupiony na ówczesnym tu i teraz. Uniwersalny obraz życia pozbawionego sensu i wpisanego w oswojoną politycznie przemoc.

Czy można stworzyć ekranową adaptację, która byłaby wierna i równocześnie odświeżająca? Taką, która jest filozoficzna i zarazem krytycznie polityczna? Wreszcie: czy egzystencjalne niepokoje sprzed 80 lat będą rezonować ze współczesnymi widzami? W przeciwieństwie do Christophera Nolana, popełniającego wobec Homera „twórczą zdradę”, w nowej adaptacji Alberta Camusa są tylko przesunięcia. Nieznaczne, ale jakże znaczące.

François Ozon zobaczył w „Obcym” uniwersalny obraz życia pozbawionego sensu i wpisanego w oswojoną politycznie przemoc. Z historią młodego francuskiego urzędnika z Algieru połączyła reżysera rodzinna przeszłość – tam w czasach kolonialnych żył i pracował jego dziadek. Dlaczego Meursault, obiecujący młody mężczyzna, zastrzelił na plaży Algierczyka, pozostaje także w filmie pytaniem otwartym, choć osadzonym w społecznych kontekstach. Snuta zza kadru lakoniczna opowieść odsłania portret jednostki, która rzuca wyzwanie panującym normom i uwieloznacznia pojęcie tytułowej obcości. Ozon zaś oddaje wewnętrzne życie bohatera nie tyle w wypowiadanych słowach, co w przefiltrowanych przezeń obrazach. Nawet jeśli chwilami ocierają się o kaligrafię.

Reżyser odstąpił od pierwowzoru w co najmniej kilku miejscach. Przede wszystkim, wzorem algierskiego pisarza Kamela Daouda i jego powieści „Sprawa Meursaulta”, nadał arabskim bohaterom konkretne imiona, wydobywając je z anonimowości i generyczności. Bez wątpienia podszytych kolonialnym myśleniem, sygnalizowanym w filmie parokrotnie: w przywołanej już na samym początku propagandowej francuskiej kronice filmowej, w kinowej tabliczce „tubylcom wstęp wzbroniony”, tudzież w gęstej atmosferze algierskiej ulicy.

Są też sygnały bardziej literalne. W pierwszym zdaniu filmu Meursault nie obwieszcza śmierci matki, lecz mówi „zabiłem Araba”, podczas gdy napisom końcowym towarzyszy „Killing an Arab”, ostry utwór zaangażowany z początków zespołu The Cure. Rasowe napięcie pojawi się również podczas spotkania w sądzie Anny (Rebecca Marder) i Djemili (Hajar Bouzaouit), co jest kolejną licencją poetycką – scenariusz Ozona daje kobietom dużo większą widoczność aniżeli książka.

Jest to również, mimo nieprzeniknionego chłodu Meursaulta i zimnej precyzji samego reżysera, obecność bardzo zmysłowa, jak zresztą cała adaptacja. Kamera błądzi po rozgrzanym Algierze, w scenach erotycznych i plażowych kontempluje spocone ciała, a że Ozon znany jest z queerowej wrażliwości, można dopatrywać się i takiego spojrzenia.

Tym razem reżyser wolałby jednak uniknąć podobnych interpretacji, przynajmniej tak deklaruje w wywiadach. To właśnie dzięki niewielkim modyfikacjom autorskim zdołał przekonać do swojej wizji „Obcego” nawet Catherine Camus, córkę pisarza i spadkobierczynię praw autorskich, chociaż łatwo ponoć nie było.

Poprzednia adaptacja, w reżyserii Luchino Viscontiego z 1967 r., musiała sztywno trzymać się pierwowzoru i nie wyszło jej to na dobre; poza tym główną rolę zagrał niedostatecznie „francuski” Marcello Mastroianni (czemu nie Alain Delon? – pytano). Natomiast turecki reżyser Zeki Demirkubuz w intrygującym skądinąd filmie „Fatum” (2001) z powodu ograniczeń prawnych mógł jedynie luźno nawiązać do prozy Camusa (swoją drogą, jego bohater nosi imię Musa, czyli sturczoną wersję imienia Moussa, nadanego potem Arabowi w powieści Daouda i filmie Ozona). W kinie polskim swobodne i zarazem jawnie polityczne odczytanie „Obcego” zaproponowali dekadę temu Anka i Wilhelm Sasnalowie w filmie „Słońce, to słońce mnie oślepiło”, wyraźnie wpisującym się w ówczesny kryzys uchodźczy i narastanie ksenofobii.

Na tym tle i pomimo wspomnianych wyżej odstępstw nowy „Obcy” wydaje się filmem czystym, dyskretnym, skupionym na ówczesnym tu i teraz. Podobno wyrafinowane czarno-białe zdjęcia Manuela Dacosse’a wynikły z ograniczeń budżetowych, pozwalając na większą umowność inscenizacji. Widać w nich za to sznyt dawnej fotografii ulicznej spod znaku Henriego Cartier-Bressona, który zresztą po wyzwoleniu się Algierii uwieczniał ją w kadrze. Przyjętą przez współczesnego reżysera stylistykę retro naznaczył także Robert Bresson – zwłaszcza w oszczędnym prowadzeniu kamery i grze aktorów, traktowanych ongiś przez



OBCY *(L'Étranger) – reż. François Ozon. Prod. Francja/Belgia 2025. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 14 września. Wcześniej pokazy przedpremierowe.*

François Ozon debiutował w 1998 r. filmem „Sitcom", potem było gwiazdorskie „8 kobiet", „Basen", tytuły inspirowane Fassbinderem, antyklerykalne „Dzięki Bogu" czy „Wszystko poszło dobrze" – mocny głos w sprawie eutanazji. Jego twórczość łączy sprawy społeczne z intymnym spojrzeniem na seksualność i rodzinę. Często podejmuje autorskie gry z gatunkami filmowymi.

Na zdjęciu: Benjamin Voisin jako Meursault w filmie „Obcy"

twórcę „Ucieczki skazańca" niczym wyzbyci psychologii, enigmatyczni „modele".

Tak właśnie gra Meursaulta młody Benjamin Voisin, który w „Lecie '85" tegoż Ozona zaprezentował aktorstwo zgoła odmienne, naładowane emocjonalnością. Jednak określenie „styl transcendentalny", opisujące podszyte duchowością kino Bressona, nie przystaje do świata Camusa i Ozona. Niezależnie, czy w pełnym słońcu, czy w algierskich kazamatach, czai się ten sam egzystencjalny mrok.

Ozon jest w tym na tyle wysmakowany, że łatwo zostać uwiedzionym przez te podskórne ciemności. Algier późnych lat 30., „zagrany" przez dużo lepiej zachowany marokański Tanger, ma w sobie coś z paradokumentu i zarazem z hipnotycznej wizji. Przedwojenna elegancja zderzona z miejscową egzotyką, kratka Vichy we francuskich bistrach i kawa pita z miseczek, do tego fotogeniczne twarze i plaże zatrzymują uwagę na powierzchni zdarzeń. Podobnie jak śpiew muezinów, a tuż obok eklektyczna i lekko transowa muzyka Fatimy Al Qadiri. Dlatego wyczuleni na estetyzację prędzej niż Cartier-Bressona zobaczą tutaj szykowne fotografie z magazynu „Vogue".

A jednak to spojrzenie – rozmyślnie powierzchowne, orientalizujące – w filmie się broni, bowiem stoi za tym doskonale obojętny i wyobcowany antybohater. W jego oczach wszelkie ważkie sprawy tego świata – romanse czy awanse, erotyka czy polityka – jawią się pustą skorupą, wypełnioną co najwyżej przez hipokryzję, konformizm, kłamstwa. Jest to świat ufundowany na systemowym okrucieństwie, nie tylko kolonialnym (patrz: beznosa Algierka czuwająca przy ciele matki Meursaulta). Jego najbardziej absurdalno-żałosne wcielenie to oczywiście Salamano, katujący ukochanego psa sędziwy sąsiad (gra go Denis Lavant, ikona francuskiego kina). Dlatego Meursault żegna ten świat bez żalu, lekceważąc i sąd ostateczny, i ten instytucjonalny. A Ozon robi z tego równie beznamiętne pożegnanie filmowe – bardziej efektowne niż egzystencjalne, balansujące między oskarżycielską dosłownością a bezradnym milczeniem. ©

Lektor:
Głos Doktora



▪ *Marek Edelman*
LISTY NIEWYSŁANE. OPOWIADANIA
Posłowie Joanna Szczęsna.
Wydawnictwo Austeria,
Kraków-Budapeszt-Syrakuzy
2026, ss. 130.

Takie niespodzianki zdarzają się rzadko – nagle odzywa się do nas wielka postać, której już nie ma. Oto otrzymujemy niepublikowane wcześniej trzy teksty Marka Edelmana niemal 17 lat po jego śmierci. I nie są to jakieś niedokończone czy zarzucone notatki, ale starannie dopracowane opowiadania ujęte w formie listów. Listów do kogo? Domyślnych adresatów ujawnia w komentarzach Joanna Szczęsna, która tę książeczkę starannie przygotowała. Zawsze ściśle wiążą się oni z tematem danego opowiadania.

Teksty te odpowiadają bowiem trzem istotnym rozdziałom biografii Doktora. Najpierw więc wojna, getto, Żydowska Organizacja Bojowa, powstanie i lata następne. Tu partnerką do jednostronnej rozmowy jest Ryfka Rozensztajn, młoda działaczka bundowska i pierwsza miłość Doktora, po wojnie w Ameryce. Czasem tylko, pod koniec, jej postać jakby zlewa się z jego przyszłą żoną, Aliną Margolis.

List drugi skupia się wokół pracy szpitalnej, stosunku do chorych, diagnostyki i granic w podejmowaniu decyzji, które, choć ryzykowne, mogą być jedynym ratunkiem. Doktor kieruje swoje słowa do kardiolożki Elżbiety Chętkowskiej, długoletniej bliskiej współpracownicy, która później popełniła samobójstwo, zapewne z powodu choroby. Rozumieli się bez słów, łączył ich, jak mówił Edelman, „romans medyczny". Była bardzo religijna, pojawia się więc i wątek etycznych źródeł motywacji lekarzy oraz dylematów moralnych.

I wreszcie rozdział następny: rodząca się opozycja, bunt inteligentów, a potem i robotników. Teresa Bogucka, kolejna partnerka dialogu, zbiera podpisy pod listami protestacyjnymi, współpracuje z Komitetem Obrony Robotników. Doktor zachowuje sceptycyzm: jeśli na przykład Kazimierz Dejmek (był wtedy dyrektorem teatru w Łodzi) podpisze protest, zapewne straci pracę – czy nie lepiej, żeby zrobił kolejne świetne przedstawienia?

Edelman sam nie napisał zbyt wiele. Broszurę „Getto walczy", którą zachwyciła się Nałkowska, te trzy opowiadania, trochę publicystyki, spisane przez Paulę Sawicką przejmujące wspomnienie „...i była miłość w getcie"; do końca chciał ocalić choćby imiona ludzi, którzy trwali już tylko w jego pamięci. „Słuchając go – wspomina Szczęsna – miałam wrażenie, że jakieś osoby i ich życie istnieją już tylko w jego głowie i umrą razem z nim". Dzięki „Zdążyć przed Panem Bogiem" Hanny Krall już i uczniowie w szkole wiedzą dziś, kogo wśród nas mieliśmy. Kim był Doktor Marek Edelman. ©℗

AKTORKI I AKTORZY TEATRU IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE



Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY TEATRU
BMW M-Cars Group
Bielenda GROUP

PATRONI MEDIALNI TEATRU
65 TVP 3 KRAKÓW
TEATR DLA WSZYSTKICH



Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

teatrwkrakowie.pl

REPERTUAR

SEZON ARTYSTYCZNY
2026/2027:

od pogardy, od nienawiści...

REKLAMA

PAWEŁ

Bravo:
Poczuj się jak Scruton



Orzechowy biszkopt, mus jabłkowy, mus z białej czekolady z aromatem cynamonowym. Zjesz i poczujesz się jak Roger Scruton. Wielki brytyjski myśliciel zwący się konserwatywnym zmarł ledwie sześć lat temu, a już wydaje się jakby przeszło stulecie i minęło pięć pokoleń – tak bardzo pokraczne i tępe w porównaniu z tym, co pisał, wydają się ideowe dzieci jego koncepcji ucieczki spod walca postępu. A może ewolucja w stronę maszerującej dwuszeregiem tępoty była wpisana w sam system jego myśli, tylko przedziwna, pełna sprzeczności osobowość sir Rogera zapewniała, że dało się go czytać z fascynacją i trudno było wzruszyć ramionami, gdy bez pardonu jechał po późnej nowoczesności i wynaturzeniach społecznych wszystkich projektów politycznych przyznających się do dziedzictwa oświecenia.

A kto jabłek nie lubi, może zjeść inne scrutonowe ciastko: biszkopt infuzowany herbatą, na to miodowa galaretka, krem cytrynowy i pianka herbaciana. Trochę mnie ta galaretka niepokoi, ale każde dostępne mi narzędzie translatorskie w ten sposób mi tłumaczy węgierskie wyrażenie *mézzselé*. Liczę na pomoc czytelniczek i czytelników, znających mowę Máraiego i Hamvasa. A jak nie, to trzeba będzie wysupłać tysiąc siedemset forintów, czyli jakieś dwadzieścia złotych, zakupić i sprawdzić. Wcześniej wydawszy nieco więcej jeszcze na bilet do Budapesztu.

Zaraz uznacie, że bredzę, gdzie Tamiza, a gdzie Dunaj, tamto ciastko brzmi jak fejk, brytyjskie *apple pie* nigdy nie skalało się białą czekoladą. Powiecie, że pomieszało mi się w głowie, to na pewno stało się w momencie, kiedy guru polskiego serowarstwa zagrodowego Gieno Mientkiewicz poczęstował mnie osiemnastoletnim twarogiem. Zapewniał, że z badań w laboratorium wyszło, iż jest już biologicznie czysty i nie zawiera substancji psychoaktywnych, ale faktycznie czułem się przez jakiś czas jakoś nieziemsko. Może zmąciło mnie wzruszenie, że dostąpiłem zaszczytu skubnięcia tej legendarnej szarej skały, którą Gieno trzyma jako kustosz wśród innych wzorców polskiego twarogu – w tej zasuszonej postaci przetrwa nawet ewakuację na Marsa, gdzie uda się nam odtworzyć tę lekko ziarnistą kwaskowatość.

Roger Scruton by przyklasnął, bo jednym z fundamentów jego teorii społecznej było pojęcie ojkofilii, czyli przywiązania do miejsca pochodzenia, bycia „stąd" w przeciwieństwie do bycia zewsząd, czyli znikąd, typowego dla cyfrowych nomadów i ogłupiałych konsumentów w dominującym dziś systemie.

Polskie sery i twarogi to zbyt poważny temat na śmieszne dygresje, tylko jeszcze warto dodać, iż słowo „zagrodowe" je niesprawiedliwie sprowadza do jakiegoś skansenu. Dlatego do tamtej degustacji jeszcze wrócimy, teraz tylko zapewniam, że jestem



ZOLTAN CSIPKE / ALAMY / BE&W

w pełni władz umysłowych, a na Scrutona w Budapeszcie natknąłem się z racji mojej miłości do... wina. Ale byłem przy tym zupełnie trzeźwy i nie zobaczyłem ducha, bo chodziło nie o człowieka, który wszak podziwia ojkofilicznie lokalne ptactwo na Polach Elizejskich, tylko o sieć kawiarni i bistr działających pod jego wezwaniem na Węgrzech.

Moment! Żadne tam kawiarnie, tylko „miejsca tworzenia wartości" i prezentacji konserwatywnej postawy w sposób zrozumiały dla przyszłych pokoleń. Ktoś z grona założycieli – zapewne z jakiejś przybudówki Fideszu, bo to bardzo w stylu późnego orbanizmu – przytomnie uznał, że tym pokoleniom należy głosić dobrą nowinę o sile wspólnoty, serwując latte na sojowym i matchę oraz fikuśne desery, a nawet wegańskie croissanty (czytam menu, nie zmyślam), tworząc przestrzeń łudząco podobną do dowolnej wielkomiejskiej kafejki. Przestrzeń jednak służącą celebrowaniu wspólnoty w ramach różnych programów, seminariów, spotkań, dyskusji i czego tam jeszcze – robota polityczno-wychowawcza zawsze i tak sprowadza się do gadania. Ale w niektórych szczęśliwych krajach nie jest to gadanie o suchym pysku.

Na istnienie lokali pod szyldem Scruton trafiłem, idąc śladem artykułu o fascynującym tytule „Piję, więc jestem – wino jako płynna pamięć przynależności do miejsca". Po krótkich poszukiwaniach okazało się, że był to referat na seminarium w jednym ze „Scruton Hubów", co chyba po prostu oznacza klub dyskusyjny. Autor streszcza to, co brytyjski filozof pisał o winie (a pisał sporo) i dodaje: „W erze cyfrowego wyobcowania, kiedy



Kawiarnia Scruton w centrum Budapesztu

przyjaźnie ograniczają się do przestrzeni internetowej, wspólne wypicie butelki wina jest radykalnym czynem. Oznacza to: jestem tu, słucham cię i dzielę z tobą to doświadczenie". I dalej: „Nie pijemy po to, by zapomnieć, ale by pamiętać, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i gdzie jest nasze miejsce. Spożywanie wina jest zatem aktem konserwatywnym: hołdem dla ziemi i przodków, którzy zachowali ją dla nas. Jest to najszlachetniejsza forma odpowiedzialności ekologicznej – kieruje nią nie panika, lecz miłość. Tradycja nie polega na strzeżeniu popiołów, lecz na przekazywaniu płomienia".

Ach, pomyślałem, gdyby nas piękniej kuszono taką wspólnotą... Wszyscy bylibyśmy łagodnymi konserwatystami i może nie trzeba byłoby patrzeć na różnych bojówkarzy, naszych i cudzych. Takich, co np. wygrawszy wybory w Saksonii-Anhalt przebierają nogami, by skasować pamięć Bauhausu – bo akurat na nieszczęście miasto Dessau, gdzie przez parę lat działał wulkan energii projektowej, który po stu latach nadal wyznacza nasze gusta – znajduje się w ich landzie. Projekty bauhausowskie są dla nich zbyt uniwersalne, obce, nie mają w sobie nic z dawnej pruskiej stodoły i wychodka. Strażnicy popiołów jakiejś wydumanej archaiczności to naprawdę jest komplement pod adresem tych państwa. Obawiam się jednak, że jutro należy do nich.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Krem selerowo-jabłkowy z syropem klonowym

ok. 0,8-1 kg selera korzeniowego 4 duże jabłka (odmiany – patrz przepis) 1,2-1,5 l lekkiego bulionu warzywnego lub wody 3 łyżki syropu klonowego ▪ mała cebula ▪ sól ▪ cytryna ▪ gałązka tymianku

„Scruton-Alma" brzmi w naszych uszach bardzo powabnie, może przez skojarzenia bądź z Alma Mater bądź Almą Mahler, lecz po węgiersku „alma" to po prostu jabłko. Nawet jeśli tamto wydziwione ciastko z Budapesztu nie umywa się do poczciwej babcinej (a może powinienem napisać: ojkofilicznej?) szarlotki, to i tak rzuciło moją pamięć na odtwarzanie wspomnień najdziwniejszych zastosowań jabłek, jakie mi się przytrafiły. W sam raz na początek sezonu. Z bytności swej w Kanadzie pamiętam dwie takie osobliwe zupy, bardzo tam popularne, obie oczywiście z syropem klonowym. Zajmijmy się prostszą: Kroimy w drobną kostkę prawie całego selera (zostawiając jeden cienki plaster na zdobienie). Usuwamy szypułki z jabłek, nie obieramy, kroimy w kostkę. W kanadyjskich przepisach dominują jabłka Cortland – na razie jeszcze ich nie ma na straganach, ale dość kwaskowe antonówki też się do tego będą nadawać.

Siekamy drobno cebulę, szklimy ją na oliwie w dużym garnku, dodajemy jabłka i selera. Dusimy wszystko razem pięć minut, co jakiś czas mieszając. Dolewamy syrop klonowy, dodajemy tymianek, mieszamy, zalewamy bulionem warzywnym (lub po prostu wodą), doprowadzamy do wrzenia, gotujemy pod przykryciem, aż seler będzie bardzo miękki (jabłka już dawno powinny się rozpaść). Studzimy, miksujemy. Na wydaniu ozdabiamy cieniutkimi paskami selera (można je chwilę zrumienić na patelni), ewentualnie dokwaszamy sokiem z cytryny, możemy też dodać siekaną natkę pietruszki, pasuje osobliwie do jabłek.

Inne przecierane zupy warzywno-jabłkowe z Kanady przewidują użycie brukwi lub marchewki plus batata na miejsce selera oraz w obu przypadkach dodatek białej fasolki (z puszki) – obu próbowałem, też są dobre. ©℗



IRINA WS / SHUTTERSTOCK

ZMYSŁY

PRZEZ PRYZMAT EMOCJI



Moda to dziedzina kultury – udowadnia prezentacja polskich projektantów w Centralnym Muzeum Włókiennictwa. Wciąż nie dla wszystkich to oczywiste.

BEATA CHOMĄTOWSKA

Ulicą Zamenhofa na warszawskim Muranowie, niczym po wybiegu, wędrują jedna za drugą modelki. Jedna ma na sobie żakiet: krótki, asymetryczny, z łowickim pasiakiem i haftem kwiatowym. Mogłaby zaprojektować go Rei Kawakubo, gdyby urodziła się w Polsce, ale nie: to Joannie Klimas udało się połączenie ognia z wodą, minimalizmu z folklorem. Jest też zielona sukienka w kwiatowy wzór z jednym bufiastym ramieniem i kokardą na spódnicy, bluzki z białej koronki, szara mini z lampasami w pasiaki zestawiona z kurtką z czarnej błyszczącej skóry i wzorzyste buty pod kolano, przypominające tradycyjne obuwie noszone w Tybecie.

Tamten uliczny wybieg odbył się wiosną 2009 r., pod hasłem „Pokaz zero. Próba generalna". Potem zaprezentowano pełną kolekcję, zatytułowaną „Etno", by – jak tłumaczyła projektantka – brzmiało bardziej światowo. Bo choć za granicą ludowe motywy miały mocną pozycję od lat, ta część polskiej tożsamości wydawała się wciąż wstydliwa. To jeszcze nie był czas „Chłopek".

Wspomnienie tamtego momentu – kolekcji, żakietu, którego do dziś szukam zresztą na portalach z rzeczami z drugiej ręki – wróciło przy okazji wystawy „Nowa moda polska. Kronika głębokich uczuć", której twórcy – na czele z kuratorem Marcinem Różycem – potraktowali modę przede wszystkim jako klucz do opowieści o emocjach.

Rys subiektywny

Manekiny, prezentujące eksponaty z rozrastającej się wciąż kolekcji Centralnego Muzeum Włókiennictwa, rozstawiono na dwóch poziomach pofabrycznej hali w sposób nawiązujący zarówno do teatru, którego aktorzy, tkwiący tam bez ruchu, wydają się jednocześnie widzami, jak i do trójnawowej świątyni (religijne odniesienia to zresztą istotny motyw modowy i jeden z wątków opowieści). Nim wejdzie się między ich rzędy, dobrze wiedzieć, czym całe to przedsięwzięcie jest, a czym nie jest.

Na pewno stanowi pierwszą tak rozbudowaną prezentację najnowszej mody tworzonej przez autorów o polskich korzeniach, również urodzonych za granicą. Jednak nie stawia sobie za cel retrospektywy najważniejszych projektantów po 1989 roku. Stroni od podejścia chronologicznego, nie układa się w monografię nowej mody ani w historię poszczególnych marek czy trendów. Wpisując się w mocny autobiograficzny rys współczesnej mody, jest raczej próbą subiektywnego odczytania zbiorów gromadzonych w muzeum przy współpracy z kuratorem wystawy.

Koncepcję tę łatwiej zrozumieć, gdy sięgnie się po „Nową modę polską". Tytuł nieprzypadkowo zbieżny. Wydana cztery lata wcześniej czerwona książeczka, napisana przez Różyca jako pierwsze kompendium na temat współczesnej polskiej mody i uzupełniona wywiadami z najciekawszymi jej twórcami i teoretykami, stała się zalążkiem myślenia o ekspozycji. Doszły do niej inspiracje wciąż rozrastającą się muzealną kolekcją, w którą odwiedzający zyskują tym samym – wybiórczy – wgląd.

Książka zaczyna się zdaniem: „Gdyby ktoś zadał mi pytanie, czym jest moda, odpowiedziałbym jasno i zdecydowanie: moda to dziedzina kultury". Niby oczywistość, a jednak projekty powstające już w demokratycznej Polsce, potencjalny „produkt eksportowy" naszej kultury i gospodarki, długo pozostawała niewidoczna dla decydentów. Aż trudno uwierzyć, że dopiero w ubiegłym roku Ministerstwo Kultury ogłosiło za pośrednictwem Instytutu Przemysłów Kreatywnych nabór do nowego programu dotacyjnego przeznaczonego właśnie dla branży modowej. Działający w niej twórcy nie mogli dotąd li-



EDWARD WENDT / CMWŁ X2



Powyżej i po prawej:
Wystawa „Nowa moda polska. Kronika głębokich uczuć" w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi

czyć na wsparcie z państwowej kasy, a prywatni sponsorzy też nie kwapili się do pomocy.

A przecież moda – wytwór w dużej mierze intelektualny – nie istnieje bez rynku. Zwłaszcza ta ambitna, eksperymentalna, w której potrzeba twórcza przoduje nad motywacją biznesową i która nie ma szans na masową sprzedaż.

Kłopot z definicją

W kolekcji muzealnej można znaleźć dokumentację nowej polskiej mody od jej początków, podczas gdy na ekspozycji dominują dokonania z ostatniej dekady. Gdy krążę po sali pod czujnym okiem manekinów, wychwytuję nawiązania do czasów jeszcze wcześniejszych, czyli PRL-owskiego designu i rzemiosła, jak kolekcja „Irena" Rad Duet, ukłon w stronę legendarnej huty szkła z Inowrocławia i socrealistycznego stylu PRL-owskich pracownic.

Patrząc na nie, trudno jednak pozbyć się myśli o punkcie startowym, czyli latach 90. Zasłużona marka Moda Polska już dogorywała, ubrania z Hofflandu, po które w warszawskich Domach Centrum kiedyś ustawiały się kolejki, nie budziły emocji. W telewizji królowała „Dynastia", na bazarach – inspirowane serialowym stylem produkty rodzimych firm konfekcyjnych, niekiedy rozrastających się błyskawicznie w prawdziwe imperia.

Wśród tego krajobrazu pojawiają się pierwsi ambitni projektanci: wspomniana Klimas, Lidia Kalita, Viola Śpiechowicz z marką Odzieżowe Pole. Choć dostrzegają ich kolorowe magazyny dla kobiet, nie mają łatwo. Dla tworzącej się wówczas klasy średniej, uosabianej w tych pismach przez postać „kobiety sukcesu", aspiracyjną wartość stanowi przede wszystkim moda zagraniczna lub jej rodzime podróbki. Tę potrzebę zaspokaja masowy przemysł.

W 1998 r., jak przypominała w książce „Modni" Karolina Sulej, kostium od krajowych projektantów kosztował niemal tyle, ile wynosiła średnia polska płaca. Zaledwie kilkaset kobiet w kraju mogło sobie pozwolić na taki wydatek. Wygrywają ci, którym udaje się zostać projektantami gwiazd – dzisiejszych celebrytów, bo dzięki temu mogą przyciągnąć sponsorów i zamożnych klientów spoza show-biznesu. A w ich atelier na co dzień najlepiej sprzedają się suknie ślubne.

Jak zauważa w jednej z rozmów w „Nowej modzie polskiej" Janusz Noniewicz, kierownik i współzałożyciel powstałej w 2010 r. Katedry Mody Wydziału Wzornictwa ASP w Warszawie, na Zachodzie moda od zawsze była powiązana z liberalnym rynkiem. W Polsce, gdzie jej rozwój zatrzymał na dekady komunizm, demokracja próbowała udowodnić, że moda jest głównie dla elit. Gdy zaś raczkująca nowa polska moda zyskała pierwszych odbiorców, zysk wyczuły firmy, które zaczęły wykorzystywać projektantów marketingowo, uzależniając ich od sponsorów i gwiazd. Tak zrodziła się moda na czerwony dywan. Jednocześnie w tle cicho umierały zakłady produkcyjne, w tym łódzkie szwalnie.

Stąd od początku trudności nastręcza definicja zjawiska. Dla jednych moda to kreacje, w których pozują celebryci, dla innych – ciekawostka dla ekscentryków, dla jeszcze innych ↦

↦ – to, co nosi ulica. W sumie do dziś w każdej rozmowie o modzie warto uzgodnić, co faktycznie ma się na myśli.

W 2009 r. pojawia się pierwszy polski Fashion Week (pod nazwą Fashion Philosophy Fashion Week Poland), zorganizowany z inicjatywy prywatnej łódzkiej agencji ze wsparciem miasta. Wystawa dostarcza wzruszeń zwłaszcza tym, którzy pamiętają te początki. Impreza wymusiła nowe standardy, choćby narzucając projektantom profesjonalny kalendarz. Maldoror (Grzegorz Matląg), Paulina Plizga, duet Acephala (Monika Kędziora i Bartek Korzeniowski), Michał Szulc, Pat Guzik, Berenika Czarnota czy Łukasz Jemioł – nazwiska ówczesnych odkryć przewijają się na wystawie. Część nie przetrwała na rynku, inne radzą sobie świetnie do dziś.

Był to też czas pierwszych polskich blogów modowych, fascynacji modą uliczną oraz „szafiarek", które zamieszczały codzienne stylizacje w internecie. Ale w tym samym czasie nasz rynek podbijały zagraniczne sieciówki, w których ubierały się polskie „fashionistki", oszczędzając jednocześnie na torebki od Zofii Chylak. Obfitość tanich tekstyliów wymusiła nieuchronne refleksje nad etyczną produkcją i fascynację minimalizmem, a w ślad za tym – lokalnością i rzemiosłem, które też odbijają się w ówczesnych projektach.

Sploty

„Moda jest produktem niemal wyłącznie wyobrażeniowym, tworzonym przez kontekst społeczny, kulturowy, a także filmy, zdjęcia i teksty wytwarzane przez twórców mody" – pisał ponad dekadę temu Różyc i teraz pokazuje, jak sam to pojęcie rozumie, wybierając na wystawę prace ponad 50 osób.

„Moda zdarza się wówczas, gdy ubranie zaczyna opowiadać i znaczyć, a także nawiązuje relacje z estetyką, stylem, a coraz częściej ze sztuką" – to kolejny cytat, który sprawdziłby się jako motto ekspozycji. W tym kontekście do rangi weterana urasta Arkadius, czyli Arkadiusz Weremczuk, absolwent słynnej londyńskiej szkoły projektowania Central Saint Martins. Twórca najwcześniej szukający w modzie własnego języka do interpretacji rodzimej kultury, dzięki któremu polską modę zauważono w świecie mody wysokiej. Kiedy na fali sławy jego druga kolekcja sprzedała się po tygodniu dla luksusowego nowojorskiego domu handlowego, kolejnym pokazem skomentował żartobliwie swoje pochodzenie, opierając go na słomie wystającej nie tylko z butów, lecz także z ubrań. Dalej też bawił się polskością sprowadzoną do stereotypów, obok wątków cepeliowskich wykorzystując też kibicowskie i religijne.

Są też inne zasłużone nazwiska, jak Gosi Baczyńskiej, jednak nie przedstawionej przez pryzmat kreacji dla gwiazd, lecz kolekcji „Yalta", opowiadającej o wysiedleniach 1946 roku, w którą projektantka, córka przesiedleńców z dwóch różnych stron nowej granicy, wpisała kontekst autobiograficzny.

Kuratorski gest Różyca jest ryzykowny, bo łatwo narazić odbiorców na niedosyt. Pozwala jednak spojrzeć na modowy fenomen przez pryzmat takich cech, jak różnorodność, ulotność, wspomniana autobiograficzność czy skłonność do reagowania na bieżące wydarzenia. Opowieść o polskiej nowej modzie, tak poprowadzona, przypomina raczej nici w różnych kolorach i odcieniach, miejscami łączące się w sploty.

Połączone wątki polskiej sztuki, rzemiosła i osobowości skupiają się choćby w twórczości wywodzącej się z Krakowa



EDWARD WENDT / CMWŁ

Wystawa „Nowa moda polska. Kronika głębokich uczuć" w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, projekty: Acephala, Paprocki & Brzozowski, Gosia Baczyńska

Vasiny. Początkowo odpowiadała za wyrazisty wizerunek Brodki i kilku innych artystów, by zacząć sprzedawać własne projekty na szerszą skalę – najpierw internetowo, potem w stacjonarnych butikach. Babcia Vasiny, Maria Redych, założyła przed wojną w Rynku zakład gorseciarski, który przetrwał okupację i okres PRL-u. Wnuczka używała wykrojów Redych, a prezentowany na wystawie gorset i spódnica powstały z zachowanych po jej śmierci bieliźnianych tkanin.

Również Magda Butrym, której nazwisko w 2025 r. znalazło się na liście 500 najbardziej wpływowych osób w świecie mody portalu „The Business of Fashion", występuje w kilku rolach: projektantki, która stworzyła własny dom mody za granicą i ubiera światowe gwiazdy, ale też autorki czerpiącej z tradycyjnego rękodzieła i sztuki. Kolekcją „Magdalena", reprezentowaną tu przez jeden z czerwonych kompletów, wyplecionych tradycyjnymi metodami przez polskie rzemieślniczki, złożyła hołd Magdalenie Abakanowicz.

Z kolei Mikołaj Żurek w debiutanckiej kolekcji nawiązującej do inwokacji z „Pana Tadeusza", powstałej niemal wyłącznie na bazie odzyskanych surowców, wpisał kształt wazonu Zbigniewa Horbowego w różowe spodnie, a kurtki, bazujące na konstrukcji archaicznych ubrań w rodzaju góralskiej guni, uszył z dwuosnowowych tkanin służących do wytwarzania popularnych kiedyś we wsiach północno-wschodniej Polski dwustronnych narzut na wersalki.

„Moda może symbolizować władzę, religię i siłę, a także mądrość" – kolejny cytat, pasujący do wydarzeń ostatnich lat. Przyszła pandemia, rozluźniając związek mody z dbałością o klimat, bo firmy musiały walczyć o przetrwanie. Nawet luksusowe marki przestawiły się na dresy. Mocno dała też znać o sobie polityka – stąd na wystawie echa akcji #MeToo, czarnych protestów, rozkwitu kultury feministycznej i queerowej oraz nowych interpretacji polskości. Znajdziemy tu ozdobiony błyskawicami komplet Acephali oraz czarną suknię z wężem od Paprockiego i Brzo-

zowskiego, stworzone z inspiracji kobiecymi demonstracjami. Różową koszulkę „Polska Forever" Kamila Wesołowskiego zaprojektowaną z okazji wyborów prezydenckich w 2019 r. czy pasy kontuszowe obok kominiarek pseudokibiców z kolekcji Uty Sienkiewicz, która analizowała polski ubiór narodowy – jako przyczynek do refleksji nad sarmatyzmem. Ubrania domu mody Marios, założonego w Mediolanie przez Leszka Chmielewskiego i Mariosa Loizou, ze wzorami powstałymi według rysunków Karola Radziszewskiego, wśród których dominuje motyw centaurów, można czytać jako próbę stworzenia alternatywnej, queerowej mitologii.

Nawet jednak najbardziej rozpoznawalne nazwiska z tego bogatego zbioru kojarzone są głównie przez osoby, które modą się interesują: wystawa w niezamierzony sposób uświadamia, że choć od lat 90. przeszliśmy długą drogę, moda w Polsce jest wciąż marginalnym zjawiskiem. Dominuje produkcja odzieży.

Duch pofabryczny

Z przestronnych wnętrz Centralnego Muzeum Włókiennictwa wychodzę po południu. O tej porze po muzeum kręci się niewielu gości, więc starannie zrewitalizowany budynek dawnej Białej Fabryki budzi skojarzenia z pustką nowego dworca Łódź Fabryczna. Myślę o jeszcze jednym motywie, powtarzającym się na wystawie, czyli ukłonach w stronę przemysłowego i robotniczego dziedzictwa Łodzi.

Widać go w pracach Le Petit Trou, odwołujących się do elementów stroju łódzkich włókniarek, czy w torebce Sandry Kpodonou, Warszawianki, łączącej w rodzinnej genealogii Łódź i Togo. Torbę wykonano z pasów wyciętych z surowo mielonej bawełny, nie zszywanych, lecz skręcanych śrubami, których nie wykorzystano w przemyśle, według techniki opracowanej przez mamę projektantki Annę Grabarczyk, mieszkankę Bałut. Kurtki robocze w interpretacji Jana Chodorowicza, absolwenta tej samej londyńskiej szkoły co Arkadius, który w duecie z Aleksandrą Janiec sprzedaje z sukcesem swoje ubrania w Tokio, nawiązują do uniformów PRL-owskich robotnic. Natomiast fantastyczny puchowy biały płaszcz duetu MMC (Ilony Majer i Rafała Michalaka) to już otwarty hołd dla łódzkiego przemysłu włókienniczego pod nazwą „Biała Fabryka".

Taka już kolej rzeczy, że gdy po realnych fabrykach zostaje wspomnienie, dawne poprzemysłowe dzielnice zmieniają się w przybytki kultury, sztuki i handlu, a miejsce przemysłu odzieżowego zastępuje moda i design. W przypadku Łodzi metamorfoza jest podwójna, bo przecież miasto nie było dotąd miejscem, w którym projektowano modę, lecz wytwarzano ubrania. A jednak trudno pozbyć się wrażenia, że choć wiele dzięki temu zyskaliśmy, coś niepowtarzalnego przy okazji zginęło.

Skręcam za parkiem w Senatorską. Od razu, jak na życzenie, objawiają mi się łódzkie kontrasty w jednym ciągu obrazów: muzeum w starannie zrewitalizowanej fabryce, odrapane mury nieremontowanych od lat kamienic, nowa deweloperka, szklany kubik jakiegoś biurowca – i zamknięte na głucho pozostałości po jakimś mniejszym zakładzie, który miał mniej szczęścia od Białej Fabryki. Ktoś pozostawił na nim graffiti puentujące skojarzenia, jakie może budzić ta sekwencja w głowie pięknoducha z Warszawy – gorzko i celnie, jak strzał między oczy: „Lubię filmy o biedocie".

© BEATA CHOMĄTOWSKA

NOWA MODA POLSKA. KRONIKA GŁĘBOKICH UCZUĆ, wystawa czynna do 3 maja 2027 r. Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi



KRZYSZTOF WOJDA / REPORTER

Pokaz kolekcji „etno" Joanny Klimas – nowoczesna interpretacja polskiego folkloru, we wnętrzach budynku TRIO Apartamenty na warszawskim Muranowie. 28 stycznia 2010 r.

Prace Uty Sienkiewicz z kolekcji „Swoi", w której inspiracje strojem sarmackim łączą się z kominiarkami, wyrażając niepokój nacjonalistycznym wydźwiękiem strojów narodowych



BEATA CHOMĄTOWSKA

TOMASZ

Stawiszyński: *Skąd i dokąd*



Jedenaście lat temu, kiedy nikt jeszcze – no, może z wyjątkiem co bardziej apokaliptycznie usposobionych pesymistów – na poważnie nie myślał o brexicie, lockdownie i trzeciej wojnie światowej, na najwyższych szczeblach Unii Europejskiej zaczęło się mówić o potrzebie „nowej narracji". Z tej okazji przy Komisji Europejskiej powołano nawet specjalnych społecznych ambasadorów, którzy mieli za zadanie ją wypracować. Jednym z nich został prof. Michał Kleiber, były minister nauki i informatyzacji, w latach 2007-2015 prezes PAN. W rozmaitych medialnych wypowiedziach zwracał on uwagę na specyficzny kryzys, w jakim Unia wydawała się coraz bardziej pogrążać. Nie chodziło wcale o spory dotyczące masowej migracji i zasad przyjmowania uchodźców, lecz przede wszystkim o brak, by tak rzec, klarownej filozofii. Czyli przekonującej opowieści, z której w sposób spójny moglibyśmy się dowiedzieć, czym właściwie Unia w dzisiejszym świecie jest, jakie są ideowe mocowania jej działań, a także – *last but not least* – na jakim systemie wartości się opiera. Owszem, przynajmniej w teorii taka opowieść istniała, z czegoś się przecież etos tej wspólnoty wziął, niemniej w praktyce widać już było, że w coraz powszechniejszym odbiorze opowieść ta przestaje pasować do rzeczywistości.

Od tamtej pory proces tylko się uwyraźnił. Zaufanie do europejskich instytucji – i do oficjalnych instytucji w ogóle – systematycznie spada, rośnie za to poparcie dla polityków wobec Unii, mówiąc delikatnie, krytycznych. „Wielobiegunowy świat" *à la* Putin i Trump staje się coraz bardziej realny, a wizja porozumienia ponad twardniejącymi na kamień tożsamościami rozwiewa się w powietrzu. Ach, byłbym zapomniał, „ambasadorów do spraw nowej narracji europejskiej" od dawna nie ma. Sprawa się rozmyła, nowa narracja nie powstała, do pomysłu nikt nie wrócił.

Skądinąd od unijnych decydentów oczekiwałbym większej przenikliwości. Nieledwie rzut oka na statystyki oglądalności i skalę emocji, jaką wzbudziła premiera „Odysei" Nolana, pozwala dostrzec, jak głęboki jest w nas głód wielkiej opowieści (o innych oczywistych jego symptomach nie wspominając). Nie „nowej" w dosłownym znaczeniu, ale po prostu takiej, która z pomocą współczesnych narzędzi i środków dotyka kwestii fundamentalnych: *arche* i *telos*, źródła i celu.

Skąd się wzięliśmy i dokąd idziemy? Kim jesteśmy i co mamy robić? Rozpad opowieści „obsługującej" te dwa zasadnicze pytania, dwa zasadnicze wektory, bez których umysł – czy raczej dusza – pogrąża się w atrofii, prędzej czy później prowadzi, owszem, do chaosu. Ale tylko początkowo, chaos bowiem nie jest stanem, w którym umiemy długo wytrzymać. Żeby się z chaosu jak najprędzej uwolnić, odruchowo poszukujemy podstawowej nań surowicy – innej opowieści, innego mitu. Poszukujemy ich tam, gdzie tylko nam jakieś zaoferują. I nie ma większego znaczenia, czy będą na dłuższą metę konstruktywne, czy destrukcyjne. Liczy się tylko, czy doraźnie udzielają odpowiedzi na te dwa palące problemy: skąd i dokąd.

Porzucenie projektu nowej europejskiej narracji wiele mówi o kondycji, w jakiej znalazła się Unia. Dlatego z dużym niepokojem – i zdziwieniem, że przeszło to u nas prawie bez echa – przyjąłem wyniki niedawnego islandzkiego referendum. Przypomnę: 30 sierpnia ponad 50 proc. mieszkańców Islandii zagłosowało nie tyle przeciwko akcesowi, ile przeciwko temu, żeby rząd w Rejkiawiku w ogóle wznowił w tej kwestii rozmowy. Owszem, swoją rolę z pewnością odegrały tu okoliczności ekonomiczne, związane z rybołówstwem, jednym z filarów islandzkiej gospodarki. Ale niezależnie od tego – jest to zdarzenie symboliczne. Czytelny sygnał wysłany do Unii, że ten prężny i niewielki kraj nie jest jej ofertą zainteresowany. Przez lata jednym z głównych argumentów prounijnej perswazji – zwłaszcza w Polsce – było podkreślanie, że nie istnieją sensowne alternatywy dla integracji. Nie mamy wyjścia, jak tylko się integrować – powtarzano, skądinąd nie bez racji. Siła tego argumentu – czego niestety wciąż nie zauważają najbardziej aktywni jego szafarze – mocno jednak osłabła choćby po brexicie, po którym w Wielkiej Brytanii nie nastąpił przecież żaden koniec świata. Teraz zaś, po geście islandzkiego społeczeństwa, osłabnie jeszcze bardziej. Zwłaszcza w kontekście rosyjskich inwestycji propagandowych, które, jak wiadomo, opierają się na regule wspierania wszelkich skrajności. Rosja świetnie rozumie, że im bardziej spolaryzowane są europejskie społeczeństwa, tym efektywniej może utrudniać Unii prowadzenie odpowiedzialnej polityki i budowanie trwałych, wiarygodnych sojuszy.

Może więc warto podjąć pomysł niepotrzebnie zarzucony dekadę temu i zacząć znowu wypracowywać jakąś europejską narrację? Owszem, świat się zmienił, sytuacja stała się naprawdę groźna, potęga wirtualnego tłumu, który wiedzie prym w mediach (anty)społecznościowych i niszczy debatę na każdy ważny temat, rozrosła się w sposób niekontrolowany. Europejskie, liberalne elity, podobnie jak firmowany przez nie projekt, straciły albo właśnie tracą swoją uprzywilejowaną pozycję (w znacznym stopniu – zasłużenie). Nie zmienia to faktu, że wspólnej Europy wyjątkowo dziś potrzebujemy. Podobnie jak opowieści o jej źródłach i celach, wartościach i skutecznych sposobach ich realizacji. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny" po raz drugi przyznaje Nagrodę BONUS

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

Od 1 września szukamy ludzi, którzy zmieniają przestrzeń publiczną na lepszą. Otwieramy zgłoszenia do drugiej edycji Nagrody BONUS „Tygodnika Powszechnego".

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji.

Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.

PIĘĆ KATEGORII

W drugiej edycji Nagroda BONUS zostanie przyznana w pięciu kategoriach:

MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów.

KULTURA | Dla twórców i inicjatyw, które otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw.

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób i organizacji, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic.

TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać.

MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ (nowa kategoria) | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagroda dla tych, którzy poprzez wsparcie inicjatyw kulturalnych, naukowych i pomocowych budują wspólnotowość i zaufanie w przestrzeni publicznej.

Laureatów drugiej edycji Nagrody poznamy 7 listopada podczas gali w Małopolskim Ogrodzie Sztuki w Krakowie. Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.

NAJWAŻNIEJSZE DATY

1–30 września 2026 | Czas na zgłoszenie kandydatów

13 października 2026 | Ogłoszenie czterech finalistów w każdej kategorii

7 listopada 2026 | Gala Nagrody BONUS, Małopolski Ogród Sztuki, Kraków

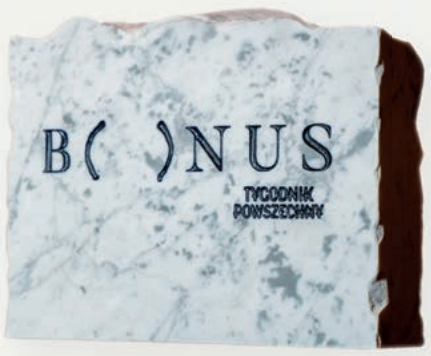

FOT. NAREK BEDNARZ

Zgłoś osobę, której praca zasługuje na uwagę.

Wypełnij formularz online na stronie nagrody: **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

Zgłoszenie możesz przesłać także bezpośrednio na adres **bonus@tygodnikpowszechny.pl** — podaj imię i nazwisko kandydata, kategorię oraz uzasadnienie zgłoszenia.

Więcej informacji na stronie nagrody: **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

letnia | scena | w żelazowej woli | 2026

summer stage at Żelazowa Wola

pożegnanie lata

goodbye summer



19.09 g. 17.00

Martín García García *(fortepian)*

Anna Sułkowska-Migoń *(dyrygent)*

Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie

w programie:

Fryderyk Chopin
Koncert fortepianowy f-moll op. 21

Felix Mendelssohn-Bartholdy
IV Symfonia A-dur op. 90 „Włoska”



REKLAMA

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina | 100-lecie Konkursu Chopinowskiego | DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego | MECENAS: ORLEN | PARTNER STRATEGICZNY: PKO Bank Polski | PARTNER GŁÓWNY: Totalizator Sportowy, LAT | PARTNERZY: LEXUS, Lotnisko Chopina Warszawa, PZU Fundacja, YAMAHA | OFICJALNY PRZEWOŹNIK NIFC: LOT